

Wstrząsająca
autobiografia
top modelki
światowych
wybiegów

Osierocona,
dńczona, bita,
gwałcona.
Jako trzynastolatka
została matką.

Jak z lepianki
w afrykańskiej głuszy
dotarła na sam szczyt
haute couture lat 80.?
I jak z tego szczytu
została strącona?



Czarna gwiazda Yves Saint Laurenta

Była równie sławna jak Naomi Campbell – muza Yves Saint Laurenta, z którym łączyła ją wyjątkowa więź. Dla niej tworzyli kreacje Guy Laroche, Givenchy, Calvin Klein, Karl Lagerfeld, Gianfranco Ferré. Przez dziesięć lat królowała na wybiegach Paryża, Nowego Jorku, Mediolanu, Tokio.

Moja historia
REBECCA AYOKO



Czarna gwiazda
Yves Saint Laurenta

REBECCA AYOKO
CAROL MANN

Przekład
AGNIESZKA JAROSZ



Redakcja stylistyczna

Moim dzieciom, Affie i Clyde'owi



Rebecca urodziła się w Ghanie. Mieszkała w Togo, Gabonie i na Wybrzeżu Kości Słoniowej, a potem wyjechała do Paryża.

Przedmowa

Nie myśl, że gwiazdy umarły

tylko dlatego, że chmury skrywają słońce.

Przysłowie afrykańskie

To czarno-białe zdjęcie wylania się z innej epoki[1]. Patrząc na moją umalowaną twarz, sfotografowaną z półprofilu, można by odnieść wrażenie, że moja skóra jest biała. Mimo wymyślnego koka mam androgeniczny wygląd, ulubiony przez wielkich projektantów lat 80. W połowie tamtej dekady to zdjęcie zdobiło mój kompozyt — wizytówkę top modelki. Nad zdjęciem, drobnym drukiem, widnieją moje dane: Wzrost 176 — Biust 84 — Talia 62 — Biodra 90 — Numer buta 40 — Włosy czarne — Oczy brązowe. Pod zdjęciem, dużym tłustym drukiem, figuruje logo agencji Glamour i adres: 40, rue François-I^{er}, 75008 Paryż — 47 23 89 26. Paryskie numery telefonów składały się wówczas z ośmiu cyfr, a telefonów komórkowych w ogóle jeszcze nie było.

Przez ponad dziesięć lat codziennie przeglądałam się w tym odbiciu. „Lustreczko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?” Zdawało mi się, że zdjęcie uśmiecha się do mnie, jakby zapewniając, że żadna rywalka nie zdoła nigdy dorównać mi klasą i urodą. Upojona obietnicą wieczności wiodłam życie księżniczki, bywałam w luksusowych hotelach i nosiłam najbardziej eleganckie kreacje, a bogaci i przystojni mężczyźni zabiegali o moje względy.

W tamtych czasach Paryż leżał u moich stóp.

Nieczym Kopciuszek na balu, oczarowana przez księcia świata mody o błękitnych oczach i słodkim głosie, oszołomiona dźwiękami walców, nie usłyszałam, gdy zegar wybił północ. Wraz z nastaniem lat 90. moja karetka zmieniła się z powrotem w dynię — obietnica wieczności się nie spełniła, a ja schowałam zdjęcie do szkatułki z pamiątkami. Żyłam wśród gwiazd, a potem spadłam na ziemię. Bez spadochronu.

Niewiele osób wie, co kryje się za kamienną maską top modelek, tych gwiazd świata mody, których wyniosłe sylwetki prezentują się na lśniących stronach magazynów dla kobiet. Krocząc po wybiegu w wytwornych kreacjach czy spędzając wakacje w rajskim zakątku świata u boku jakiegoś adonisa, którego popularność mierzy się ilością zer na koncie, uosabiamy marzenia wszystkich młodych dziewcząt. Uroda. Sława. Luksus.

Wszyscy znają twoją twarz i imię twojego ostatniego chłopaka. Ile osób wie, kim jesteś i przez co przeszłaś? Ostatnią rzeczą, jakiej oczekuje się od modelki haute couture, jest to, żeby się zwierzała i opowiadała o sobie. Ludziom wydaje się, że jeżeli otwieramy usta, to tylko po to, żeby wyszczyć kieliszek szampana. Sprowadzone do naszych wymiarów lub, w najlepszym wypadku, do marki domu mody, który chwilowo firmujemy, ograniczamy się wbrew sobie do grania roli, jaką nam narzucono: „Bądź piękna i milcz!” Jak gdyby nasze przeżycia nie były godne zainteresowania.

Kto od dziecka sypia w atlasach, pozostanie w nich — poza wypadkami losowymi — do końca swoich dni. Ale my jesteśmy jak efemerydy, jak motyle, które żyją zaledwie kilka godzin. Pojawiamy się i znikamy, wzbijamy się ku słońcu, po czym spadamy w niebyt. Dopóki dajemy natchnienie wielkim projektantom, jesteśmy zapraszane w kręgi wyższych sfer. Gdy tylko nasze piękno wyblaknie, wyprasza się nas bez pardonu. „Moda umiera młodo i ten wyraz twarzy skazańca przydaje jej szlachetności”, pisał Cocteau. Na podobieństwo tej bogini, której

poświęcamy życie, mamy krótki termin przydatności, nawet jeżeli wolałybyśmy o tym zapomnieć, żeby bardziej cieszyć się szczęśliwymi chwilami. Docieramy na szczyty w wieku, w którym większość dziewczyn mieszka jeszcze z rodzicami, a gdy one rozpoczynają życie zawodowe, nasza kariera chyli się ku końcowi. Jako ślad minionego prestiżu przechowujemy parę cennych relikwii pochodzących z wystaw największych jubilerów świata i garstkę niemodnych już zdjęć.

Pieniądze, luksus i popularność nie pozwalają dorosnąć. To doświadczenia życiowe czynią z nas dojrzałych ludzi. Ja swoje przeżyłam, począwszy od mojego dzieciństwa w Afryce, do tego stopnia, że czasem wydaje mi się, iż żyłam wiele razy. Na kilka tygodni przed ukazaniem się mojej autobiografii w Internecie pojawił się artykuł: „Rebecca Ayoko, zapomniana przez wszystkich czarnoskóra muza Yves Saint Laurenta”. Trudno zaprzeczyć, że od tamtych czasów moje nazwisko przestało cokolwiek mówić znawcom haute couture. Pewnie trudno byłoby im uwierzyć, że dwadzieścia pięć lat temu było ono równie znane jak nazwisko Naomi Campbell. Ale kwestia mojej popularności jest tu sprawą drugorzędną. Zarówno to, co przeżyłam przed, jak i po latach u Saint Laurenta, zasługuje na opowiedzenie. Życie top modelki nie sprowadza się ani do blasku jej sławy, ani do mroku zapomnienia.

To, co w życiu prowadzi nas ku przeznaczeniu, to spotkania. Jedne powodują, że coś w nas pęka na zawsze, inne wynoszą nas na sam szczyt. Jeżeli mała afrykańska dziewczynka, biedna i niepiśmienna, mogła zostać muzą jednego z największych kreatorów mody wszech czasów, to właśnie dzięki magii spotkań. Jeżeli zaś tej ubóstwianej przez świat top modelce udało się podnieść po upadku, to także dzięki życzliwym ludziom, których los postawił na jej drodze. Powtórzę za François Mauriakim: „Zasługujemy na wszystkie spotkania. Każde z nich przydzielone jest naszemu przeznaczeniu”.

Historię mojego życia, od uliczek Treichville w biednej dzielnicy Abidżanu do paryskich wybiegów, składam w hołdzie moim dobrym duchom. Tym, którzy w latach mojej młodości wzięli mój los na swoje barki, pozwalając mi spojrzeć dalej i wyżej, poza ciasny horyzont, który był mi przypisany. Tym, dzięki którym dane mi było tańczyć na balu haute couture i którym zawdzięczam najcenniejsze wspomnienia, jakie pielęgnować będę w sercu do końca moich dni. A także tym, którzy przyjęli mnie z otwartymi ramionami wtedy, gdy stałam się nikim i gdy wszyscy odwracali ode mnie wzrok.

Niech opowieść o ich dobroci przyjmą w dowód mojej wdzięczności.

Rebecca Ayoko

Gwiazdny pył

Urodziłam się niespodziewanie pod rozgwieżdżonym niebem. Mama opowiadała mi, że w wieczór moich narodzin nie mogła zmrużyć oka. Powietrze było ciężkie, brakowało jej tchu. Aby ulżyć sobie trochę w trudach ostatnich dni ciąży, poszła ochłodzić się do chatki z liści kokosowych, która służyła nam za łazienkę. Ledwo nabrała wody z wiadra, gdy poczuła gwałtowne skurcze. Zgięta wpół upadła na kolana. W tych to nieprzewidzianych okolicznościach bez uprzedzenia przyszłam na świat.

— Wcale nie cierpiałam — opowiadała mi później. — A księżyc świecił tak jasno, że było widno jak w dzień!

Tak właśnie urodziłam się w Ghanie, w wiosce Agogo, pewnej wiosennej nocy zwiastującej porę deszczową. Na gołej ziemi, przy wtórze muzyki świerszczy i rechotu żab, w godzinie, w której ludzie śpią jak dzieci. Gdy mama zawołała o pomoc, nadbiegły sąsiadki, odcięły pępowinę, umyły mnie i zawinęły w chustę. Moja pępowina została tam, zakopana w ziemi — ten zwyczaj ma u nas ogromne znaczenie, czasem nawet sadi się w tym miejscu drzewo, które jest niczym brat bliźniak nowo narodzonego dziecka. W snach często powracam w moje rodzinne strony. Pępowina zakopana w afrykańskiej ziemi łączy mnie z moimi korzeniami.

Urodziłam się około 1960 roku, ale nie wiem dokładnie kiedy. Rzecz jasna, w moim paszporcie widnieje data urodzenia. Ale nikt z tych, którzy przyszli na świat w afrykańskiej wiosce, z dala od jakiegokolwiek szpitala, nie posiada aktu urodzenia spełniającego formalne wymogi. Przez długi czas będę musiała zadowalać się świadectwem chrztu jako jedynym dowodem tożsamości. Od czasów kolonizacji chrzest jest u nas powszechnym obyczajem. W przeciwieństwie do mojej matki, ojcu, żarliwemu katolikowi, zależało na tym ogromnie.

Moje nazwisko brzmi Adamah i oznacza „ziemię”. Rebecca to imię nadane mi przy chrzcie, ale mam też drugie imię, Ayoko, „druga córka” w języku *mina*, moim ojczystym języku, używanym głównie w Togo, Ghanie i Beninie. Moja starsza siostra nazywa się Hélène Ayele (co znaczy, że jest najstarszą córką). Kayi, moja młodsza siostra, zostanie ochrzczona imieniem Susanna. Mam też dwóch starszych braci, Foliego oraz Kaniego, którego zabierze choroba, zanim skończy rok życia. Dzięki tym zwyczajowym imionom mieszkańcy Zatoki Beninu mogą umieścić nasze rodzeństwo w odpowiedniej hierarchii.

Moi rodzice pochodzą z sąsiedniego Togo, kraju, którego szerokość nie przekracza miejscami pięćdziesięciu kilometrów. Mój ojciec, jak i wielu jego rodaków, wyemigrował do Ghany, skąd pochodzą jego przodkowie i gdzie mieszka część jego rodziny. Kraj ten, dawna kolonia brytyjska, jest duży i daje więcej możliwości pracy. Podział administracyjny w tym regionie to czysta formalność, a dla zamieszkujących go społeczności granice wyznaczają obszary językowe i kulturowe. Mój ojciec przeprowadził się do regionu zamieszkanego przez lud Aszanti, który utrzymuje dobre stosunki z ludem Mina. Ze strony obojga rodziców pochodzę z rodu kapłanów religii animistycznej z Glidji. Wioska ta położona jest na wybrzeżu Togo, tam, gdzie niegdyś znajdowało się święte miasto Genyigba, miejsce narodzin naszych dawnych władców. W mojej rodzinie tajniki wiedzy religijnej przekazywane są z pokolenia na pokolenie, tak jak i prawo do odprawiania magicznych rytuałów związanych z kultem bóstw *mina*, właściwych każdemu klanowi. Społeczeństwo afrykańskie opiera się na rodach, a przynależność do nich liczy się dla nas bardziej niż wykonywany zawód czy sytuacja materialna, jaką wyznaczyły nam koleje losu.

Moi rodzice tworzą piękną parę. Tata jest wysoki, szczupły, smukły i ma regularne rysy twarzy, na której maluje się spokój. Mówią, że on i ja jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople

wody. W dni świąteczne przywdziewa tradycyjny, odświętny strój, którego jedną połą zarzuca na lewe ramię, na rzymską modłę. Wszystko to, wraz z jego kocimi ruchami, nadaje mu prawdziwie królewski wygląd. Mama jest niska i drobna, młodsza od taty o jakieś piętnaście lat. Oczami wyobraźni widzę ją w ubraniu o stonowanych barwach, z chustą na głowie zawiniętą w majestatyczny turban. Mówimy na nią „Dada”. Porusza się z wielkim wdziękiem; spokojna i łagodna, rzadko podnosi głos. Pełna wiary w życie nie podejrzewa, co zgotuje jej los.

Tata jest stolarzem, ma swój warsztat, w którym pracownicy pod jego nadzorem produkują meble. Dochody z zakładu wystarczają nam na utrzymanie. Mama uzupełnia budżet domowy, gotując obiady dla uczniów pobliskiej szkoły. W szkole nie ma stołówki, umówiła się więc z dyrektorem, osobą duchowną, że będzie sprzedawać dzieciom posiłki. Codziennie zanoszą do szkoły potrawę z ryżu, którą wcześniej od świtu przygotowuje w domu. Usadawia się w kącie szkolnego podwórka, w cieniu rozłożystego mangowca, ze swoim wielkim garnkiem i plastikowymi talerzykami, a ustawione w ogonku dzieci kolejno podają jej monetę, którą dostały od rodziców, żeby kupić sobie obiad.

Nigdy się od niej nie oddalam. Gdy jestem jeszcze mała, od rana do wieczora nosi mnie w chuście na plecach. Zabiera ze sobą do szkoły, gdzie sprzedaje swoje obiady, a ja zasypiam przy niej kołysana krzykami uczniów. To na tym podwórku uczę się chodzić, trzymając się ścian. Gdy poruszam się już samodzielnie, zapuszczam się do sal szkolnych, depcząc niezdarne jak kaczątko, a uczniowie, którzy bardzo mnie lubią, wołają za mną „Dzidziusiu!” Siadam sobie więc z nimi grzecznie, a nauczycielka pozwala mi zostać w klasie, gdzie z uwagą słucham lekcji prowadzonych w języku Szekspira. Wcześniej zawitałam w szkolne mury, ale czytać i pisać nauczę się dopiero w wieku dorosłym.

Mieszkamy na kawałku ziemi, na którym liczne domy stoją jeden obok drugiego w półkolu, na wspólnym podwórzu, gdzie dzieci bawią się wszystkie razem. Niczego nam nie brakuje, czuję się szczęśliwa. Nie zdając sobie z tego sprawy, przeżywam najpiękniejsze chwile mojego dzieciństwa.

W niedziele tata zabiera nas na mszę. Mama rzadko nam towarzyszy, wierna kultowi przodków, nazywanych przez misjonarzy „fetyszami”. W przeciwieństwie do niej tata jest bardzo przywiązany do religii katolickiej. Już o piątej rano udaje się na pierwsze nabożeństwo. Potem wraca, je z nami śniadanie i przygotowuje się na sumę, na której zbierają się wszyscy mieszkańcy naszej wioski. Wszyscy ubieramy się odświętnie: dziewczynki wkładają piękne sukienki w europejskim stylu, białe albo różowe, z plisami i falbankami. Włosy zapleciono nam poprzedniego dnia w cienkie warkoczyki. Na nogach mamy sandały przywiązane do kostki rzemykami. Dla dzieci, które przez cały tydzień biegają boso, nosić je wcale nie jest takie proste.

Jeżeli ze wzruszeniem wspominam niedziele mojego dzieciństwa, to nie z powodu mszy, których z racji młodego wieku nie rozumiałam. To, na co czekam z niecierpliwością przez cały tydzień, to ta cudowna chwila, gdy mój tata wyciąga kodaka, żeby robić nam zdjęcia. Przestrzegamy ściśle ustalonego rytuału: po powrocie z mszy zamieniamy nasze niedzielne sukienki na tradycyjne ubrania. Następnie siadamy do stołu, wyłącznie tego dnia;

zazwyczaj jemy, siedząc na ziemi, na matach, wokół ustawionego pośrodku purée z futu, ignamu lub manioku, które jemy rękami. Ale w niedziele tata chce, żebyśmy naśladowali posiłki białych. Jemy przy stole, używamy talerzy i sztućców, a danie, które on sam przygotowuje, składa się z chleba, sałaty i jajek.

Po zakończonej sjeście tata mówi:

— Dziewczynki, ubierzcie się znów w niedzielne sukienki i ładnie uczeszcie! Zrobię wam zdjęcia...

Potem przynosi płyty winylowe, żeby stworzyć odpowiednią atmosferę. Szczególnie lubi

muzykę popularnych wówczas ghańskich artystów, jak Ebo Taylor, król funku z Akry; dźwięki tej muzyki wyzwalają nieodpartą chęć do tańca. Teraz się zacznie! Tata robi nam zdjęcia w różnych pozach: na stojąco, siedząco, z przodu, z profilu... Zazwyczaj odbywa się to na wspólnym podwórzu. Sąsiedzi przyglądają się nam w osłupieniu, a ich dzieci przybiegają zrobić sobie z nami fotkę. Podczas gdy moją siostrę Ayele nudzą te niekończące się niedzielne popołudnia, ja rozkoszuję się każdą chwilą. Nie wiem jeszcze o tym, ale właśnie uczestniczę w moich pierwszych w życiu sesjach zdjęciowych. Ten błogi czas da mi przedsmak atmosfery, jaka kilka lat później otaczać mnie będzie na co dzień. Nic mnie bardziej nie uszczęśliwia, niż móc wystroić się i pozować przed obiektywem ojca. Każdego niedzielnego poranka, gdy się obudzę, myślę tylko o tej chwili. Niestety, nie udało mi się zachować zdjęć z tamtych czasów i dziś pozostają mi tylko wspomnienia utraconego raj.

W Afryce liczna rodzina postrzegana jest jako błogosławieństwo, nawet jeżeli brakuje środków na jej utrzymanie. Dwa lata po moich narodzinach na świat przychodzi moja młodsza siostra, Kayi. Jak mi później opowiadano, oględnie mówiąc, nie byłam tym zachwycona. Czuję się odrzucona i zazdrosna o małą konkurentkę. Pozbawiona bliskości, jaka dotychczas łączyła mnie z matką, snuję się żałośnie po podwórku. Wówczas jeden z sąsiadów, widząc mnie we łzach, proponuje mojej mamie:

— Zajmij się niemowlęciem, a ja pobawię się z twoją córką. Nie martw się!

Mężczyzna ma około trzydziestki. Rano uczy się na stolarza w warsztacie mojego ojca, a popołudnia spędza na podwórzu naszego osiedla. Zapamiętam go jako człowieka wysokiego, szczupłego i umięśnionego, z krótko obciętymi włosami i ciemną skórą. Uchodzi za uprzejmego i zawsze uśmiechniętego, mimo to coś w nim sprawia, że trochę się go boję. Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy.

Widujemy go codziennie i mama ma do niego zaufanie. Z ulgą przyjmuje propozycję, licząc na to, że wujek — tutejsze dzieci tak go nazywają — poświęci mi swoją uwagę i mnie pocieszy. On bierze mnie na ręce.

— Chodź, Ayoko, pobawimy się! — mówi.

Udaje mu się mnie rozśmieszyć i na krótką chwilę zapominam o swojej zazdrości.

Pamiętam dokładnie tamto upalne popołudnie, gdy żaden, nawet najłżejszy podmuch wiatru nie łagodził przytłaczającego skwaru. Rodzice odpoczywają, a ja wałęsam się po podwórzu. Sąsiad siedzi na krześle i nuci pod nosem. Nagle chwyta mnie i sadza sobie na kolanach, przyciskając mocno do brzucha. Czuję, jak coś między jego nogami robi się twarde. Zaczyna się o mnie ocierać. Próbuję się wyrwać, piecze mnie, boli! Ale on trzyma mnie z całych sił. Czuję się jak osaczone zwierzę, boję się nawet krzyknąć. W Afryce dziecko nigdy nie przeciwstawia się dorosłemu: spuszcza wzrok i robi, co mu każą. Jako dwuipółlatka jestem zdecydowanie za mała, żeby pojąć, co mi się przydarza. Kilka lat później, kiedy zacznę już życie seksualne, zrozumiem, co się wtedy stało, ale poczucie wstydu nie pozwoli mi o tym mówić.

Scena ta będzie się powtarzać jeszcze przez kilka miesięcy i nikt z mojego otoczenia nie zwróci na to uwagi. Rodzice widzą w wujku tylko uczynnego sąsiada, który huśta dziecko na kolanach, żeby wyświadczyć im przysługę. W podziękowaniu za opiekę nad córką mój ojciec ciągle przynosi mu piwo i zostaje na wieczorne pogawędki. A mnie nocą męczą takie koszmary, że domagam się, by rodzice pozwolili mi z nimi spać. Nikt nie domyśla się powodów mojego zachowania. Nikomu z mojej rodziny ani z mojego otoczenia przez myśl nie przeszłoby, że ten człowiek może dopuszczać się podobnych czynów. Wciąż mam w pamięci tamte straszne sny, które odzwierciedlały moje traumatyczne przeżycia.

Tak oto wilk w owczej skórze pogrzebał moje dzieciństwo. Ale nie on jeden. Wkrótce pojawią się następni.

Kult pytona królewskiego

Kult voodoo bardzo wcześnie pojawił się w moim życiu. Mam zaledwie trzy lata, gdy ojciec po raz pierwszy zabiera nas, mnie i moją starszą siostrę, do swojej matki. Babcia mieszka w małej wiosce w Togo, niedaleko Togoville, ojczyźnie naszych przodków. Region ten leży na południu kraju i słynie z wierzeń voodoo — oddaje się tam cześć duchom, siłom nadprzyrodzonym, objawiającym się pod postacią różnych zwierząt. Kult voodoo pochodzi z Zatoki Beninu; jego wyznawcy czczą czterdzieści jeden bóstw, z których każde przypisane jest jednej rodzinie, zobowiązanej do oddawania mu hołdu przez kolejne pokolenia. Moja rodzina, ze stron obojga rodziców, przypisana jest do kultu pytona królewskiego, który przewodzi temu panteonowi. Zgodnie z tradycją funkcje kapłańskie przekazywane są z pokolenia na pokolenie kilku — lub wszystkim — członkom rodu. Zaniedbanie wynikającego z pokrewieństwa obowiązku sprowadza klątwę na całą rodzinę. Pierwszym etapem tego obowiązkowego rytuału jest udział w specjalnej ceremonii dla małych dzieci. Odbywa się ona w rodzinie ze strony ojca i służy inicjacji oraz zapewnieniu ochrony przed urokami.

Moja babcia nalega, żeby przekazać tradycję wszystkim jej wnukom. Tata jest przecież ostatnim żyjącym członkiem rodziny w swoim pokoleniu, a jego potomkowie — jedynymi dziedzicami rodu w tej linii. Jego katolicka żarliwość religijna nie przeszkadza babci ani trochę, dopóki przestrzega on zwyczajów przodków i pozwala przekazywać je swoim dzieciom. Nasz starszy brat Foli już dostąpił inicjacji. Kayi, nasza młodsza siostra, jeszcze w powijakach, zostaje z mamą w Ghanie.

Pierwszy raz w życiu Ayele i ja nie jesteśmy z matką i po raz pierwszy oddaliśmy się od domu. U kresu podróży, która wydaje się nie mieć końca, przybywamy do wioski leżącej w głębi lasu, z lepiankami o dachach krytych strzechą. Babcia wszystko już przygotowała i czeka na nas cierpliwie. Z pomocą ojca budzi nas energicznie w środku nocy. Z lampami naftowymi w rękach, rozespane wychodzimy z domu, przemierzamy polanę i zapuszczamy się do lasu. Babcia każe nam iść prosto przed siebie. Jest ciemna noc; zagubione w mroku zaczynamy się skarżyć. Wyczerpana wędrownką marzę tylko o jednym: wrócić do chaty, położyć się na macie i spać dalej.

— Chodźcie, dziewczynki — mówi cicho babcia. — Dajcie rączki, wszystko będzie dobrze...

Ayele i ja zataczamy się ze zmęczenia. Potykamy się o liany i pnie drzew, wzdrygamy z przerażenia, kiedy słyszymy wrzaski małp i pohukiwanie sów. Trzymając nas mocno za ręce, babcia prowadzi nas do przodu i podnosi, gdy upadamy.

— Jesteśmy na miejscu! — oznajmia w końcu tata.

Ludzka postać o czerwonych oczach, sprawiająca wrażenie gigantycznej, czeka tam na nas, przyczajona w półmroku. Okazuje się, że to czarownik, który od zmroku zajmuje się przygotowaniami do ceremonii. Choć panują ciemności, udaje mi się dostrzec ustawione przed nim mikstury, kości i wielki kocioł, w którym bulgocą poświęcone części zwierząt leśnych, złożonych wcześniej w rytualnej ofierze. Żarzący się pod kotłem węgiel drzewny rzuca na wysoką trawę czerwonawe błyski. Twarz czarownika, oświetlana tylko blaskiem płomieni, wygląda jak maska.

Dławi nas gryzący zapach palących się kości i skór zwierzęcych. Babcia rozebrała nas do naga i prowadzi ku szerokim glinianym dzbanom z wąskimi szyjkami. W każdym z nich leży zwinięty pyton królewski.

— Babciu! Tato! Tak strasznie się boję!

Zesztywniałam ze strachu, ale czarownik zapewnia mnie:

— Nie masz się czego bać. Pochodzisz ze świętego rodu, jesteś bezpieczna, pytony nie zrobią ci nic złego...

Wąż leży w wodzie. Czarownik każe nam zanurzyć rękę, zaczerpnąć wody i obmyć sobie nią twarz. Po czym sam wylewa na nas wodę z dzbana, wymawiając zaklęcia.

— Nie ruszajcie się. Musicie wyschnąć na powietrzu.

Jest chłodno i trzęsiemy się z zimna. Czarownik bierze nóż i robi nam nacięcia w zgięciach łokci i kolan, w które wkłada szczyptę popiołu ze zwierząt ofiarnych. Krew składa się w ofierze pytonom i bogu Legba, którego kult wyznaje wiele ludów zachodniej Afryki.

Ród mojej matki także czci pytona królewskiego. W jej rodzinie praktykuje się rytualne nacinanie skóry. Kapłanom i kapłankom wykonuje się osiem nacięć na twarzy, po cztery z każdej strony, na podobieństwo głowy pytona (między brwiami, przy oczach, na górze i dole policzków). Tradycja dziedziczona jest wyłącznie po ojcu, dzięki czemu nie poddano mnie temu rytuałowi. Gdyby w ten sposób okaleczono mi twarz, z pewnością zmieniłoby to całe moje życie.

Ceremonia w głębi puszczy wyznacza pierwszy — i najważniejszy — etap obrzędów wymaganych od przyszłej kapłanki voodoo. Po ich zakończeniu wracamy do Glidji na święto Epe-Ekpe, obchodzone z okazji nowego roku. Setki ubranych na biało uczestników malują wtedy ciała kaolinem, rodzajem białej gliny. W długich procesjach nad brzeg morza kobiety i dziewczynki noszą naszyjniki z kolorowych pereł. Kapłanki opętane przez duchy przodków, które próbują przemówić za ich pośrednictwem, wpadają w trans i mówią dziwnym, nieznanym językiem — językiem voodoo. Następnie młody mężczyzna, u którego wielodniowy pobyt w lesie wśród czarowników wywołał odmienny stan świadomości, płynie po leżący na dnie morza święty kamień — on przepowiada przyszłość. Jeżeli jest niebieski, spadnie deszcz. Jeśli biały, będzie pokój. Kamień koloru czarnego zwiastuje nieuchronną katastrofę.

Mimo że wywodzę się ze znamienitego rodu wyznającego voodoo, będę zawsze stronić od tego kultu. Jedyne, co mnie w nim pociąga, to jego szalony rytm; jako dziecko fascynuję się rytualną muzyką i tańcem. W każdy niedzielny wieczór, gdy daje się słyszeć u nas odgłos bębnow, razem z przyjaciółmi biegnę, przeciskając się przez tłum, aby uczestniczyć w ceremonii. Z rozbawieniem obserwuję, jak wyznawcy voodoo wpadają w trans, a kapłan prowadzący ceremonię potrząsa końskim ogonem i wymachuje nim we wszystkie strony. Wybucham śmiechem, co wyznawcy kultu bardzo źle odbierają. „Jeżeli masz się śmiać, lepiej odejdz: nie wiadomo, co może ci się przytrafić!”, straszą mnie. Przerazona, biorę nogi za pas.

Wraz z upływem lat całkowicie porzucę kult moich przodków, którego nie potrafię traktować poważnie. W przeciwieństwie do moich rodziców coraz trudniej mi pogodzić katolicyzm z animizmem. Zostałam ochrzczona, zanim jeszcze przeszłam rytualną inicjację, i ta religia zawsze będzie mi bliższa. Dla mnie Bóg jest obecny w kościele, a nie zwinięty w kłębek na dnie kamfory. Mimo to święty pyton mojego ludu nawiedza czasem moje sny. Upomina się o mnie, wzywa do zajęcia należnego mi miejsca na łonie rodziny. Wybrałam inną drogę, bo prawdę mówiąc, odrzuciłam tradycję przodków. Ale wciąż jeszcze walczą we mnie sprzeczne moce duchowe...

Rozdarcie

Moje beztroskie dzieciństwo kończy się z dnia na dzień z chwilą, gdy mama dowiaduje się, że w życiu ojca pojawiła się inna kobieta. A że nieszczęścia zawsze chodzą parami, okazuje się, że rywalka jest z nim w ciąży. W naszej kulturze to zdarza się często, moja mama sama jest córką najmłodszej z wielu żon swojego ojca: dziadek był już stary, gdy poślubił babcię, wówczas nastolatkę z tego samego pokolenia, co niektóre z jego własnych dzieci. Nie zmienia to faktu, że mama czuje się zdradzona. Poligamia naraża współmałżonki i ich dzieci na zazdrość i samowolę. Wychodząc za męża, miała zapewne nadzieję nigdy więcej nie przeżywać w swoim domu wzajemnej niechęci, jaka naznaczyła jej dzieciństwo. Mama, która kocha ojca z całego serca, odbiera tę sytuację jako zniewagę równie nieoczekiwaną, co niewybaczalną. Czy tata myślał, że będzie mógł spokojnie dzielić życie z dwiema żonami, tak jak robią to wszyscy wokół?

Od jakiegoś czasu, słysząc płacz mamy i niekończące się kłótnie rodziców, domyślamy się, że dzieje się coś złego. Pewnego dnia mama oświadcza bez ogródek:

— Dziewczynki, wyjeżdżamy do mojej rodziny, do Lomé. Najwyższy czas, żebyście ją poznały!

Rodzice postanawiają: Foli zostaje z ojcem, a córki z matką, taką zazwyczaj podejmuje się decyzję w Afryce w przypadku rozstania. Czuję, że Foliemu jest smutno, że traci nas w taki sposób. Ten brutalny rozłam w naszej rodzinie rozpoczyna czas cierpienia; odcięto mi pępowinę, rozdzielono z ojcem i bratem, wyrwano ze spokojnego dotychczas życia rodzinnego.

W Ghanie mieszkaliśmy w głębi lądu, natomiast w Togo przeprowadzamy się na wybrzeże, gdzie razem z siostrami odkrywam radość zabaw na plaży. Zatrzymujemy się u przyrodniej siostry mamy, Kokwe, którą nazywamy „Nagan”, „ciocia” w języku mina. To naprawdę wspaniałomyślna kobieta; gdy tylko dowiedziała się o naszej sytuacji, ze szczerego serca zaoferowała nam gościnę. Dzięki swojej wielkiej pracowitości może pozwolić sobie na wygodne życie. Nagan Kokwe jest prawdziwą „Mamą Benz”, tak mówi się tutaj o handlarkach, które zaczynały od sprzedawania wody na targu i którym tak powiodło się w interesach, że dorobiły się mercedesa benza. Nasza ciotka jeszcze co prawda go nie ma, ale już może sobie pozwolić na własny samochód i usługi kierowcy. Zarządza firmą przewozową i sprzedaje hurtowo tkaniny. Proponuje mamie, by u niej pracowała, a my zostajemy zapisane do szkoły, gdzie uczę się podstaw języka francuskiego. Jej dom jest duży, przestronny i zawsze mamy co jeść.

Tata będzie próbował nas odzyskać, ale mama nigdy się na to nie zgodzi. Tęsknimy za nim i za naszym bratem Foliem, ale powoli przystosowujemy się do nowej sytuacji. Kilka miesięcy po naszej przeprowadzce mama poznaje Nestora, togijskiego policjanta, który krąży dumnie po Lomé na swojej vespie z napisem „Apollo 10” — to nawiązanie do amerykańskiego wahadłowca. Nestor jest przystojny, wysoki i dobrze zbudowany — prawdziwy z niego uwodziciel. Dzięki swojej pensji mógłby żyć wygodnie i dostatnio, gdyby tak nie ciągnęło go do kobiet, co doszczętnie go rujnuje. Stosuje więc system rotacyjny: mieszka sam i przyjmuje kolejno swoje liczne kochanki. Zanim mama wreszcie to zrozumie, jest już za późno: zachodzi w ciążę. Pewnego dnia staje twarzą w twarz z jedną z wielu kochanek Nestora, która twierdzi, że jest jego jedyną prawną żoną. Zapewne nie jej jednej tak się wydaje. W okolicy mówią, że nasz ojczym spłodził co najmniej dwadzieścioro troje dzieci!

Sytuacja jest cokolwiek absurda. Matka rozstała się z ojcem i skazała nas na wygnanie, bo nie zgadzała się dzielić się mężem z inną kobietą. A teraz jest w ciąży z jednym z najgorszych donżuanów w całym Lomé! W przypadku Nestora nie chodzi już nawet o oficjalną poligamię. On

posiada wiele „biur” — w Afryce Zachodniej o kochance mówi się: mieć drugie biuro, trzecie biuro itd. Mama pewnie zaczęła myśleć racjonalnie: sama, z czeredką małych dzieci na głowie, słaba i bezbronna, musi zdobyć się na poświęcenie, żeby skorzystać z męskiej opieki, nawet w ograniczonym zakresie.

Mamy dwóch przyrodnych braci, Hippolyte’a i Bosco, urodzonych z jej związku z Nestorem — a więc już pięcioro dzieci w domu. Dobra i kochająca nas Nagan Kokwe akceptuje tę sytuację ze stoickim spokojem, aż do tego tragicznego dnia, kiedy nagle umiera. Była jeszcze młoda i wyglądała na zupełnie zdrową, nie mam pojęcia, jaka choroba ją zabiła. Nasze życie zmienia się z dnia na dzień. Mąż ciotki, poligamista, rzadko ją odwiedzał; teraz wzywa naszą mamę.

— Twoja siostra nie żyje. Nie możecie zostać tu dłużej, ani ty, ani twoje dzieci — mówi.

— Ale gdzie się podziejemy?! Jesteś mężem mojej siostry, a my mieszkamy u niej od tylu lat!

— Zamierzam sprzedać dom. Nie jestem ci nic winien.

— Nie możesz nas tak po prostu wyrzucić! Mam pięcioro małych dzieci...

— Daję ci miesiąc. I ani dnia więcej.

Jego decyzja jest nieodwołalna. Co robić? Moja starsza siostra ma dopiero osiem lat. Mama zaczyna szukać bardziej wyrozumiałych krewnych; jeden z wujków pozwala nam zostawić u siebie trochę rzeczy, ale w swoim domu nas wszystkich nie pomieści. Wszędzie słyszymy tę samą odpowiedź: jest was za dużo. Nikogo nie stać na litowanie się nad nami, najwyżej ten i ów zaprasza nas na obiad. Wkrótce cała nasza piątka ląduje na ulicy.

Nie mamy dachu nad głową i musimy spać pod gołym niebem. Nigdy nie mogłam zrozumieć: co to za romantyzm spać pod gołym niebem? Chyba na zawsze pozostanie to dla mnie tajemnicą. Coś takiego musiał wymyślić ktoś, kto z własnej woli spał sobie w blasku księżyca, mając jednocześnie własny dom. My nie mamy wyboru i blask księżyca jest dla nas marną pociechą. Nie pozwala zapomnieć o twardej ziemi, na której — z braku mat — musimy spać na kartonach zabranych z targu. Głęboką nocą udaje nam się schronić na wewnętrznych podwórzach domów, dzięki temu nie śpimy na środku ulicy. Wokół naszych zaimprovizowanych legowisk roi się od szczurów, jaszczurek i kto wie, czego jeszcze! Gdy zdarzy nam się zapomnieć umyć ręce po jedzeniu, myszy przychodzą obgryzać nam czubki palców.

Najbardziej boimy się, że niebo spadnie nam na głowę albo raczej — spuści na nas ulewne deszcze. W Zatoce Beninu podczas pory deszczowej ulewa może trwać bez przerwy kilka godzin. W ciągu dnia bardzo nas to cieszy. Ale nocą jest koszmarem. Nasze gromadka przytula się do ścian domów, aby schować się pod blaszanymi dachami. To jednak nie wystarcza, żeby schronić się przed deszczem; z mokrymi nogami, zataczając się z niewyspania, nieraz przewracamy się w błocie. Nigdy w życiu nie zapomnę tamtych nocnych nawałnic — pozostaną moim najgorszym wspomnieniem wielomiesięcznej tułaczki.

Widząc, że nasza sytuacja nie ulega poprawie, rodzina próbuje pomóc nam, jak może. Jedna z ciotek dopada Nestora.

— Jak możesz pozwalać, żeby twoja żona i dzieci żyły na ulicy? Nie wstyd ci? Stać cię przecież na to, żeby im pomóc!

Z początku ojczym tylko wzrusza ramionami, jakby ten problem go nie dotyczył. Ale z czasem, pod presją rodziny naszej mamy i wobec dezaprobaty innych mieszkańców dzielnicy, wynajmuje w końcu dla nas pokój. Oświadcza jednak, że interesuje go wyłącznie los jego synów, a sytuacja córek naszej mamy jest mu zupełnie obojętna. Matka przystaje na ten pokrętny układ, aby tylko nie żyć na ulicy. Ale dach nad głową nie rozwiązuje wszystkich naszych problemów. Nestor wciąż zapomina płacić za czynsz, a pokój jest zdecydowanie za ciasny dla całej naszej

piątki. Choć mama bardzo się stara, nie udaje jej się zapewnić nam utrzymania. Jak miałyby jej się to udać, skoro Nestora tak naprawdę kompletnie nie obchodzi, czy jego synowie mają co jeść? Wydaje się, że on jednego ma pod dostatkiem — przemocy fizycznej: często zachowuje się brutalnie w stosunku do matki i do nas, wymachując ochoczo swoją policyjną pałką.

Mama nie daje już rady zająć się nami. Ze ściśniętym sercem podejmuje decyzję o wysłaniu nas, dziewczynek, do różnych krewnych. Ja wyjeżdżam pierwsza. Jeden z wujków przyjechał właśnie z żoną na wakacje do Togo. Nazywa się Akouété i jest bliźniaczym bratem mojej mamy. Gdy spostrzega skrajną biedę, w jakiej żyjemy, proponuje mamie:

— Widzę, że twoje dzieci chodzą głodne. Jestem gotów wychowywać jedną z twoich córek, jeżeli mogłoby ci to pomóc.

Na to mama zwraca się do mnie:

— Ayoko, ty pójdziesz do wujka. Masz szczęście, on zapisze cię do szkoły, będziesz szczęśliwa!

Nie mam nic do powiedzenia. U nas często zdarza się, że dzieci dorastają u różnych krewnych, jeżeli sytuacja materialna rodziców tego wymaga. A sytuacja materialna mojej matki jest katastrofalna. Mimo to serce mi się kraje na myśl o kolejnej rozłące, tym razem z nią. Feralnego dnia mama pakuje mój skromny dobytek do tobołka i powierza mnie opiece wujka i ciotki. Mając sześć lat, opuszczam Togo i wyjeżdżam do Gabonu, nie podejrzewając nawet, jak okrutny los mnie tam czeka.

Mała niewolnica

Z portu w Lomé wyruszamy w drogę do Libreville. To moja pierwsza w życiu podróż statkiem. Zaledwie togijskie wybrzeże zniknie w wieczornej mgle, kiedy zrobi mi się niedobrze; będę wymiotować przez całą drogę, co nie zaniepokoi jakoś szczególnie wujka ani ciotki, rozbawionych i zajętych rozmowami z pozostałymi pasażerami; ja siedzę wykończona na pokładzie i zwracam, gdzie się tylko da. Jedynie kapitan, przy okazji obchodu statku, zaniepokoi się:

— To dziecko potrzebuje wody i trochę ruchu!

Wtedy zrozumiem, że obojętność moich opiekunów zapowiada to, co czeka mnie w Libreville. Po przybyciu na miejsce objawią mi się w całej swojej okropności zasady działania tych afrykańskich Thénardierów. Mój wujek Akouété jest raczej miły, ale nie miesza się w sprawy domowe. Jego związek to małżeństwo z rozsądku, zaaranżowane przez rodzinę. Jego żona nosi to samo imię, co ja: Ayoko, ma surowy wyraz twarzy i wystające kości policzkowe. To ona dominuje. Prawdziwy domowy tyran, który wrzeszczy na wszystko, co się rusza.

Akouété pracuje w przedsiębiorstwie prowadzonym przez Europejczyków. Uciekając przed wiecznymi wyrzutami ze strony swojej żony, chroni się w pracy i wraca do domu tylko po to, żeby się najeść i wyspać. Ciotka i wujek mają trzyletniego wówczas syna Felego; wujek ma jeszcze drugiego syna z Gabonką: dwunastoletniego Ayaho. Mieszka z nami także siostrzenica ciotki, dziesięcioletnia Affie. Sposób, w jaki ją traktują, mrozi mi krew w żyłach. Affie jest prawdziwą niewolnicą, harującą za Bóg zapłać. Mimo młodego wieku to ona wykonuje większość prac domowych i odpowiada za porządek. Biada jej, jeżeli wszystko nie jest idealnie wysprzątane, kiedy wraca ciotka.

— Ale tu brudno! Ty leniwa dziewucho!... — wrzeszczy, okładając ją pięściami.

W nocy Affie śpi na podłodze w salonie. Ledwo zdążę zlitować się nad nią, gdy sama podzielę jej los: razem musimy sprzątać dom i szorować garnki.

Obietnica złożona mojej matce, że pójdę do szkoły, nigdy nie zostanie dotrzymana, szkoła to przywilej zastrzeżony dla kuzyna Ayaho. Jego i mnie dzieli gruby, niewidzialny mur; takie zero jak ja ledwo ma prawo się do niego odezwać. Ciotka uważa już za szczyt wspaniałomyślności fakt, że wzięła mnie do siebie. W stosunku do Affie zachowuje się okropnie, ale przynajmniej one są ze sobą spokrewnione, czego nie można powiedzieć o mnie i ciotka bardzo wyraźnie daje mi to odczuć. Oprócz sprzątanía domu każe mi pomagać sobie w interesach.

Ciotunia Ayoko jest handlarką. Ciężko pracuje i jest bardzo wymagająca. Ma skromny sklepik, gdzie sprzedaje różne produkty z bazaru; sprzedaje też pączki i tę właśnie misję zamierza powierzyć mi od teraz. Codziennie wieczorem będę przygotowywać ciasto, a pączki smażyć następnego dnia rano przed pierwszym paniem koguta. Po czym sprzedaję je na targu, podczas gdy Affie stoi przy swoim małym straganie przed domem. W tamtych czasach odżywiam się głównie pączkami, które nie nadają się do sprzedaży.

— Weź to, Ayoko, i nie wracaj, dopóki wszystkiego nie sprzedasz! — krzyczy na mnie ciotka już od świtu.

Bez słowa robię, co mi każe. Pączki ułożone są w piramidę na wielkiej aluminiowej tacy, którą nauczyłam się równo nosić na głowie. Ale jestem dużo mniejsza niż dorośli, którzy na targu popychają mnie i potracają, i z łatwością mogą ukraść mi parę pączków. Taca jest ciężka i gorąca, powietrze duszne, a praca wyczerpująca fizycznie, nie mam jednak prawa wrócić do domu, dopóki wszystkiego nie sprzedam.

Oczywiście zupełnie nie daję sobie rady z liczeniem utargu. Ciotunia Ayoko nauczyła mnie podstaw arytmetyki, żebym umiała wydawać resztę, ale dla małej dziewczynki, która nie otrzymała wykształcenia, nie jest to wcale łatwe. Pod koniec dnia rachunek nigdy się nie zgadza. Z powodu skradzionych pączków i błędów w rachunkach zawsze brakuje kilku drobnych. Za każdym razem ciotka każe mi za to słono zapłacić.

— Ayoko, oddaj mi brakujące pieniądze!

Skrupulatnie układa monety i pomięte banknoty w równe stopy. Ceremoniał ten napawa mnie przerażeniem, stoję sparaliżowana ze strachu i boję się oddychać. Na moje nieszczęście zawsze brakuje kilku franków i zawsze dostaję za to w skórę. Gdy ciotka ma gorszy dzień, nie zadowala się biciem mnie rękami, ale okłada mnie wszystkim, co popadnie, nawet metalowym cedzakiem do wyjmowania pączków z wrzącego oleju. Moja skóra jest poparzona, pokryta pęcherzami i pręgami blizn. Jej brutalna przemoc, której towarzyszą plugawe obelgi, zdaje się nie mieć granic. Upojona własną złością, niczym opętana traci kontrolę nad sobą.

Drzemią w niej niewyczerpane pokłady sadyzmu. Pewnego dnia wracam z targu pełna obaw, wydłużając jak tylko mogę drogę do domu — jeżeli to miejsce tortur można w ogóle nazwać domem. Sprzedałam wszystkie pączki, niosę w dłoni pustą tacę, pieniądze schowane w węzełku u pasa. Ciotunia Ayoko już czeka na mnie w kuchni. Oddaje się katordze codziennych rachunków: ona siedzi, ja stoję w progu i trzęsę się ze strachu.

— Brakuje dwudziestu pięciu franków! Co ześ z nimi zrobiła? Wydałaś moje pieniądze, złodziejko jedna!

— Nigdy w życiu, przysięgam! Ludzie mnie popychają... i czasem się myślę przy wydawaniu reszty... Wybacz mi, proszę!

— Nie masz prawa się mylić! Wiem, że codziennie mnie okradasz!

Instynktownie osłaniam twarz rękami, a ciotka wymierza mi pedagogicznie dwa policzki. Zaraz potem nakazuje surowym tonem:

— Stój tu i się nie ruszaj!

Ocieram łzy rąbkiem sukienki i stoję nieruchomo, czekając na karę. Kątem oka widzę, jak na płaskim kamieniu ciotka rozciera imbir i paprykę chili, jedną z najostrzejszych i najbardziej pikantnych, jakie istnieją. Wraca i wbija we mnie wzrok z dzikością drapieżnika gotowego rzucić się na swoją zdobycz. Nagle łapie mnie za rękę i związuje mocnym sznurem.

— Chodź no, złodziejko! Już ja cię nauczę!

Kopniakiem powala mnie na ziemię. Pochyla się nade mną, rozsuwa mi uda, w głębi dłoni chowając masę, którą wyrobiła z przypraw... i wpycha mi tę miksturę do pochwy. Skowyt, jaki wydałam z bólu, słyhać było chyba na drugim końcu Gabonu. Tego uczucia palącego bólu nie da się opisać słowami. Tamtego dnia — a miałam dopiero siedem lat — skończyło się moje dzieciństwo. Ciotka, kierowana nienasyconym okrucieństwem, idzie po drugi sznur, żeby związać mi nogi. Rozpacz dodaje mi siłę; udaje mi się wyrwać i uciec z domu.

Pędzę jak straceniec i krzyczę przeraźliwie, targana bólem. Poprzedniego dnia padał deszcz, na drodze pełno błotnistych kałuż, siadam więc w jednej z nich, mając nadzieję, że przyniesie mi to ulgę. Ale ta niewyobrażalna męka chyba nigdy się nie skończy. Udaje mi się rozwiązać zębami węzeł, który krępuje mi nadgarstki, podnoszę się i wlokę z trudem w stronę targowiska. Każdy krok przynosi cierpienie. Zniknąć, zniknąć bez śladu. Wszystko, tylko nie wracać! Zapada zmierzch, skulona układam się do snu pod straganami, mimo śmieci i smrodu.

Przez jakiś czas będę ukrywać się na targu. Zebrzę w ciągu dnia, prosząc o pieniądze ludzi, którzy kupowali ode mnie pączki. Czekam pod barami i zbieram resztki zostawiane przez klientów. Gdy zapada noc — a w tropikach zapada szybko — wracam schować się pod straganami. Żyję z dnia na dzień, bez widoków na ocalenie. Wiem tylko, że żaden los nie może

być gorszy od powrotu do mojego kata. Niestety! Po wielodniowych poszukiwaniach rodzina ciotki w końcu trafiła na mój ślad. Zmieniłam się nie do poznania; jestem cała pokryta wszami i robactwem, gdy kuzyn Ayaho wieździe mnie z powrotem do piekła, mimo moich prób wyrwania mu się. Już czuję, że za ucieczkę zapłacę najgorszymi upokorzeniami.

Okrucieństwo i choleryczny temperament ciotuni Ayoko nie jest dla nikogo w sąsiedztwie tajemnicą. Ale ani w Libreville, ani nigdzie indziej nikt nie zamierza mieszać się w sprawę sąsiadów. Na widok tego, jak ciotka rujnuje moje dzieciństwo, nawet wujek odwraca wzrok. Widząc jego bierność, świadkowie mojej męczarni też nie są skłonni do interwencji i poprzestają na trzymaniu się z dala od moich Thénardierów, rzadko przychodzą z wizytą czy zapraszają do siebie. Jestem daleko od mojego kraju i mojej prawdziwej rodziny i nie mam nikogo, kto by mnie obronił. Od tej chwili, z obawy, żebym znowu nie uciekła, związują mnie na noc jak prosiaka. Śpię na ziemi w kuchni, ze skrępowanymi rękami i sznurem wokół kostek przywiązany do nogi ciężkiego stołu.

Z tych lat udręki zachowałam tylko jedno radosne wspomnienie, równie piękne, co ulotne. Niedaleko nas mieszkała para Francuzów, z naszego podwórka mogłam dojrzeć skrawek ich ogrodu: wszystko zielone, czyste, starannie wypielęgnowane. Pewnego dnia kobieta o imieniu Françoise puka do naszych drzwi.

— Dzień dobry, jestem waszą sąsiadką. Chciałabym zaprosić państwa z dziećmi na podwieczorek w przyszłą niedzielę.

— Tak, proszę pani, dziękuję pani, muszę zapytać męża...

Co za dziwne uczucie widzieć ciotunię Ayoko, tę jędzę, zazwyczaj tak okrutną, jak nagle łagodnieje przed Francuzką, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Żadna Europejka nigdy dotąd nie zaprosiła jej do siebie. Wówczas jedynymi Afrykańczykami, którzy kontaktują się z białymi, są ich gosposie i opiekunki do dzieci. Z wyjątkiem świata biznesu, w którym pieniądze nie mają ani zapachu, ani koloru, czarni i biali nie spotykają się ze sobą. Zaproszenie zbija ciotkę i wujka z tropu, ale w obawie przed popełnieniem nietaktu zmuszeni są je przyjąć.

Następnej niedzieli, o szesnastej, idziemy z wizytą do naszej francuskiej sąsiadki. Wujek, ciotka, obaj chłopcy, Affie i ja sprawiamy wrażenie idealnej rodziny. Françoise przygotowała nam na podwieczorek prawdziwe przyjęcie: czekolada, cukierki, rozpuszczalne kakao, słodkie napoje... W moich wspomnieniach tamto niedzielne popołudnie ma w sobie coś baśniowego. Na podłodze leżą pięknie opakowane paczuszki.

— Chodźcie, dzieci, to dla was! — mówi Françoise.

Podchodzimy nieśmiało. Chłopcy dostają autka, Affie zabawkę do kąpieli. A dla mnie nasza sąsiadka zarezerwowała najwspanialszą niespodziankę: przepiękną lalkę o długich blond włosach i niebieskich oczach, które zamykają się i otwierają, kiedy się ją przechyla. Na widok mojego zachwyty oczy Françoise zachodzą łzami wzruszenia — albo litości. Oczarowana, biorę mój skarb ostrożnie w dłoń. Nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego. Delikatnie kołyszę lalkę, powtarzając zapamiętane z dawnych czasów gesty mojej mamy. Jestem w innym świecie, śnię sen na jawie.

Ale pobudka jest brutalna. Wieczorem, zaraz po powrocie do domu, ciotka wyrywa mi lalkę i sadza ją na szafie, na stosie walizek.

— To nie jest prezent dla ciebie, nie zasłużyłaś na niego, mała niewdzięcznico!

Jak zwykle wujek nie interweniuje.

Nigdy więcej nie będę miała okazji dotknąć mojej lalki i ponosić jej na rękach. Nawet wspinając się na krzesło, nie potrafię jej dosięgnąć; widzę tylko kosmyk jej włosów. Gdy ciotka wychodzi z domu, stoję na palcach na taborecie i przyglądam się pięknym blond lokom. Trochę mnie to pociesza. Może i jest niedostępna, ale to wciąż moja lalka! Jedyny prezent w ciągu tych

wszystkich lat. Pamięć o niej towarzyszy mi do dziś i nigdy mnie nie opuści. Jak mogłabym odwdzińczyć się Françoise za tę radosną chwilę, która rozświetliła mroki mojego dzieciństwa? Tamtej niedzieli poczułam, że mam dla kogo żyć, przez te kilka godzin mogłam wyobrazić sobie życie lepsze od mojego losu popychadła.

Życie toczy się dalej swoim posępnym torem. Pewnego wieczoru wujek wraca z pracy wcześniej niż zwykle. Przyprawia jakiegoś nieznajomego i razem z ciotką, która przygotowała napoje i inne smakołyki, w trójkę rozsiadają się w salonie i rozmawiają. Najwyraźniej nie jest to zwykła wizyta. Czuję, że szykuje się coś szczególnego. Gdy wołają mnie do siebie surowym tonem, odruchowo kulę się ze strachu. Co mnie znowu czeka? Wchodzę nieśmiało do salonu. Wujek, jego żona i ich gość siedzą wygodnie ze szklaneczkami w rękach. Przywołują mnie gestem i wujek chłodnym tonem oświadcza:

— Ayoko, twój tata zmarł w Ghanie.

Słowa, zimne i ostre jak ostrze noża, wiszą w powietrzu kilka sekund. Żadnej otuchy, żadnego pocieszenia, nawet nie zaproponują mi, żebym usiadła na minutę. Wpatruję się w talerz z ciasteczkami: och, jakbym ich spróbowała. Ale ciotka odsyła mnie gestem dłoni. To wszystko. Mogę wyjść.

Zapadła noc. Opuszczam salon i siadam na podwórzu. Łzy nie chcą płynąć, jakbym nic nie czuła. Gdzieś głęboko we mnie rodzice już dawno umarli. Oddali mnie tej wiedźmie i nigdy nie zatroszczyli się o to, żeby wyrwać mnie z jej szponów. Dla mnie już nie istnieją. Próbuję przywołać wspomnienia naszego życia w Ghanie: myślę o szczęśliwych chwilach, gdy ojciec robił mi zdjęcia, a ja wirowałam w mojej plisowanej sukience. Ale moje oczy pozostają suche jak Sahel, jak gdybym nie była już zdolna do odczuwania jakichkolwiek emocji.

Ciotunia Ayoko zabiła we mnie dziecko. W Libreville ostatecznie zmarła moja dusza małej dziewczynki — wypaliła ją lawa nienawiści.

Ucieczka

Jakiś czas później umiera jeden z wujków ze strony mojej matki, co powoduje, że razem z wujkiem Akouété jedziemy do mamy do Togo. W pewien sposób ta śmierć uratuje mi życie. Po pogrzebie postanawiam już nigdy nie wracać do Gabonu. Paraliżuje mnie sama myśl o tym piekle, ale nie potrafię wyrazić tego słowami. Chowam się więc, odmawiam jedzenia, jestem gotowa zrobić wszystko, nawet się rozchorować, aby tylko zostawiono mnie z mamą, w jedynym miejscu, w którym czuję się bezpieczna. Zbliży się dzień wyjazdu, wujek ma zabrać mnie z powrotem do Libreville.

— Co się dzieje, Ayoko? Dlaczego nie chcesz wrócić z wujkiem? Obiecał, że teraz już zapisze cię do szkoły — pyta zaniepokojona w końcu mama.

Patrzę na nią bez słowa, łzy płyną mi po policzkach. Łapię ją za nogi, jakbym chciała przykleić się do niej na zawsze. Mama nie rozumie, ale czuje mój niepokój i domyśla się, że za nic na świecie nie wrócę. I wtedy wypowiada słowa, na które czekałam od tak dawna:

— Wiesz co, Akouété, Ayoko zostanie tu ze mną.

Czuję, jakbym odżyła. Nagle wszystkie objawy mojej zgryzoty znikają jak ręką odjął, odzyskuję apetyt, znów się uśmiecham, znów bawię się z rodzeństwem, nagle uszczęśliwiona, że wreszcie jesteście razem.

Matka mieszka teraz w skromnej chatce, za którą czynsz wciąż nieregularnie płaci Nestor. Jej obecna sytuacja nie jest wcale bardziej godna pozazdroszczenia niż przed moim wyjazdem. Urodziła trzeciego chłopca i nadal z trudem wiąże koniec z końcem. Codziennie musimy walczyć o przeżycie. Ale przynajmniej jestem znowu z moją spokojną i kochającą mamą, i tylko to się dla mnie liczy.

Niedługo potem, w samym środku roku szkolnego, mama postanawia zapisać mnie do szkoły. Mam wówczas osiem lat i zaczynam od zera, podczas gdy pozostali uczniowie nabyli już podstawową wiedzę. To, czego nauczyłam się za czasów Nagan Kokwe, zdążyłam już dawno zapomnieć. Dyrektor każe mi chodzić do klasy z najmłodszymi dziećmi, to dla mnie upokarzające, tym bardziej że jestem wysoka, jak na swój wiek. Koledzy śmieją się ze mnie, gdy widzą, że ledwo potrafię odczytać litery z tablicy. Jedyny przedmiot, który mniej więcej opanowałam — po tęgiej nauce, jaką dostałam na targu w Libreville — to rachunki. Z moim doświadczeniem życiowym zupełnie nie pasuję do dzieci w szkole, wydaje mi się, że nie ma tu dla mnie miejsca. Czuję się tak nieswojo, że nie potrafię nauczyć się czytać i pisać.

W szkole rządzą surowe zasady: gdy uczeń nie umie lekcji, nauczyciel bije go za karę. Baty dostaje się za każde, najmniejsze nawet przewinienie. Po tym, przez co przeszłam w Gabonie, nie mogę znieść takiej przemocy, zaczynam więc wagarować. Codziennie rano grzecznie wkładam mundurek koloru khaki, ale zamiast iść do szkoły, podążam w stronę przedszkola w Marinie, dzielnicy, w której mieszczą się ambasady i pałac prezydencki. Tam wszystko jest czyste i nieskazitelne, wzdłuż szerokich alei rosną równo palmy, kołysane lekką nadmorską bryzą. Dokładne przeciwieństwo zaniedbanych uliczek, oplatających biedne dzielnice. Do tego przedszkola chodzą dzieci europejskich ekspatów i togijskich dygnitarzy. Codziennie zatrzymuję się na chwilę przed ogrodzeniem i przyglądam, jak baraszkują na przedszkolnym podwórku. Co za uczucie patrzeć, jak te wymuskane brzdące grają w piłkę, huśtają się na huśtawce albo bawią lalkami! Mają tam zabawki, których istnienia dotychczas nawet nie podejrzewałam. Dzieci z Mariny przypominają mi aniołki, takie aniołki widziałam w kościele; myślę, że dzieci boże, o których mówił ksiądz na mszy, to właśnie one.

W soboty przedszkole jest nieczynne. Korzystam z tego, że na czas sprzątania bramy

ogrodzenia są otwarte, wślizguję się na podwórze i grzebię w śmietniku z nadzieją znalezienia resztek zepsutych zabawek. Pewnego dnia znajduję głowę lalki. Ma piękne blond włosy, które przypominają mi moją niebieskooką anielicę, prezent od Françoise z Libreville. Ze szmatek, znalezionych wśród skrawków tkanin u miejscowego krawca, dorabiam jej tułów, ręce i nogi i ubieram ją w krótkie sukienki w europejskim stylu. Jasne, że lalka jest byle jaka. Głowa jej się nie trzyma i muszę nosić ją ułożoną na rękach. Ale przynajmniej jest naprawdę moja. Tutaj, z dala od ciotuni z Gabonu, nikt mi jej nie odbierze. Dając jej ciało, dałam jej życie. To jedyna lalka, jaka kiedykolwiek naprawdę do mnie należała, chociaż nie może zatrzeć bolesnego wspomnienia dziecięcej zabawki, schowanej wysoko na szafie u mojej macochy.

Moje kombinacje wychodzą w końcu na jaw. Mama wścieka się na wieść, że wagaruję.

— Jak możesz robić mi coś takiego! Tak się starałam, żebyś poszła do szkoły! Zapłaciłam za lekcje, kupiłam mundurek!...

Ze wstydem wbijam wzrok w podłogę.

— Ja wypruwam sobie żyły, żeby cię wysłać do szkoły, brakuje nam na jedzenie, i na co to wszystko?

Milczę, czekam, aż minie jej złość.

— Skoro tak, to pójdziesz do pracy i pomożesz zarobić na dom!

Podnoszę głowę z nieśmiałym uśmiechem.

— Pomogę ci, mamó, obiecuję!

Postanawiamy, że zajmę się handlem wymiennym, proponując wodę na targu. Codziennie rano nalewam do miski wodę z kranu, usuwając z niej uważnie wszystkie owady. Kupuję lód do schłodzenia wody i z miską na głowie wyruszam na targ. A tam wymieniam szklanki wody za trochę jedzenia: tu bakłażan, tam pomidor, papryka, mango, kawałek wędzonej ryby, okra, przyprawy... Sprzedawcy raczej nie mogą opuścić straganów, żeby iść kupić sobie coś do picia, więc przemierzam targowisko wzdłuż i wszerz z moją miską chłodnej wody. Wieczorem przynoszę do domu trochę jedzenia. Nie jest go dużo, ale w naszej sytuacji lepsze to niż nic.

Mamy też inne źródło dochodów: orzechy nerkowca. W Togo nazywa się je *yevosi* (nasionami białych ludzi). Tkwią w czerwonych łupinach, które są słodkie i dlatego nietoperze przylatują je obgryzać. Podczas nocnego żeru zwierzęta upuszczają łupiny razem z orzechami i wtedy dziewczynki, takie jak ja, o czwartej rano spieszą z lampami naftowymi w rękę, aby zbierać orzechy rozrzucone pod drzewami. Jak najszybciej napełniamy nimi wiadra, obieramy z resztek łupin i idziemy sprzedać nerkowce na targu.

Niedziela to dzień mszy świętej. W Lomé mama czasami zgadza się w niej uczestniczyć. Przed kościołem imponujący obraz przedstawia Chrystusa: ma niebieskie oczy i długie blond włosy opadające na ramiona. W środku świątyni to samo: anioły, święci, Matka Boska, wszyscy mają jasną skórę i złote loki. Czuję się zakłopotana: czy trzeba mieć białą skórę i jasne włosy, żeby pójść do nieba? W naszym kościele jedynym Afrykańczykiem jest diabeł. Ma czerwone ciało i rozwidlony ogon, ale głowę tubylca z kręconymi włosami. Kiedy mama gniewa się na mnie i mówi: „Zobaczysz, diabeł cię ukarze i zabierze ze sobą!”, wyobrażam go sobie na podobieństwo ciotuni Ayoko, mojej ciotki diablidy, która dała mi przedsmak piekła. Jako mała dziewczynka wierzę, że moja rodzina i ja jesteśmy potomkami diabła. Tylko biali ludzie pochodzą od Boga, ponieważ zostali stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. Czuję pogardę wobec siebie i swoich bliskich i chciałabym wyglądać jak dzieci z przedszkola w Marinie — te blade cherubinki kołyszące się na huśtawkach.

Skromny handel mojej mamy zaczyna podupadać. Nie mamy już pieniędzy na zakup towarów, które mogłaby potem odsprzedać lub wymienić. Nestor nie robi nic, żeby zadbać o jej potrzeby, a mama nie ma już siły się buntować. Jak opłacić czynsz i wyżywić sześcioro dzieci?

Nie mamy już nawet za co kupić lodu do schłodzenia wody, którą sprzedają na targu, a nikt oczywiście letniej nie chce kupować. Znajduję sposób i proponuję wodę handlarkom, które potrzebują jej do mycia swoich maleńkich dzieci. Po raz kolejny jesteśmy w poważnych tarapatach. W niedzielę, gdy idziemy z wizytą do rodziny, zdarza się, że jakiś krewny wzruszy się naszym losem. Ale nasza sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Tylko od czasu do czasu, gdy wybierzemy się na plażę, uciekamy na chwilę od rzeczywistości. Biegamy po piasku, skaczemy przez fale i udaje nam się o niej na chwilę zapomnieć.

Ayele nadal chodzi do szkoły. Trzeba przyznać, że jest pilna i pracowita, co kontrastuje z moimi żalnymi wynikami. Mama wiąże z nią duże nadzieje. Ale u progu dojrzewania moja starsza siostra zaniedbuje książki i potajemnie porzuca szkołę. Woli chodzić z koleżankami na wieczorki taneczne. Spotykają się tam z chłopcami i czytają fotonowe, bardzo modne w tamtych czasach, gdy telewizory nadal należą do rzadkości. Jeżeli jest prąd, adapter odtwarza modne utwory, a publika tańczy.

Ufna jak zawsze, mama niczego się nie domyśla. Aż do dnia, w którym Ayele nie wraca do domu. Okazuje się, że w tym samym czasie zniknęły też inne nastolatki. Może wyjechała do Ghany albo do Beninu? Mama jest przerażona, na pewno porwano ją, żeby zabić. W owych czasach czarownicy animistyczni domagają się dzieci, by dokonywać ofiar z ludzi. Niektóre znikają bez śladu. Mówi się nawet, że ciała dzieci używane są jako przynęta do łowienia ryb...

Kilka tygodni później mama odnajduje Ayele i przyprowadza ją do domu. Z obawy, żeby znowu nie uciekła, wzywa do pomocy Nestora. Ten, uzbrojony w swoją pałkę, spuszcza Ayele takie lanie, jakby wyżywał się na złodzieju kur w komisariacie. Z każdym ciosem, który spada na siostrę, wrzeszcze równo z nią.

— A ta czego ryczy? — mamrocze Nestor i przestaje bić, skonsternowany moimi krzykami.

Nienawidzę go bezgranicznie, tak jak nienawidziłam ciotuni, która zniszczyła moje dzieciństwo. Moja siostra to jeden wielki siniak. Czy to żeby zadrwić z niego, czy żeby okazać mu pogardę, gdy tylko się pozbiera, znowu ucieka. A Nestor znowu wkracza ze swoją pałką. Po czym Ayele znowu ucieka. I tak w kółko... Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby z nią porozmawiać, zamiast spuszczać jej manto.

W końcu Ayele zdaje się uspokajać. Przechodzi jej ochota do ucieczek i zabaw, za to lubi pomagać w domu. Zupełnie niezrozumiała to dla nas metamorfoza, ale mama czegoś się domyśla.

— Ayele, córeczko... Jesteś w ciąży, prawda?

Siostra spuszcza wzrok.

— Kto jest ojcem? Powiedz, muszę wiedzieć!

— Jeden Libańczyk... — odpowiada szeptem zawstydzona.

— I gdzie on jest, twój narzeczony?

— Nie wiem. Wyjechał...

— No tak, będziemy mieć jeszcze jedno dziecko w domu... — Mama wzdycha zrezygnowana.

Później mamie uda się odnaleźć ojca dziecka.

Ayele wydaje na świat dorodnego chłopca, Calixte'a, który wprawia nas wszystkie w zachwyty. Moja matka opiekuje się dzieckiem jak własnym. U nas często zdarza się, że dziewczyny bardzo wcześnie zachodzą w pierwszą ciążę i wówczas ich matki przejmują opiekę nad dzieckiem.

Ledwo Ayele odzyskuje siły po porodzie, znowu zaczyna balować. Młoda i piękna, żyje pełnią życia. Ale w Togo panuje dyktatura, sytuacja gospodarcza jest trudna i czasy niepewne.

Podobno trochę bardziej na zachód, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, pracy i pieniędzy nie brakuje, interesy kwitną i wielu obcokrajowców już się tam osiedliło. Kraj jest bogaty, społeczeństwo otwarte, a Abidżan uważany w regionie za eldorado. Restauracje i kluby nocne poszukują młodych dziewczyn do pracy. Ayele nie ma nic do stracenia, postanawia spróbować szczęścia; zostawia nam pod opieką Calixte'a i obiecuje wrócić po niego, jak tylko jej sytuacja się poprawi.

Jej znajomi z Togo zabierają ją najpierw do Bouaké, drugiego co do wielkości miasta Wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie przez rok będzie pracować jako kasjerka w nocnym klubie. Zarabia całkiem nieźle, co pozwala jej wysłać nam regularnie trochę pieniędzy. Pewnego dnia Ayele powiadamia nas, że zamierza osiedlić się wśród imigrantów togijskich w Treichville, dzielnicy Abidżanu cieszącej się złą sławą. Od tamtej chwili nie dostajemy od niej żadnych wiadomości, co się już dotychczas zdarzało, a przede wszystkim żadnych pieniędzy, co się jeszcze nigdy nie przytrafiło. Źle się dzieje. Do naszych kłopotów finansowych dochodzi nagle pogorszenie się stanu zdrowia mamy. Jest ciężko chora i musi natychmiast iść do szpitala. Po raz pierwszy w życiu słyszę słowo „rak”, wyraz, którego powagę zaledwie przeczuwam.

W nocy mama nie przestaje jęczeć z bólu; chwyta się kurczowo prześcieradła. Jej cierpienie jest dla mnie nie do zniesienia. Poddaje się operacji. Wychodząc od niej ze szpitala, widzę na środku ulicy człowieka, który przemawia do coraz liczniejszego grona słuchaczy. Zachwala się jako niezawodny uzdrowiciel.

— Przyprawdźcie do mnie swoich chorych, a zobaczycie, że mogę im pomóc!

Słucham go przez dłuższą chwilę. Zahipnotyzowana jego przemową, chciałabym zaprowadzić go do mojej mamy, ale nie mam odwagi się do niego zwrócić. Obawiam się reakcji rodziny. Przyrodnia siostra mamy, Nagan Tokouen, jest wysokiej rangi kapłanką voodoo i ma na twarzy rytualne blizny przypominające głowę pytona; w naszym rodzie tylko ona może dokonywać magicznych praktyk. Zwrócenie się o pomoc do uzdrowiciela oznaczałoby brak szacunku wobec niej, rzecz zupełnie nie do pomyślenia. Dziś jeszcze mam sobie za złe, że nie zrobiłam wszystkiego, co było w mojej mocy.

Mama będzie operowana. Biegnę do szpitala, żeby być przy niej, gdy się obudzi. Obserwuję jej regularne rysy, chwilowo złagodzone przez znieczulenie. Budzi się i cieszy, że mnie widzi. Siedzę na brzegu łóżka i dziwnie się czuję. Po nogach cieknie mi strużka krwi. Zrywam się, przerażona tym strasznym dla mnie widokiem. Mama, mimo że osłabiona, uśmiecha się i wyciąga do mnie rękę:

— Chodź, Ayoko, stajesz się kobietą...

— Jak to?

— Krew oznacza, że nie jesteś już dzieckiem. Weź szmatkę lub kawałek zużytej chusty, złóż tak, żeby była odpowiednio gruba, wsuń sobie do majtek; będzie wchłaniać krew. Zakrwawioną wypierz, wysusz gdzieś nie na widoku i przygotuj kilka nowych chust.

Teraz rozumiem, dlaczego moja siostra prała po kryjomu jakieś szmatki. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Mama ostrzega mnie jeszcze:

— Od teraz musisz uważać na mężczyzn. I musisz często się myć. Pamiętaj, że to mężczyzna przychodzi do ciebie, a ty go przyjmujesz!

Mama wychodzi ze szpitala i wraca do domu, ale jej stan znacznie się pogarsza. Cała puchnie, jej ciało jest zniekształcone, a brzuch okrągły jak u ciężarnej. Harmonijną twarz wykrzywia ból, drobnym ciałem nieustannie wstrząsają drgawki. Pielęgniarka przychodzi regularnie robić jej zastrzyki, ale po upływie miesiąca mama nie może już chodzić. W szpitalu w Afryce chorym niczego się nie tłumaczy, tym bardziej rodzinom chorych, a już zwłaszcza biednym rodzinom, jakby nie potrafiły niczego zrozumieć. Nawet Nagan Tokouen nie pojmuje, co dzieje się z jej siostrą. Odprawia obrzędy ofiarne, zwraca się o pomoc do czarowników i

uzdrowicieli, którzy przygotowują jej przeróżne mikstury. Nic nie pomaga, moja biedna mama ciągle zwija się z bólu.

Nie mogę znieść widoku jej udręki, serce mi pęka. Jej krzyki i nieustanny płacz nie cichną nawet nocą i dręczą mnie w koszmarach. Gdy śpi, też jęczy z bólu. Aby nie słuchać jej płaczu, z poczuciem wstydu uciekam do domu wujka. Dwa dni później dowiaduję się o jej śmierci. Nie towarzyszyłam jej w ostatnich chwilach. Ja, która tak bardzo ją kochałam, wołałam uciec, niż czuć u jej boku. Do dziś błagam ją o wybaczenie.

Zdradzona

Po pogrzebie mamy zbiera się rada rodziny, u babki ze strony ojca. To ona zorganizowała naszą inicjację w kult pytona królewskiego, kiedy Ayele i ja byliśmy małe. Z czasem opuściła swoją wioskę i przeprowadziła się do Lomé. Bierze w swoje ręce los sześciorga sierot, jakimi teraz zostaliśmy. Po podaniu zebranym *sodabi*, miejscowego wina palmowego, informuje nas o podjętych krokach. Babcia to kobieta z charakterem i nikt nie ośmiela się podważać jej decyzji.

— Wezmę do siebie Calixte'a, bo jego matka jest w Abidżanie. Synowie Nestora, jak zwykle się czynić, zostaną powierzeni swojej babce ze strony ojca. Ayoko i Kayi pójdą do wujka w Lomé...

Rzeczony wujek pracuje na kolei. Jego żona prowadzi całodobową karczmę, zwaną „makia”, i wiem, że potrzebuje siły roboczej do tarcia futu, głównego składnika wszystkich naszych potraw. Domyślam się, że Kayi i ja, biedne sieroty, będziemy skazane na ich łaskę, mając jedynie prawo do okazywania wdzięczności krewnym, którzy zgadzają się nas przyjąć po to, żeby móc nas wykorzystywać. Aż za dobrze znam ten scenariusz. W domu, w którym odbywa się narada, są dwa wejścia. Pod pretekstem zabrania swoich rzeczy bez słowa umykam tylnymi drzwiami.

Moje gabońskie doświadczenia zahartowały mnie na całe życie. Nie zamierzam nigdy więcej być niewolnicą na usługach własnej rodziny, tym bardziej że nie mam już nikogo na świecie, kto przejąłby się moim losem. W wieku dwunastu lat po raz pierwszy w życiu zostałam pozostawiona sama sobie. Muszę jakoś przeżyć, mieć gdzie spać i zatroszczyć się o jutro, nawet jeżeli pojutrze jest niepewne. Nieoczekiwana śmierć matki każe mi wydorosnąć.

Instynktownie zakładam, że muszę odnaleźć dom, w którym kochana Nagan Kokwe, nasza rodzinna Mama Benz, umieściła nas kilka lat temu. Jest niedziela, ludzie są u siebie. Lokatorzy, którzy wynajmują teraz dom, wydają się sympatyczni, jakaś młoda kobieta zaprasza mnie do niego serdecznie. Siadam obok niej i opowiadam swoją historię. Affie, tak jej na imię, proponuje mi, żebym z nią pracowała.

— Mam mały sklep, gdzie handluję wszystkim po trochu: papierosami, cukierkami, mydłem... Właśnie potrzebuję kogoś do pomocy. Zgadzasz się?

— Oczywiście! Potrafię to robić, pracowałam już na targu w Lomé i w Libreville.

— Świetnie! Umowa stoi. W zamian będziesz miała gdzie mieszkać i co jeść. A potem się zobaczy.

Jestem w siódmym niebie. Chyba nareszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło. Przeprowadzam się do Affie, pracujemy razem i szybko się zaprzyjaźniamy. W weekendy Affie chodzi na koncerty swojego chłopaka, muzyka, który gra w orkiestrze w klubie nocnym. Pewnego wieczoru proponuje, że weźmie mnie ze sobą. Czuję się skrepowana, bo nigdy wcześniej nie byłam w podobnym miejscu.

— Zgódź się! — nalega Affie. — Pochodzisz sobie po sali z tacą, dam ci papierosy i słodczyce dla klientów. Nie będziesz się nudzić, a przy okazji co nieco sprzedamy.

No dobrze. Na miejscu stwierdzam, że Affie miała rację: atmosfera jest przyjemna i dużo zabawniej pracuje się tu niż na targu. Zauważa mnie jej chłopak. Czuję, jak rozbiera mnie wzrokiem, co strasznie mnie krępuje. Udaję, że go nie widzę, i dalej krążę po sali z moją tacą, nie mówiąc nic Affie.

Pewnej soboty Affie wpada na pomysł, żebyśmy po koncercie poszli w trójkę na kolację do restauracji.

— Rozluźnisz się trochę — zapewnia.

Kolacja przebiega w miłym nastroju, mimo że przez cały wieczór unikam wzroku jej chłopaka. Affie, w świetnym humorze, na odchodnym proponuje:

— Chodźmy do niego na ostatniego drinka. Zobaczysz, będzie fajnie. Wrócimy taksówką.

Podążam za nią ufnie. Wciskamy się w trójkę na motocykl i wkrótce przyjeżdżamy do małego mieszkania. Jest późno. Oboje znikają na chwilę w pokoju. Potem Affie wychodzi, bierze mnie za rękę i prowadzi ze sobą. Jej chłopak, chyba pijany, leży na łóżku. Affie popycha mnie do niego, po czym sama się kładzie. I wtedy on zaczyna mnie dotykać. Nie wiem, co robić, kulę się ze wstrętem.

— Nie opieraj się — nalega Affie. — On jest miły. Bądź posłuszna, a da ci w zamian dużo pieniędzy i obdaruje prezentami.

Łzy lecą mi mimowolnie. Zupełnie nie wiem, co się dzieje. Nagle Affie chwyta mnie za ramiona i przytrzymuje. Na próżno krzyczę, płaczę, błagam, bez skutku! Jej chłopak, stojąc przed łóżkiem, rozkłada mi nogi i bierze mnie w pijackim amoku. Przyjaciółka mnie zdradziła. Cały ten wieczór w restauracji był zaaranżowany po to, żeby oddać mnie jej chłopakowi! Nigdy nie czułam się tak samotna. Nie mogę nikomu o tym powiedzieć, bo w Afryce gwałt jest tematem tabu. Nie mam gdzie pójść, gdzie się schronić, gdzie szukać pomocy.

Mimo odrazy jestem zmuszona mieszkać u Affie i pracować dla niej. Regularnie spotykam swojego gwałciiciela w klubie, gdzie gra i gdzie ja nadal bywam. Omijam go z daleka i zaciskam zęby. To tutaj poznaję Sama, gitarzystę, który gra czasem w tym samym zespole co chłopak Affie. Jego ojciec jest Niemcem, który mieszkał kiedyś w Togo, a mama Togijką. Uroda tego Mulata natychmiast mnie urzeka: ma fryzurę afro i jasną skórę, nosi spodnie dzwony i koszule w kwiaty... Dużo rozmawiamy, a jego uprzejmość budzi moje zaufanie. Gdy po raz pierwszy mnie dotyka, robi to niezwykle łagodnie. Nasz związek jest prawie platoniczny, seks odgrywa w nim niewielką rolę. Po koncertach spotykamy się w jego pokoju, gdy wszyscy w domu jego matki dawno śpią. Ale związek z Samem to raczej odskok od rzeczywistości niż wielka miłość.

Mimo rodzącego się uczucia marzę o tym, żeby wyjechać z Togo. Codzienny kontakt z Affie stał się dla mnie nie do zniesienia. Wspomnienie tej nocy, której oddała mnie pijanemu mężczyźnie, mnie dręczy. Jak mam siedzieć z nią przy jednym stole po tym, co mi zrobiła? Znajduję schronienie u babki, która wychowuje mojego siostrzeńca Calixte'a. Wygląda na zmęczoną, jakby zniszczoną życiem; w oczekiwaniu na znalezienie pracy proponuję jej swoją pomoc. Jakby wyczuwając moją niedolę, Ayele daje znak życia. Kontaktuje się ze mną i proponuje, żebym przyjechała do niej na Wybrzeże Kości Słoniowej, gdzie znalazła pracę w barze w Treichville. Prosi też, żebym zabrała ze sobą Calixte'a. Jest przekonana, że zarobimy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby dać sobie radę. Babcia daje nam swoje błogosławieństwo.

Pozostaje mi dostać się na Wybrzeże Kości Słoniowej. Od strony administracyjnej nie wygląda to wesoło. Nawet jeżeli granica między Togo a Ghaną przebiega przez środek miasta Lomé, nie można przekroczyć jej ot tak sobie. W tamtych czasach obywatele togijscy mieli zakaz opuszczania kraju. Oprócz przepustki z odpowiednimi pieczętkami potrzebny mi paszport, w którym uchodziłabym za starszą, niż jestem w rzeczywistości. Muszę znaleźć jakiegoś przychylnego policjanta. Ale przychylność ma swoją cenę, a ja nie mam pieniędzy. Mężczyzna okazuje mi względy w zamian za mój ukryty skarb, a ja oddaję mu się bez skrupułów, z zimnym wyrachowaniem. Taka jest cena mojego ocalenia.

Ubrana jak dorosła, z mocnym makijażem, opuszczam Togo z ponadrocznym Calixte'em na plecach. W rękach niosę nasze tobołki. Wiele nie ważą, ale z czasem ciężar zaczyna okrutnie dawać mi się we znaki. Droga nie ma końca, muszę przejechać przez całą Ghanę, żeby dostać się na Wybrzeże Kości Słoniowej. Czasem zbiorową taksówką, częściej pieszo, przemierzamy

zakurzone drogi, po których ciężarówki ciągną jedna za drugą, zostawiając za sobą gęstą chmurę lepkiego dymu. Po czterech dniach wyczerpującej podróży docieramy w końcu na miejsce.

Moja córeczka Affie

Oto i Abidżan, „perła lagun”, moje eldorado. Nareszcie! Urzeka mnie wrażenie bogactwa emanujące ze stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej[2]. Stragany targowe toną w soczystych ananasach, przyzmacz bananów i koszach wypełnionych okrą... Można tam znaleźć świeże ryby, smakowite kraby, ale także dziczyznę: antylopy, małpy, a nawet krokodyla! Bez porównania z nędznymi stertami warzyw u gospodyń w Lomé. Abidżan jest krainą obfitości i jego bogactwo mnie olśniewa. Ayele miała rację: tutaj życie będzie dla nas łaskawsze.

Siostra przychodzi po mnie na dworzec. Ogromnie cieszymy się ze spotkania, przy niej czuję się nareszcie bezpieczna. Odwiązuję chustę, w której niosłam Calixte’a, i Ayele może wreszcie wziąć swoje dziecko w ramiona. Pracuje w Moulin-Rouge, barze prowadzonym przez gburowatego Polaka, zwanego Paulem. Na razie nie mam zamiaru do niej dołączyć. Ayele urodziła dziewczynkę, Joelle, i Calixte ma teraz młodszą siostrę. Jej ojcem jest Michel, francuski przedsiębiorca, który żyje w skromnym mieszkaniu kontrastującym z przestronnymi willami większości europejskich ekspatów. Moja siostra świata za nim nie widzi. Trzeba przyznać, że Michel, ze swoją białą koszulą i staranną fryzurą, jest naprawdę eleganckim mężczyzną.

Taka nastolatka jak ja musi się jeszcze wiele nauczyć o życiu i o własnym ciele. Od mojego przyjazdu do Abidżanu męczą mnie nudności i wymioty, których przyczyny nie mogę sobie wytłumaczyć. Zrezygnowana z czasem przyzwyczajam się do tego, jak do wszystkiego. Będę potrzebowała czterech miesięcy, aby stało się dla mnie oczywiste, że noszę w sobie życie. Zostanę matką, kompletnie na to nieprzygotowana. Oczywiście nie jestem pierwszą nastolatką, której się to przytrafia, wówczas nieletnich matek jest u nas na pęczki. Ale na ogół, jeżeli są za młode, żeby wychowywać dziecko, pomaga im w tym rodzina, jak było w przypadku Ayele. Ja nie mam nikogo. Moi rodzice nie żyją i mieszkam w Abidżanie, z dala od rodziny. Napawa mnie trwogą myśl: kto jest ojcem? Chciałabym wierzyć, że Sam, mój pierwszy kochanek, i natychmiast odrzucam jakąkolwiek inną możliwość.

Na naszym osiedlu mieszka młoda Malijka o imieniu Awa. Jest niewiele starsza ode mnie i od razu się z nią zaprzyjaźniam. Widząc, jak mój brzuch rośnie z dnia na dzień, ostrzega mnie:

— Ayoko, jesteś jeszcze za młoda, żeby mieć dziecko!

— Wiem, ale co mam robić?

— Słuchaj, spróbujemy to jakoś załatwić. Nie jesteś pierwsza, której pomagam. Ale późno się do tego zabieramy, ciążę już trochę widać.

Awa bierze litr wina, miesza z kilogramem cukru i odparowuje na wolnym ogniu. Dorzuca jakieś zioła i daje mi do wypicia miksturę, zaledwie jedną szklankę. Skutek? Kompletnie się upijam. Następnego dnia robimy to samo. Efekt — ten sam. Potem Awa każe mi położyć się na brzuchu z odwróconą salaterką włożoną między mnie a podłogę. Ale pożądanego efektu nie następuje. Dostaję tylko nawracających zawrotów głowy, a płód wciąż we mnie żyje. Pozostaje mi już tylko czekać na dzień porodu, którego tak bardzo się obawiam.

Sąsiadka znowu mi doradza:

— Kiedy akuszerka każe ci przeć, to znaczy, że dziecko będzie wychodzić...

— Przeć? Tak jak przy wypróżnianiu się?

— No nie, nie tamtędy! Środkiem!

I wybucha śmiechem.

— Ale jak dziecko ma wyjść, skoro tam mieści mi się zaledwie palec?

Moja naiwność i wystraszony wzrok bawią Awę do łez.

— Zobaczysz, samo wyjdzie, to do tego służy! — mówi. — A teraz posłuchaj mnie

uważnie: gdy poczujesz, że główka wychodzi, zaciśnij mocno uda. W ten sposób udusisz je i będzie spokój.

Tak jakby wyczuwała, że matka zawzięcie próbuje się jej pozbyć przed końcem ciąży, moja córka rodzi się przedwcześnie, chcąc jak najszybciej opuścić moje nieprzyjazne wnętrze. W trakcie porodu odczuwam taki ból, że ani przez sekundę nie myślę o tym, żeby zaciskać uda. Rodzi się mała i słaba. Ale najbardziej przeraża mnie, gdy spostrzegam uderzające podobieństwo między jej twarzą a twarzą mężczyzny, który zgwałcił mnie kilka miesięcy wcześniej. Mała nie jest dzieckiem Sama. Jest wierną kopią mojego kata!

Ciąża wzbudzała we mnie taką niechęć, że nawet nie zastanawiałam się nad wyborem imienia. Kiedy na oddziale położniczym pytają mnie o nie, odpowiadam: Affie, co znaczy „piątek”, dzień jej narodzin. U nas to częsta praktyka. Dodaję Joëlle jako drugie imię i Ékoué, imię mojego ojca, jako nazwisko. Bez zastanowienia nadałam córce imię przyjaciółki, która mnie zdradziła.

Okoliczności jej przyjścia na świat na zawsze naznaczą życie Affie. Niechciane dziecko, owoc gwałtu, ojciec, którego na pewno nigdy nie pozna — nasza wzajemna relacja zaczyna się wyjątkowo niefortunnie. Jak mam kochać to dziecko, którego sama obecność budzi we mnie wstydlive wspomnienie gwałtu, którego padłam ofiarą? Wiem, że Affie nie jest niczemu winna. Ale przedwczesna ciąża, i to w wyniku gwałtu, to dla trzynastoletniej małolatki podwójne przekleństwo.

Affie jest tak słabowita, że wszyscy skazują ją na rychłą śmierć. Ale ona okazuje się twarda, moja córeczka wydaje się niezniszczalna! Z jednej strony instynkt macierzyński każe mi zapewnić jej należytą opiekę i ochronę, z drugiej — macierzyństwo jest takie trudne. Affie często choruje, a ja nie umiem jej pielęgnować. W Abidżanie nie mam ani ciotki, ani kuzynki, która mogłaby służyć mi radą. Czuję się zagubiona.

Dla mnie i Ayele, po chwilowej zmianie na lepsze, niebo znowu zasnuwa się ciemnymi chmurami. Jej chłopak, Michel, zrywa z nią. W ciągu następnych tygodni jej córka, Joëlle, umiera nagle we śnie. Rano znajdujemy ją nieruchomą w łóżeczku, siną, bladą. Pędem niesiemy ją do głównego szpitala w Treichville, ale Joëlle nie żyje już od wielu godzin. Ta nagła choroba pozostaje dla nas tajemnicą. Ayele bardzo cierpi; była zakochana w Michelu i uwielbiała córkę, którą jej dał. Duch Joëlle jeszcze długo będzie nas nawiedzał.

— Nie starcza mi już pieniędzy dla nas wszystkich — oświadcza pewnego dnia Ayele. — Musisz iść do pracy. Paul zgadza się zatrudnić cię w barze na noc.

— A kto się zajmie dziećmi?

— Nie martw się, znalazłam dziewczynę, która przypilnuje ich wtedy, gdy my będziemy w pracy.

Trochę potrwa, zanim zrozumiemy, że owa dziewczyna wyłącznie inkasuje comiesięczne wynagrodzenie. Podczas naszej nieobecności leci do swojego kochanka, nie troszcząc się o nasze dzieci. Nocą, pozostawiona sama sobie, Affie nie przestaje płakać i to tak, że sąsiedzi w końcu zaczynają się skarżyć.

Wyruszam na poszukiwanie godnej zaufania niańki, która mogłaby stale zajmować się Affie. Ja pracuję nocami i w ciągu dnia muszę odpocząć. Zamierzam oddać ją pod opiekę do czasu, aż uda nam się nieco podreperować finanse. W naszej dzielnicy znajduję pewną Togijkę, która zapewnia mnie, że jej córka Rita nada się do tego doskonale. Chcę szybko znaleźć rozwiązanie, więc postanawiam jej zaufać. Uzgadniamy wysokość wynagrodzenia Rity i Affie trafia do nowej niani.

Teraz mogę poświęcić się mojej pracy kelnerki. Na początku odwiedzam Affie codziennie. Później dwa, trzy razy w tygodniu. W końcu tylko w dni wolne. Próbuję pocieszać

się, jak mogę. Co miesiąc, gdy matka Rity przychodzi po jej wypłatę, zapewnia mnie, że Affie miewa się dobrze i że nie mam się czym martwić.

Aż do dnia, w którym odkrywam z niedowierzaniem, że opiekunka i jej matka opuściły Abidżan i wyjechały do Togo. Dlaczego mnie nie uprzedziły? Ostatnio nie przychodziły po wypłatę, myślałam, że zapomniały. Przeczuję coś złego. Muszę je odnaleźć.

Dwa miesiące później wyruszam z Abidżanu do Lomé. Ale nikt nie potrafi mi powiedzieć, gdzie szukać obu kobiet. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przemierzać togijską stolicę z nadzieją na przypadkowe spotkanie.

Przez miesiąc chodzę ze ściśniętym sercem od drzwi do drzwi i od jednego targu do drugiego, za jedyną wskazówkę mając tylko imię oraz rysopis opiekunki. Wreszcie ktoś naprowadza mnie na jej trop. Pewnego dnia zauważam na rogu uliczki zawieszoną przed domem białą flagę — oznacza ceremonię voodoo. Zbliżam się i wchodzę na podwórze. Serce zaczyna bić mi tak mocno, że omal nie wyskoczy z piersi. Rozdygotana zauważam, że obrzęd już się rozpoczął: kapłanka odprawia rytuał, obok niej stoją dwie kobiety i mężczyzna, przed nimi zebrało się kilka osób. Na ziemi spostrzegam położony na macie bezwładny kształt, owinięty w pieluszki. Wokół w kucki siedzi grupa ludzi. Gdy się zbliżam, próbują mnie odepchnąć, ale odtrącam wszystkich i toruję sobie drogę. Poznaję Affie; wydaję z siebie ryk niczym lwica i chwytam moją córkę, lekką jak piórko. Pojawia się Rita, zaniepokojona hałasem.

— Powierzyłam ci córkę, a ty chciałaś poświęcić ją w ofierze!

— Nic nie rozumiesz...

— Milcz! Znam te ceremonie, ten świat jest mi bliski!

— Tak czy inaczej, twojej córce zostało tylko kilka godzin życia...

— To dlaczego o nią nie dbałaś, przecież po to cię zatrudniłam?!

Rita usiłuje się usprawiedliwiać. Twierdzi, że próbowała tradycyjnych sposobów leczenia, ale bez skutku. Wolę przerwać jej wywody, bo czuję, że zaraz wybuchnę z wściekłości i wszystkich ich tu pobiję. Moja córka nie ma już nawet siły płakać. Pędzę z nią do szpitala. Pielęgniarka, rozbierając ją, stwierdza, że skóra przylepiła się do pieluch — nikt nie przewijał małej od wielu dni i kisi się we własnych odchodach. Przychodzi lekarz i udziela mi srogiej reprymendy. Nie wiem, co powiedzieć. Serce mi pęka. Z powodu ciężkiego niedożywienia Affie waży niewiele więcej od noworodka. Przepisują jej antybiotyki, leczenie okazuje się skuteczne. Moja córka jest uratowana.

Drzemiący dotychczas we mnie instynkt macierzyński nagle się budzi. Affie jest siłaczką, i to nieugiętą. Urodzona pod złą gwiazdą, trzyma się życia z uporem godnym podziwu. Wobec braku miłości, którą nie potrafię jej obdarzyć, jestem winna opiekę. Obiecuję sobie, że teraz będę już przy niej na zawsze.

W Moulin-Rouge

Mimo młodego wieku obie z siostrą prowadzimy dorosłe życie. Wracam do pracy w Moulin-Rouge w Treichville, owianej złą sławą dzielnicy Abidżanu. Porzucamy nasze zwyczajowe imiona i od teraz wszyscy nazywają nas Hélène i Rebecca. Moulin-Rouge ma dwie części: bar, w którym klienci mogą sobie popić i potańczyć — to tam właśnie jestem przydzielona — oraz restaurację, zarezerwowaną dla bardziej doświadczonych kelnerek. Wnętrze urządzone w stylu marynarskim, z kotwicami i bojami zawieszonymi na ścianach, zapewne na pamiątkę dawnego życia Paula, gospodarza tego miejsca.

Paul jest Polakiem. Swoją kraj opuścił wieki temu. Potężnie zbudowany, ma kręcone blond włosy, niebieskie oczy i karnację charakterystyczną dla Europejczyków, którzy od lat mieszkają w Afryce — czerwono-brązową, jak cegła suszona na słońcu. Płotka głosi, że trafił do Treichville

w wyniku jakichś konfliktów z prawem, jak wielu innych awanturników przybyłych z Europy. Traktuje Wybrzeże Kości Słoniowej jako przybraną ojczyznę, włada biegle miejscowymi językami, *senufo* i *diula*, i mówi płynnie po francusku. Zintegrował się całkowicie, uważa się za Afrykańczyka i od lat żyje z Kamerunką. Z tego, co wiem, nigdy, od czasu swojego przybycia do Abidżanu, nie odwiedził Europy. Ochrzczył swój bar ku czci słynnego paryskiego kabaretu, w którym prawdopodobnie nigdy nie był.

Paul jest wielki jak szafa trzydrzwiowa i wszyscy w dzielnicy się go boją. Gdy klienci wprowadzają niezdrową atmosferę w barze albo zachowują się niedelikatnie w stosunku do kelnerek, ten twardziel zwykle rozwiązuje kwestię osobiście. W pracy jako szef jest naprawdę w porządku. Szanuje swój żeński personel i nigdy nie pozwala sobie na najmniejszy niestosowny gest. Dopóki ktoś ciężko pracuje, nie robi mu problemów. Szybko przyzwyczajam się do tej pracy, bardzo mi odpowiada. Treichville to barwne miejsce, położone w pobliżu portu w Abidżanie i dworca, z którego odjeżdżają pociągi do Wagadugu w Burkina Faso. O każdej porze gwaro tu jak w ulu. Dzielnicę tworzy labirynt ulic ponumerowanych od jednego do dwudziestu pięciu; gdy szuka się jakiegoś adresu, za punkty orientacyjne służą bary, kluby nocne, a nawet domy publiczne. Powietrze przesycają mieszane zapachy: tytoniu, alkoholu, przypraw, grillowanego mięsa, aloko... I wszędzie gra muzyka. Podobno można tu również opłacić sobie seks z najpiękniejszymi dziewczynami tego kraju. Jedne prostytutki przemierzają swój kawałek chodnika, inne pracują na tyłach podwórek. W miejscowej gwarze nazywa się to „robić z dupy sklep”.

W Moulin-Rouge Paul najbardziej lubi puszczać *sukus*, muzykę taneczną pochodzącą z Zairu, która od początku lat 70. cieszy się ogromną popularnością w całej Afryce. Nasz szef ma też słabość do piosenki francuskiej, co pozwala mi zapoznać się z Claude'em Nougaro, Jacques'em Brelem, Édith Piaf czy Charles'em Aznavourem. Wkrótce mogę już nucić z pamięci ich najbardziej znane przeboje. Gdy zapada noc, idę do pracy z uśmiechem na twarzy. Klienci przychodzą do nas, żeby się rozerwać i zapomnieć o swoich problemach; cieszę się, że mogę uprzyjemnić im czas. Oczywiście, niektórzy próbują wykorzystywać sytuację, ale nauczyłam się bronić. Pewnego wieczoru jeden napalony klient skończy ugryziony w palec. W Treichville zarówno bijatyki, jak i naloty policji są na porządku dziennym. Ale czuć tam powiew wolności. Żaden temat rozmów nie stanowi tabu, począwszy od polityki.

Wielu naszych klientów to ludzie Zachodu. Ówczesne Wybrzeże Kości Słoniowej jest krajem w pełnym rozkwicie, co przyciąga zarówno europejskich poszukiwaczy przygód, jak i przedsiębiorców — przede wszystkim Francuzów. Afryka daje im trudną do wyobrażenia w ich kraju wolność, co niektórych powstrzymuje od powrotu. Roger należy do tego grona. Jest Francuzem i mieszka na Wybrzeżu Kości Słoniowej od wielu lat. Ma długi, cienki nos, ładnie zarysowane usta i najbardziej proste włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyróżnia go uprzejmość; zawsze chodzi uśmiechnięty i uwielbia Abidżan, w którym prowadzi beztroskie, swawolne życie. Podobnie jak większość Europejczyków, Rogera otacza liczne grono znajomych. Zarówno na Wybrzeżu Kości Słoniowej, jak i w wielu krajach afrykańskich mieszkańiec Zachodu kojarzony jest z pieniędzmi i utożsamiany z możliwością awansu społecznego, stąd też wszelkie znajomości rzadko bywają bezinteresowne. Roger jest stałym bywalcem Treichville i Moulin-Rouge. Kiedy zaczyna mnie podrywać, najpierw obserwuję go i badam. Im bardziej pozwalam mu się do mnie zbliżyć, tym bardziej uświadamiam sobie, że on naprawdę mnie kocha. Nie całkiem zdając sobie z tego sprawę, wdaję się z nim w romans.

Roger to nie jedyny Francuz, jaki zwraca na mnie uwagę. Pewnego wieczoru zaczepia mnie Richard, fotograf.

— Co taka dziewczyna, jak ty, robi tutaj jako kelnerka? Powinnaś zostać modelką!

Daje mi swoją wizytówkę, a ja patrzę na niego z niedowierzaniem. Obawiam się słynnej zazdrości Rogera i wolę uciąć krótko rozmowę. Wtedy mam zaledwie mgliste pojęcie, co to w ogóle znaczy być modelką. Moja siostra Héléne, która umie czytać, kupuje czasami kobiece magazyny, gdzie śliczne dziewczyny pozują w modnych kreacjach. Między nimi a mną, gdybym kiedykolwiek stała się jedną z nich, zionie przepaść! Przepowiednia Richarda wydaje mi się kompletnie niedorzeczna i wkrótce o niej zapomina.

Roger jest mechanikiem, specjalizuje się w maszynach Caterpillar do ścinania drzew na trudno dostępnych terenach. Pracuje dla dużego zakładu usług leśnych, który pewnego dnia wysła go z misją w głąb kraju, z dala od Abidżanu, w sam środek lasu.

— Pojedziesz ze mną — oznajmia mi.

Rozumiem, że jego decyzja jest nieodwołalna.

Roger, zaborczy i zazdrosny, boi się, że mu ucieknę. Waham się przez moment, ale w gruncie rzeczy nie mam nic do stracenia, oprócz kiepsko płatnej roboty w Moulin-Rouge, do której mogę zawsze wrócić. Zgadzam się więc z nim pojechać.

Nasz związek jest nieco osobliwy. Tak właściwie, to Roger przyjechał na Wybrzeże Kości Słoniowej z Joanną, swoją francuską narzeczoną. Gdy mnie spotkał, rzucił ją, żeby móc w pełni cieszyć się naszym związkiem. Joanna nie chciała wracać do Francji, ale nie ma też ochoty zostać sama w Abidżanie, postanawia więc nam towarzyszyć. Tworzymy odtąd niecodzienny trójkąt.

Przeprowadzamy się w pobliże miasta Ganwa, do ślicznego afrykańskiego domu położonego w głębi buszu. Żyjemy w komfortowych warunkach: mamy do dyspozycji boya i kierowcę. Nigdy wcześniej nie zaznałam takiego luksusu. Nocą słychać ryki dzikich zwierząt i trąbienie słoni, w domu zdarza nam się stanąć oko w oko ze skorpionem, tarantulą albo wężem. Przedsiębiorstwa zatrudniające Europejczyków do pracy w lesie zwykle budują wygodne domy dla swoich pracowników. Nie kontaktuję się z moimi europejskimi sąsiadkami, one żyją razem w środowisku, do którego ja nie mam wstępu. Nie mówiąc o tym, że nasz trójkąt z Joanną musi niejedną z nich wprowadzić w zakłopotanie! Fakt, nieźle to pokręcone. Wciąż się zastanawiam, dlaczego Joanna godziła się spać w pokoju sąsiadującym z tym, w którym ja kochałam się z jej byłym narzeczoną. Czy miała nadzieję, że uda jej się go odzyskać? Nie wpływa to na naszą wzajemną, pokojową relację; jesteśmy koleżankami, nic więcej. Nigdy nie spróbuję zrozumieć, jak ona znosi ten dziwny układ.

Roger wychodzi codziennie o świcie. Praca daje mu się we znaki, tym bardziej że klimat jest gorący i wilgotny, a okolica opanowana przez komary. W ciągu dnia zwykle udaję się do miasta, gdzie chodzę na kurs nauki jazdy. W Ganwie poznaję Éfoué i obie bardzo się zaprzyjaźniamy; ogromnie cenię sobie tę znajomość, bo mój luksusowy żywot okazuje się w gruncie rzeczy samotny i monotony. Nie muszę dbać o dom, gdyż nasz boy zajmuje się wszystkim, łącznie z gotowaniem. Co do Joanny, to spędza całe dnie na lekturze lub spacerach po pobliskich wsiach. Aż w końcu, mając już tego dosyć, pewnego dnia poddaje się i wraca do Francji.

Dzięki Rogerowi mogę wysyłać pieniądze Héléne. Udało jej się znaleźć w Abidżanie poważną, odpowiedzialną opiekunkę z Togo, i Affie powoli otrząsa się z koszmaru, jaki przeżyła z Ritą. Moja siostra zmieniła pracę: jest teraz zatrudniona w restauracji U Weteranów, prowadzonej przez Korsykanina, mieszczącej się na Plateau, w biznesowej dzielnicy Abidżanu. Płacą jej tam lepiej niż w Moulin-Rouge. Los chyba wreszcie się do nas uśmiechnął.

Z dnia na dzień Roger nagle zostaje zwolniony z pracy. Otrzymuje sową odprawę, ale musi wracać do Francji. Również i tym razem proponuje mi, żebym pojechała z nim. Co oznacza, że oto miałyby spełnić się jedno z największych marzeń mojego życia. Od dawna idealizuję

obraz Francji, jak wszystko to, co kojarzy mi się z białymi, którzy w moim mniemaniu prowadzą w Afryce iście rajski żywot. Jakże rajsłą krainą musi być więc ich ojczyzna! Poza tym wciąż pamiętam Françoise, naszą sąsiadkę o wielkim sercu, której zawdzięczam jedyny prawdziwy prezent mojego dzieciństwa. Jestem przekonana, że wszystkie tamtejsze kobiety muszą być do niej podobne. Wyobrażam sobie Francję jako krainę z bajki, wszędzie kwiaty i wspaniałe rezydencje...

Z głową pełną marzeń wchodzę w Rogerem na pokład samolotu, wylądujemy na lotnisku Lyon-Satolas. Mam około szesnastu lat, nawet jeżeli z mojego paszportu wynika, że jestem pełnoletnia. Przylatujemy do Francji w samym środku zimy; tego nie przewidziałam, a Roger zapomniał wspomnieć mi o tym szczególnie. Wychodzę z lotniska ubrana w sandały i leciutką sukienkę made in Abidżan, dzwoniąc zębami z zimna. W drodze do rodziców Rogera obserwuję przez okno moją baśniową krainę, którą chyba jakaś zła czarownica musiała zamienić w pęsepną odłogi. Szarobure niebo, drzewa bez liści, wszystko jest bezbarwne i ponure. Nie ma słońca, nie ma kwiatów... Smutno tu i brzydko. Dobija mnie to.

Rodzice Rogera mieszkają w bloku w Bourgoin-Jallieu, między Grenoble i Lyonem. Prowadzą styl życia, który kontrastuje z dostatnim żywotem, jaki ich syn wiódł w Afryce Zachodniej. W mieszkaniu jest ciasno i nijako. A sam Roger okres sukcesu ma już chyba za sobą. Tutaj nie jest już szanowanym mechanikiem, nazywanym przez afrykańskich robotników „szefem”, ale bezrobotnym, jak wielu innych. Jego ojciec, skromny urzędnik, przyjmuje mnie życzliwie; na pewno zauważył, jak bardzo dokucza mi stres. Ale nasze przybycie nie wystarcza, żeby wybić go z codziennej rutyny: wieczorem po pracy zastyga w swoim fotelu z gazetą w ręku. Jego żona nie ma do mnie tyle cierpliwości. Uważa, że zachowuję się jak księżniczka, i otwarcie to gani. Pomagam jej w obowiązkach domowych, ale nigdy jej to nie wystarcza: muszę obierać warzywa, skubać kury, ćwiartować świeżo zabite króliki... Jestem tak przemarznięta, że noszę kilka warstw swetrów i skarpetek i z trudem zdobywam się na odwagę, żeby brać prysznic w tym polarnym klimacie. Matka Rogera upiera się, żebym obciąła moje kilometrowej długości paznokcie, ale ja się nie zgadzam. Napięcie między nami rośnie. Część dnia spędzam w łóżku, przytulona do kaloryfera.

Gdy matka Rogera dowiaduje się, że mam małą córeczkę, którą zostawiłam w Afryce, proponuje, że ją zaadoptuje. Wie, że Affie urodziła się w wyniku gwałtu i że nie potrafię być dla niej prawdziwą mamą. Wielokrotnie powraca do tego tematu, ale ja zwlekam z odpowiedzią. W głębi duszy wiem, że nie mogę zostać na zawsze w departamencie Isère, którego klimat jest równie lodowaty, co usposobienie jego mieszkańców i gdzie wszyscy krzywo na mnie patrzą. Moje złudzenia rozpadły się jak domek z kart w czasie huraganu. Spodziewam się, że mój pobyt we Francji będzie tylko przejściowy. I mam nadzieję, że jak najkrótszy.

Ironia losu chce, że Roger, który przyzwyczał się mieć kierowcę na własne usługi, dostaje pracę jako kierowca ciężarówki. Życie u jego rodziców stało się dla mnie nie do zniesienia, bez przerwy się z nimi kłócę.

— Twoja matka mnie nie lubi. Za dużo ode mnie wymaga!

— Nieprawda, przyzwyczaisz się, zobaczysz...

— Nie dam rady. Musisz mnie przed nimi bronić.

— Są moimi rodzicami i powoli się starzeją... Poza tym w związku z moją nową pracą często nie będzie mnie w domu. Musisz się trochę postarać.

— Mam dosyć takiego życia, można umrzeć z nudów i z rozpacz! Dlaczego nie pojedziemy do Marsylii, do twojego przyjaciela Pierrota?

Chcąc nie chcąc, Roger przystaje na moją propozycję. Pierrot, który pracował z Rogerem na Wybrzeżu Kości Słoniowej, jest pół Francuzem, pół Wietnamczykiem. Tak się cieszę!

Nareszcie przenosimy się z tej otoczonej ośnieżonymi górami okolicy na wybrzeże Morza Śródziemnego. Miałam rację: atmosfera w Marsylii jest taka przyjazna! Pierrot i jego dziewczyna Yacine z Wybrzeża Kości Słoniowej przyjmują mnie z otwartymi ramionami; tymczasem Roger wyrusza w drogę. Z Yacine, którą poznałam wcześniej w Abidżanie, od razu łączy mnie głęboka przyjaźń.

Moje uczucie do Rogera topnieje wraz z odchodzącą, zbyt długą dla mnie zimą. Mój kochanek z Wybrzeża Kości Słoniowej przestał mnie interesować z chwilą, gdy jego czar prysł. Gdy wraca do Marsylii, każe mi się pakować i jechać z nim, a wtedy ja ostatecznie zrywam nasz związek. Przygnębiające miesiące spędzone u jego rodziny zniszczyły ten romans. Yacine spontanicznie proponuje mi, żebym została z nimi. Śpimy po afrykańsku, razem z ich sześciolatnim synem Alainem, wszyscy w czwórkę upchnięci w jednym pokoju. Nie wiem, co mnie czeka, ale właściwie to dla mnie bez znaczenia. Życie w Marsylii mnie oczarowuje. Po pierwszym traumatycznym doświadczeniu, dzięki prowansalskiemu klimatowi pojedynuję się z Francją; u rodziców Rogera zapomniałam już, jak wygląda słońce. Wśród mieszkańców marsylskiej dzielnicy, w której mieszkamy, spotkać można przedstawicieli chyba wszystkich narodowości. Przypomina mi to Abidżan, kosmopolityczne miasto na skrzyżowaniu kultur. Tutaj przynajmniej ludzie ze sobą rozmawiają, zamiast szpiegować się nawzajem zza firanki.

Pierrot, niepoprawny donżuan, bez przerwy się za mną ugania. Grzecznie doprowadzam go do porządku i życie toczy się dalej. Łapię różne prace dorywcze, głównie sprzątanie i baby-sitting. Ale mogłabym pracować nawet u zegarmistrza. Nigdy w życiu tyle nie zarabiałam. Dostaję równowartość najniższej francuskiej pensji, czyli ponad tysiąc euro miesięcznie. W Moulin-Rouge zarabiałam najwyżej trzydzieści euro na miesiąc!

W Abidżanie Hélène poznała nowego francuskiego ekspata, także o imieniu Michel. Gdy jego kontrakt w Afryce dobiegł końca, zabrał ją do Nicei i tam się pobrali. Calixte ma do nich dołączyć, gdy tylko ustabilizuje się ich sytuacja finansowa. Tak bardzo się cieszę, że mam ją blisko siebie, i to na południu Francji! Wydaje mi się teraz, że mój los jest przypieczętowany raz na zawsze: zostanę w Marsylii już do końca życia. Kiedy moja wiza traci ważność, postanawiam wrócić do Abidżanu, żeby uregulować swoją sytuację i zdobyć odpowiednie papiery oraz odnaleźć Affie — mieszka teraz u mojej babki w Togo — po czym wraz z nią zapuścić korzenie w tym cudownym mieście...

Trampolina do sławy

Łąduję w Abidżanie nocą, bez zapowiedzi, po dwuipółrocznej nieobecności. Odłożyłam trochę pieniędzy, więc zatrzymuję się w hotelu na parę dni, zanim wynajmę kwatery. Muszę znaleźć jakąś pracę, żeby nie wyczerpać wszystkich oszczędności. Francuskie doświadczenie poszerzyło moje horyzonty i choć nie wiem dokładnie, co chciałabym robić, wiem jedno: nie zamierzam pracować w barze. Wprawdzie na razie niewyraźnie, moja ambicja zaczyna jednak dawać znać o sobie.

Udaje mi się odnaleźć Richarda, fotografa spotkanego kiedyś w Moulin-Rouge, który zachęcał mnie do rozpoczęcia kariery modelki. Dobiega czterdziestki i mieszka w Abidżanie od wieków. Jest zawodowym fotografem, współpracuje z różnymi międzynarodowymi magazynami i ma kontakty w reklamie.

— Zobaczymy. Zrobisz ci na próbę parę zdjęć i się zastanowimy. Wpadłem na pewien pomysł...

Udajemy się w stronę Grand-Bassam; tam, na południowo-wschodnim wybrzeżu kraju, znajdujemy idealne plenery do zdjęć, jakie Roger zamierza mi robić. Pozuję na plaży, wśród fal, pod palmami kokosowymi. Czuję się tak, jakby odżyła atmosfera mojego dzieciństwa, kiedy w niedzielne poranki tata wyjmował po mszy swojego kodaka. Podoba mi się kobieta, którą odkrywam na zdjęciach; sam Richard wydaje się bardzo zadowolony. Dostrzegam możliwość egzystencji, o jakiej nigdy nie śmiałybym marzyć.

Richard snuje wielkie plany. Zaczyna od polecenia mnie agencji reklamowej z Plateau, z którą regularnie współpracuje. Agencja ta dostała zamówienie od nowej firmy produkującej *wax*, afrykańską tkaninę sprzedawaną na całym kontynencie. Wybierają mnie wraz z drugą dziewczyną do udziału w kampanii reklamowej, do której zdjęcia będzie robił Richard. Mamy pozować oparte o bele tkanin. Nigdy nie zapomnę dumy, jaka rozpieła mnie, gdy po raz pierwszy zobaczyłam się na plakacie reklamowym! Za każdym razem, kiedy mijam plakat — na targu czy w butik — uśmiecham się do swojego zdjęcia. Coraz częściej przechodnie rozpoznają mnie na ulicy.

Pierwszy kontrakt pociąga za sobą następne. Kodak zabiega o mnie w ramach promocji nowego aparatu fotograficznego, potem podpisuję kontrakt z firmą Ivorio, sprzedającą soki owocowe. Zapewnia mi to regularny dochód, w moim przypadku zbawienny.

Pojawiam się w reklamach — na plakatach i ulotkach prasowych — i jednocześnie staję się czymś w rodzaju firmowej maskotki. Razem z przedstawicielami handlowymi przemierzam ciężarówką największe miasta kraju, gdzie prezentuję nowe produkty. Drogi są niebezpieczne i strasznie dziurawe; w porze deszczowej ciężarówka często grzęźnie w błocie, w porze suchej dusimy się w upale i kurzu. Męczące to podróże, natomiast atmosfera wśród nas doskonała. Promujemy nasze produkty u hurtowników — głównie Libañczyków — i przed supermarketami. Dzięki plakatom reklamującym *wax* i soki Ivorio, którymi oklejone są wszystkie główne miasta Wybrzeża Kości Słoniowej, stałam się gwiazdą targowisk; na ulicy często słyszę: „Witaj, panno Ivorio!” Dostajemy w prezencie całe kartony napojów, co bardzo nas cieszy. Moją lodówkę soki wypełniają aż po brzegi!

Biorę udział w kolejnych reklamach. Po raz pierwszy występuję w telewizji w reklamie Rexony: wychodzę spod prysznicy i z uśmiechem spryskuję się dezodorantem. Świat reklamy jest zdominowany przez mężczyzn, począwszy od fotografa, przed asystenta, aż do oświetleniowca. Bywa, że kobiety zajmują się księgowością, najczęściej jednak serwowaniem na planie napojów chłodzących. Ale tutaj to ja jestem gwiazdą, wokół której krążą wszyscy. Nigdy

w życiu nie czułam się tak doceniona. Upajam się trzaskiem fleszy.

Po koniec tego pierwszego roku dowiaduję się, że najbardziej wzięty fryzjer w Abidżanie chciałby się ze mną spotkać. Garo Hasbanian to ktoś! Pochodzi z Armenii, ale jest stuprocentowym Afrykańczykiem, ma obywatelstwo Wybrzeża Kości Słoniowej i mówi biegle w *diula*. Sława jego salonu fryzjerskiego — z marmurową podłogą i lustrzanymi ścianami — sięga daleko poza Abidżan; ale oprócz salonu fryzjerskiego, jest to także salon towarzyski, gdzie bywają wszystkie liczące się osobistości. Garo lubi otaczać się swoim dworem, hojnie reprezentowanym przez piękne dziewczyny. Zawsze ubrany w nieskazitelnie białą koszulę, z ciemną karnacją i czarnymi włosami — robi wrażenie. Ale jak się zdenerwuje, lepiej nie kręcić się w pobliżu. Garo jest osobistym fryzjerem małżonki prezydenta Houphouët-Boigny i dzięki niej ma dojścia do wyższych sfer. Jego sława przekracza granice Wybrzeża Kości Słoniowej, często zapraszany do współpracy, uczestniczy w pokazach fryzjerskich w Afryce i Europie.

Między mną a Garo rodzi się wzajemna zawodowa fascynacja. Wprowadza mnie na pokazy mody, które odbywają się regularnie w hotelu Ivoire, położonym w rezydencjalnej dzielnicy Cocody na brzegu laguny Ébrié. Zazwyczaj pokazy organizowane są przez francuskich importerów *prêt-à-porter*: to tutaj stawiam moje pierwsze kroki na wybiegu, prezentując ubrania. A że nie umiem jeszcze poruszać się jak modelka, Garo uczy mnie podstaw zawodu. Całe szczęście, że w Abidżanie nie wymaga się butów na wysokich obcasach.

Pewnego popołudnia pijemy razem kawę w salonie fryzjerskim, a mój nowy mistrz przygląda mi się bez słowa.

— Możesz zejść dużo dalej niż to, co tutaj robisz, Rebecca... — mówi w końcu.

— Naprawdę tak sądzisz? Co masz na myśli?

— Zacznijmy od zrobienia z ciebie Miss Wybrzeża Kości Słoniowej. To będzie doskonały początek...

Nie śmiem zapytać, co ten etap miałby zapoczątkować, ale ufam Garo instynktownie. Widząc moje niepewne spojrzenie, stwierdza stanowczym tonem:

— Wierzę w ciebie, Rebecca.

Te słowa jeszcze długo będą dźwięczeć mi w uszach, a jego wiara we mnie — dawać mi oparcie przez całe życie.

Konkurs Miss Wybrzeża Kości Słoniowej — Tombola — to jedno z najważniejszych wydarzeń w Abidżanie. Odbywa się co roku, a sponsoruje go państwowa loteria fantowa. Przez ponad miesiąc na łamach prasy publikowane są zdjęcia kandydatek, a czytelnicy wybierają swoją Miss. Garo organizuje mi shooting — sesję zdjęciową. Robi niezliczoną ilość zdjęć, po czym osobiście wybiera to, z którego jest zadowolony i które ma pojawić się w prasie.

W mojej przybranej ojczyźnie stałam się kimś. Wpadam w wir życia towarzyskiego, wszędzie mnie zapraszają, podziwiają, zazdroszczą. Najwyższy zaszczyt spotyka mnie, kiedy zajmuję pierwsze miejsce w konkursie Miss Wybrzeża Kości Słoniowej. Czuję się, jakbym wstępowała na tron cesarski. Z okazji mojego zwycięstwa pozuję do zdjęć w sukni wieczorowej, przepasana szarfą ozdobioną banknotami. Wizerunek ten natychmiast pojawia się na wszystkich murach miejskich i autobusach, na łamach dziennika „*Fraternité Matin*” i w wielu innych magazynach. Wystarczy, że wystawię nos na zewnątrz, a od razu robię oszałamiające wrażenie.

Dla Garo konkurs jest zaledwie etapem; ma wobec mnie inne plany, nie wystarcza mu lokalny splendor. Przekonany o tym, że przeznaczenie czeka na mnie poza granicami Afryki, postanawia uczynić ze mnie nową kobietę — wpaja mi dobre maniery i sztukę konwersacji. Dąży zwłaszcza do oduczenia mnie afrykańskiego akcentu i — niczym grzecznej uczennicy — każe powtarzać za sobą każde zdanie. Zwraca uwagę na moją postawę i sposób trzymania głowy; bardzo cenię sobie jego nauki. Przechodzę metamorfozę.

Bywam teraz w najmodniejszych kręgach Abidżanu, wśród elit towarzyskich z całej Afryki Zachodniej. Udaje mi się jeszcze zachować zimną krew, jak gdybym żyła we śnie, z którego w każdej chwili mogę się obudzić. Mam romans z pewnym Francuzem. Dumny z mojego rozgłosu, przedstawia mnie wszystkim swoim znajomym; wiem, że traktuje mnie tylko jako swoją zdobycz, ale mi to nie przeszkadza. Jedynym cieniem na tym doskonałym obrazie kładzie się Affie: nie potrafię zająć się nią jak prawdziwa matka. W moim życiu nie ma wtedy dla niej miejsca. Oddaję ją kolejno różnym opiekunkom, co w przyszłości będzie mi wypominać, słusznie zresztą. Dziś jeszcze noszę ciężar poczucia winy wobec niej. Będąc osiemnastoletnią pannicą, zanurzoną w wir mody i salonów, nie umiem unieść brzemienia, jakim jest dla mnie bycie matką.

Pewnego dnia Garo woła mnie do salonu.

— Znasz już cały Abidżan. Afrykańskie niebo zrobiło się dla ciebie za ciasne, teraz powinnaś zabłysnąć w Paryżu...

— Nie wierzę własnym uszom.

— Naprawdę tak uważasz?

— Jestem o tym przekonany od chwili, kiedy cię poznałem. Droga będzie długa i trudna. No i nie czas teraz na kochanków...

— W głowie mi się kręci.

— Wierzę w twoją przyszłość, Rebecca. Odłożyłem pieniądze na twój bilet na samolot. Paryż jest stolicą mody, a dla ciebie nie tylko celem podróży, ale miejscem przeznaczenia. Twojego przeznaczenia.

Afrykanka w Paryżu

Latem 1980 roku jestem gotowa na podbój Paryża. Papiery mam w porządku, a dzięki Garo — bilet w kieszeni. Otoczona tłumem przyjaciół, opuszczam swój azyl w uroczystej atmosferze godnej Miss Wybrzeża Kości Słoniowej. Na pokładzie samolotu personel lotniska wita mnie brawami. Odlatujemy w nocy, ale nie potrafię zmrużyć oka; przez okrągłe okienko patrzę, jak afrykańska ziemia rozwija się w oddali niczym bezkresny dywan. W chwili, gdy przelatujemy nad Morzem Śródziemnym, wstaje świt. W Nicei mam pierwszą przesiadkę i Hélène przychodzi po mnie na lotnisko. Dobrych kilka lat upłynęło od naszego ostatniego spotkania i mamy sobie tyle do opowiedzenia. Tłumaczę jej, że otwierają się przede mną nowe perspektywy, znacznie bardziej obiecujące niż to, co kiedykolwiek mogłaby zaoferować mi Marsylia. Hélène chciałaby zatrzymać mnie przy sobie, ale wie, że czeka mnie inne, lepsze życie. Choć niechętnie, pozwala mi ruszyć w dalszą drogę.

Moja paryska sielanka rozpoczyna się na Dworcu Lyońskim. Promienie letniego słońca rozgrzewają moje ciało łagodnym ciepłem, jakże różnym od palącego i bezlitosnego upału w mojej rodzinnej Afryce. Zakochuję się w tym mieście od pierwszego wejrzenia, w jego bujnej roślinności i błękitnym niebie; mam wrażenie, jakbym od zawsze należała do Miasta Światła. Paryż wygląda dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałam, i czuję, że serce drży mi od pierwszych chwil w nim. Ulice są czyste i przestronne, a wszyscy przechodnie uśmiechnięci. Z najmodniejszymi dreadami na głowie i zdjęciami pod pachą stawię czoło stolicy mody.

Swoje pierwsze kroki kieruję do Estelle; mieszka na Motte-Piquet w XV dzielnicy Paryża. Ta młoda Kamerunka była w Abidżanie dziewczyną Paula, właściciela Moulin-Rouge. Ale rzuciła go i wyjechała z Francuzem poznanym w barze. Jeszcze nie wiem o tym, że po przyjeździe do Paryża narzeczony zostawił ją z dnia na dzień bez środków do życia. I Estelle, żeby przetrwać, stoi pod latarnią w bogatych dzielnicach miasta, w ten sposób zarabia. Przyjmuje mnie bardzo miło w swojej małej kawalerce. To ona oprowadza mnie po obcej planecie, na której właśnie wylądowałam; wyjaśnia, jak działa metro i supermarkety. Przemierzam miasto z głową w chmurach, co krok wpadam w zachwyty.

Estelle pomaga mi znaleźć w książce telefonicznej adresy największych agencji modelek. Okazuje się, że te najbardziej renomowane są nieczynne w okresie letnim i nie przyjmują kandydatek poza sezonem „kolekcyjnym”. Mimo to agencja Simone zgadza się umówić mnie na spotkanie. Nazwa agencji pochodzi od imienia jej założycielki, eleganckiej brunetki o wdzięku baletnicy. Mieści się w budynku w stylu haussmanowskim, z wysokimi sufitami i ozdobnymi gzymsami. Miejsce to jawi się w moich oczach jako szczyt luksusu i jestem przekonana, że trafiłam pod właściwy adres. Simone wysyła mnie na różne castingi, ale nigdzie mnie nie chcą. Zaskakują mnie reakcje potencjalnych klientów: co znaczą te drwiące uśmiešky i porozumiewawcze poszturchiwania łokciami, gdy przedstawiam nazwę swojej agencji? Pewnego dnia ktoś w końcu lituje się nade mną:

- Jesteś tu nowa, prawda?
- Tak.
- I pewnie jeszcze nie znasz... jak to nazwać?... specjalizacji poszczególnych agencji? Rozkładam ręce, nie wiem, co ma na myśli.
- Wyobraź sobie, że mąż Simone jest reżyserem filmów porno...
- Nie!!!
- ...i że modelki, które wysyłają na castingi, biorą w tych filmach udział albo pozują do zdjęć w pismach tego typu.

Czuję się jak oblana kubłem zimnej wody. Bez wątpienia muszę się jeszcze wiele nauczyć. Rozpytuję wokół i dowiaduję się, że w rzeczywistości ta agencja jest prawdziwą agencją modelek i nie ma nic wspólnego z działalnością męża Simone, który faktycznie specjalizuje się w pornografii. Ale plotka nie zważa na fakty — wszyscy przyzwyczaili się już do utożsamiania tych dwojga. Tak czy inaczej, nie jest to agencja rangi tych, jakie mnie interesują. Marzę o tym, żeby reprezentowały mnie tuzy tej branży: Elite, Glamour, Paris Planning, Diva, Marilyn Gauthier, Ford...

Upłynęło kilka miesięcy, do Paryża przyszła zima. Zrobiło się zbyt chłodno, by Estelle mogła dalej stać pod latarnią w swoim skąpym stroju. Woli przyprowadzać klientów do siebie, do przytulnej kawalerki, i coraz częściej prosi mnie uprzejmie o opuszczenie lokalu. Błąkam się więc po ulicach, chroniąc się w miarę możliwości w zaciszu sal kinowych. Nie mogę mieć jej tego za złe, Estelle robi wszystko, żeby mi pomóc, ale musi jakoś zarabiać na życie. Dzięki społeczności imigrantów z Wybrzeża Kości Słoniowej, dla których solidarność nie jest tylko pustym słowem, znajduję schronienie u Rolanda — Francuza pochodzącego z Afryki. Mieszka w Saint-Mandé; bez zbędnych ceregieli proponuje, żebym przeprowadziła się do jego dużego apartamentu, i oddaje mi do dyspozycji telefon — to luksus godny pozazdroszczenia.

Roland pomaga mi znaleźć pracę. Tak odkrywam światek przemysłu prêt-à-porter, który kręci się wokół salonów odbywających się w Porte de Versailles. Nie jest to może szczyt sławy, ale zawsze jakiś początek w świecie mody. Wyposażona w mój album ze zdjęciami, wykonanymi na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w agencji Simone, szybko dostaję pracę jako hostessa na stoiskach, uczestniczę też w drobnych pokazach... Robota nie nudna, a początki obiecujące.

W tamtych czasach w Paryżu moda jest wszechobecna. Młodzi projektanci prześcigają się w propozycjach, codziennie wymyślają nowy styl. Jedni wybierają jaskrawe kolory, inni wołają całkowitą czerń. Bizuteria i dodatki (kolczyki, naszyjniki, bransoletki, paski skórzane lub satynowe, kapelusze, rękawiczki...) uważane są za konieczny element ubioru. W kręgach kultury wrze, lewica dochodzi do władzy. Francja się zmienia.

Osobistości świata mody znam na razie tylko z nazwisk. Z jednej strony, rzecz jasna, takie znakomitości, jak: Dior, Yves Saint Laurent, Guy Laroche, Emmanuel Ungaro, Pierre Balmain, Karl Lagerfeld, Thierry Mugler, Claude Montana, Kenzo... Z drugiej — młoda gwardia, która dopiero zaczyna pracować na własne nazwisko: Azzedine Alaïa, Jean-Paul Gaultier, Élisabeth de Senneville, Chantal Thomass, Sonia Rykiel... Albo Japończycy, fascynujący i zarazem niepokojący: Rei Kawakubo, Issey Miyake, Yohji Yamamoto... Na tym firmamencie króluje haute couture, nadaje prestiż francuskiej modzie i pozwala wybić się młodym talentom. Między poszczególnymi domami mody trwa zacięta rywalizacja, ale sukces jednego przyczynia się do twórczego współzawodnictwa, które wpływa pozytywnie na konkurencję.

Bywając w klubach, na wernisażach albo przyjęciach, zawsze w końcu wpadnie się na jakiegoś projektanta, redaktorkę magazynu mody lub stylistę. Zaczynam powoli tworzyć siatkę znajomości, do której codziennie wpadają nowe nazwiska. Wszystko się samoistnie zazębia. Przy drinku, z najnowszym przebojem Michaela Jacksona w tle, znajomość nawiązuje się w parę minut: „Wpadnij do mnie jutro do biura, tu jest moja wizytówka”. Żadnych stojących na przeszkodzie, zgryźliwych sekretarek, żadnego niekończącego się oczekiwania na telefon.

W tej krainie czarów mam jedną przygodę za drugą. Érica poznaję w Élysée, sławnym wówczas klubie nocnym. W Paryżu szybko zostałam stałą bywalczynią dyskotek i modnych barów, w których każdego wieczoru można spotkać znajomych, a także niezajomych — ich trzeba jeszcze poznać. W ten sposób wpadam na Érica, moją pierwszą wielką miłość. Éric zajmuje się handlem dziełami sztuki i nałogowo kupuje starocie. Mieszka w lofcie służącym mu równocześnie za skład, rzut beretem od pchłego targu w Saint-Ouen. Wstaje o świcie i podąża

tam w poszukiwaniu skarbów, po czym idzie otworzyć swój sklepik, również znajdujący się na pchlim targu. Wkrótce kupuje barcę — zacumuje między mostami Grenelle i Bir-Hakeim — i przeprowadza się do niej.

Éric — miłośnik kultury i sztuki — dzieli się ze mną swoimi pasjami. Często chodzimy razem do muzeum; z początku przechodzę obok obrazów, nie widząc ich nawet i nie rozumiejąc, jak on może czerpać przyjemność z wpatrywania się tak długo w jedno płótno. Stopniowo Éric otwiera mi oczy na piękno i dzięki niemu uczę się oglądać obrazy. Szczególnie podobają mi się dzieła Gauguina: ich urok, kolory i światło przypominają mi rodzinną Afrykę. Razem odbędziemy podróż — a raczej pielgrzymkę — do Amsterdamu, do Muzeum van Gogha, jego ukochanego malarza. Wtajemnicza mnie też w tajniki muzyki klasycznej i literatury, podsuwając książki, które sam starannie wybiera.

— Jeżeli nie będziesz czytać, wielka część tego świata pozostanie dla ciebie niedostępna!

Umożliwiają mi dostęp do kultury, Éric pozwala mi się rozwijać. Jest wielkoduszny i czuły. Szanuje mnie i nie sprowadza do roli statystki, a tak dotychczas często mnie traktowano. Bardzo cenię sobie nasz związek. Éric poznaje moją siostrę i nakłania mnie, żebym wróciła do Togo po Affie. Zachęca mnie również do realizowania się w świecie mody i towarzyszy w stawianiu pierwszych kroków w haute couture. Nasz romantyczna historia trwa trzy lata. Mieszkam we własnej kawalerce, ale większość czasu spędzam u niego.

Tylko że zakochać się to — w przypadku modelki — prawie jak popełnić błąd w sztuce zawodowej. W tej pracy nie ma miejsca na mężczyznę. W miarę jak moja kariera nabiera rozpędu, poświęcam mu coraz mniej czasu. Często podróżuję i jestem zmuszona spędzać całe miesiące za granicą, bo uczestniczę w sesjach zdjęciowych lub pokazach mody. Dla Érica sytuacja staje się nie do zniesienia. Pewnego dnia każe mi dokonać wyboru.

— Kocham cię, Rebecca, i chcę, żebyś była całkowicie moja. Porzuć modę i zdaj się na mnie.

Ale blask sławy już uderzył mi do głowy; oszołomiona karierą na wybiegach, stawiam ją ponad wszystko. Nasz związek tego nie przetrwa. Moda jest jak bestia, która pożera własne dzieci.

Wyrodna matka

Za radą Érica wracam do Afryki po Affie. W tamtym czasie zadawałam się jeszcze występowaniem na pokazach w ramach salonów prêt-à-porter, organizowanych w Porte de Versailles. Spotykam się z Garo, jak zawsze szczerym i bezpośrednim.

— Musisz mierzyć wyżej, Rebecca! Nie po to jechałaś do Paryża!

Ma rację. Ale nie każdemu dane jest zaistnieć w stolicy mody.

Cieszę się, że jestem z powrotem na afrykańskiej ziemi, z jej dusznym, wilgotnym powietrzem, odurzającym zapachem przypraw, kolorami i światłem. Uświadamiam sobie, jak bardzo potrzeba mi wracać tu regularnie, żeby naładować baterie. Tutaj łączę się z odwiecznymi siłami natury, podczas gdy cały pędzący Paryż podłączony jest wyłącznie do elektryczności.

Jadę do Lomé. Spotykam się tam z Kayi; moja młodsza siostra wyszła za mąż i oczekuje dziecka. Patrząc na jej okrągły brzuch, zdaję sobie sprawę z czasu, jaki upłynął, od kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Ale nasze spotkanie to jedyna przyjemna chwila w stolicy Togo — to miejsce wywołuje we mnie zbyt bolesne wspomnienia. Chcę stąd jak najszybciej wyjechać.

Affie mieszka teraz u mojej babci, która przeprowadziła się z powrotem do rodzinnej wioski. Przyjeżdżam bez zapowiedzi. Znajomy krajobraz wywołuje tyle wspomnień z dzieciństwa: chaty kryte strzechą, piaszczysta ziemia, soczyste zielony las, głosy ptaków — niczym reminiscencja odległego snu. Dostrzegam Affie. Siedzi na ziemi i bawi się blondwłosą lalką. Poważnie chorowała, polio zrobiło w niej ogromne spustoszenie. Z przerażeniem patrzę na jej cieniutkie nóżki.

— Mama! — krzyczy.

I biegnie przytulić się do mnie. Trudno mi wziąć ją w ramiona; moje matczyne uczucia do niej to wciąż sprawa bardzo delikatna. Babcia cieszy się, że mnie widzi, ale przeraża ją moja figura.

— Ayoko, ależ ty schudłaś!

— Nie, babciu, to do pracy.

— Rozumiem: biali nie dają ci nic do jedzenia, tak? Chodź no, niech cię trochę podtuczę!

W nadziei, że przybędzie mi parę kilogramów, przez cały mój pobyt babcia gotuje mi przepyszne tradycyjne dania, których smak zdążyłam już zapomnieć.

Affie ma osiem lat. Zamierzam oszczędzić jej losu, jaki czekałby ją, gdyby została w wiosce: gdy tylko dojrzeje, bez pytania o zdanie wydadzą ją za mąż za pierwszego lepszego, który zgodzi się ją poślubić pomimo jej kalectwa i słabowitego wyglądu. Sama, skazana na jego łaskę, może być narażona na wszelkie formy przemocy. Affie niechętnie opuszcza swoją prababcię, ale cieszy się, że może być z mamą, którą tak sobie wyidealizowała. Niestety, nie jestem tą kochającą matką, na którą zasługuje. Domaga się miłości i czułych gestów, a ja nie potrafię jej ich dać. Opiekuję się nią, ale jednocześnie odtrącam. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Jej cierpienie wywołuje u mnie wyrzuty sumienia, ale to jest silniejsze ode mnie: moje ciało, ramiona, serce — pozostają niewzruszone. Kiedy na nią patrzę, przytłaczają mnie obrazy brutalnego gwałtu i zdrady przyjaciółki. Jej mała, rozkoszna buźka za bardzo przypomina mi twarz tamtego drania, a w głowie dźwięczy mi śmiech kobiety, która mnie jemu oddała.

Na Affie spoczywa brzemię. Potępiła ją własna matka za grzech, którego nie popełniła, a tymczasem sprawca gwałtu nigdy nie poniósł za niego odpowiedzialności. Może rzecz miałaby się inaczej, gdyby został skazany. Może byłabym lepszą matką, gdybym jako dziecko otrzymała więcej miłości. Ale w Gabonie coś we mnie pękło na zawsze: moje dzieciństwo zostało pogrzebane, a ja stałam się nieczuła i pogrzebałam dzieciństwo własnej córki.

W Lomé wyrabiam dokumenty dla Affie. Aby obejść brak jej aktu urodzenia, muszę wręczyć łapówki całemu sztabowi słabo opłacanych urzędników państwowych, którzy w ten sposób dorabiają sobie do pensji. Po powrocie do Paryża zamieszkujemy w mojej kawalerce na bulwarze Beauséjour. Ani przez chwilę nie wyobrażam sobie, że miałabym dostosować swoje życie do potrzeb Affie. Wręcz przeciwnie! Uważam, że to ona powinna przystosować się do moich celów zawodowych. W wieku dwudziestu lat przyjmuję postawę i zwyczaje z innego świata, zupełnie niepasujące do życia we Francji.

Szkoła już się zaczęła, nie udaje mi się zapisać do niej Affie. Do czasu rozpoczęcia następnego roku szkolnego muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. W tamtym okresie moje ambicje zawodowe rosną, całkowicie poświęcam się pracy, zdjęcia w magazynach i wybiegi przyciągają mnie jak syreni śpiew. Resztki wolnych chwil poświęcam Éricowi, wtedy jeszcze przed rozstaniem, spotykając się z nim na jego barce. Affie mieszka ze mną, ale w moim życiu nie ma dla niej miejsca. Każę jej, ledwie ośmiolatce, radzić sobie samej, jak małej dorosłej. Zapelniam lodówkę, pokazuję, jak używać kuchenki, i zostawiam pęk kluczy. Spędza całe dnie w parku naprzeciwko naszego budynku. To tam uczy się francuskiego od dzieci, z którymi przebywa — ze sobą rozmawiamy w języku *mina*. Wraca do domu tylko po to, żeby zjeść, wyspać się i pooglądać telewizję. Ma mi strasznie za złe, że tak ją porzucam po tym, jak wróciłam po nią po długim rozstaniu. Jej wzrok mówi sam za siebie. Szybko się zorientowała, że we Francji dzieci są rozpieszczane, całuje się je, przytula...

— Mamo, ty mnie nigdy nie całujesz! Nie kochasz mnie. Ja się zabiję!

Trwam w zamkniętym świecie, do którego ona nie ma wstępu. Nawet jeżeli mieszkamy razem w ciasnej przestrzeni mojego małego mieszkania, dzieli nas odległość wielu lat świetlnych. Nie mogę włączyć jej do mojego życia i bez przerwy oddaję ją pod opiekę kolejnym niańkom.

Wtedy to Héléne przybywa nam na ratunek. Ponad rok po przyjeździe Affie do Francji bierze ją do siebie. A potem oddaje do internatu w Nicei, prowadzonego przez zakonnice, które ochrzczą ją imieniem Joëlle. Affie strasznie tam rozrabia. Nie cierpi dyscypliny i personel internatu skarży się na nią regularnie. Pozbawiona matczynej miłości i obecności ojca, którego nigdy nie poznała, Affie na swój sposób daje upust rozpacz i wściekłości. Jestem zupełnie bezradna i jedyne, co potrafię, to grozić jej powrotem do Afryki, jeżeli się nie zmieni. W takich chwilach robi się potulna jak baranek, przerażona taką perspektywą. Zaznała już dość biedy i głodu.

Affie zostanie we Francji, ale nadal będzie błąkać się z jednego końca kraju na drugi, od jednej opiekunki do następnej. Minie wiele czasu, zanim, pod presją rodziny, odważę się zdradzić okoliczności jej przyścia na świat. Myślę, że nie chciałam, aby idealizowała tego drania, który zgwałcił mnie w Lomé. Tamtego dnia obie strasznie się popłakałyśmy. Ale mój kat nadal pozostaje jej ojcem.

Agencja Glamour

Pewnego pięknego dnia jakaś kobieta zaczepia mnie na Polach Elizejskich. Pracuje dla koncernu medialnego Filipacchi, właściciela takich tytułów prasowych jak „Elle”, „Paris-Match” czy „Lui”. Daje mi swoją wizytówkę i kontaktuje mnie z Régisem Pagniezem, dyrektorem artystycznym grupy. Moja relacja z nim będzie przypominać tę, jaka łączyła mnie z Garo w Abidżanie: stanie się dla mnie życzliwym mentorem. Régis kocha Afrykę i żywi wobec mnie ojcowskie uczucia. Spoza blichtru potrafi rozpoznać we mnie zagubioną małą, którą tak naprawdę wciąż jestem. Nie chcąc nic w zamian, udziela poręczenia za mieszkanie, które zamierzam wynająć w XVI dzielnicy Paryża. Daje mi też dobre rady.

— Na początek musisz zmienić fryzurę. Obetnij te dredy! Tutaj trzeba mieć inny styl...

Podczas sesji zdjęciowej dla magazynu „Lui” występuję uczesana na jeża. Wyglądam jak rozczochna Grace Jones. Ale efekt końcowy całkiem mi się podoba. Pozuję do zdjęć, które trafią do działu mody pod kierunkiem stylistki Yaffy Assouline. Wszyscy wydają się zadowoleni z rezultatu i zgodnie orzekają, że jestem fotogeniczna. Komplement przywraca mi wiarę we własne siły. Bo pomimo sukcesu, jaki odniosłam w Abidżanie, wciąż zachowałam maniery małej Afrykanki, która spuszcza wzrok przed dorosłymi. Régis uważa, że nadszedł czas, aby przedstawić mnie dyrekcji artystycznej magazynu „Elle”. Ale są pewne zasady, których żadna modelka nie może lekceważyć. A konkretnie — muszę być reprezentowana przez agencję z prawdziwego zdarzenia. Zespół działu mody grupy Filipacchi dzwoni przy mnie do agencji Glamour. Od razu umawiają mnie na spotkanie.

Glamour to jedna z najbardziej prestiżowych agencji modelek na świecie; posiada swoje oddziały we wszystkich największych stolicach świata. W Paryżu, gdzie bardzo trudno jest zaistnieć, stanowi jedną z najpopularniejszych wśród wielkich projektantów — obok Elite i Marilyn Gauthier — wylęgarnię modelek. Na moje pierwsze spotkanie idę pieszo. Siedziba Glamour znajduje się na ulicy François-1^{er}, za Polami Elizejskimi. Na czwarte piętro wjeżdża się starą, typowo paryską windą. Pod pachą, w małym, byle jakim booku znalezionym w księgarni, niosę parę zdjęć zrobionych na Wybrzeżu Kości Słoniowej oraz najlepsze fotografie wykonane podczas sesji dla „Lui”.

Jean-François, Évelyne i Marie, bookerzy w Glamour, siedzą wokół białego, okrągłego stołu z obrotowym blatem. Na środku stołu umieszczono obrotowy stojak na kartki papieru, wyposażony w osobne przegródki na każdą literę alfabetu. W ten sposób bookerzy mogą przekazywać sobie notatki podsumowujące charakterystykę każdej modelki. Wszyscy troje zaczynają od przejrzania mojego albumu, skupiają się na zdjęciach opublikowanych w „Lui”. Potem powoli lustrują mnie spojrzeniem. Czuję, jak rozbierają mnie wzrokiem, ważą, mierzą i oszacowują co do grama i milimetra. Jest to tym bardziej nieprzyjemne, że cały ten dziwny rytuał odbywa się w zupełnej ciszy.

Następnie Évelyne każe mi przejść do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie metrem krawieckim zdejmuje ze mnie miarę. Na ścianie wisi przyrząd do mierzenia wzrostu z wagą na podłodze, jak w gabinecie lekarskim. Évelyne notuje wszystko na białej kartce papieru, na samej górze zapisuje wielkimi literami: B-L-A-C-K oraz moje dane. Kiedy wraca, by usiąść przy okrągłym stole, umieszcza moją kartkę w przegródce z literą R jak Rebecca. Test wypadł pozytywnie. Wkraczam do seraju.

Agencja składa się z dwóch działów. Pierwszy skupia modelki do zdjęć (magazyny, katalogi, plakaty reklamowe...). Drugi, uważany za bardziej ambitny, zarezerwowany jest do pokazów; aby się tam dostać, trzeba mieć idealne wymiary. Zdjęcie zawsze można

podretuszować, ale na pokazach kolekcji występuje się *live*. Glamour od razu umieszcza mnie w obu działach — to raczej rzadki przywilej.

Wychodzę ze spotkania z ceną zdobyczą: słynnym czarnym bookiem z pieczętą „Agencja Glamour”, w którym umieszczono kilka moich zdjęć. Parę dni później dostaję umowę, której nawet nie przeczytam przez podpisaniem. Pławię się w błogostanie, gotowa podpisać wszystko, byle tylko mój sen na jawie trwał nadal. Tymczasem warunki agencji są surowe: otrzymuje 55 procent mojego honorarium, a w zamian zajmuje się wszelkimi relacjami z klientem. Koszty zdjęć do kompozytów i do booku ponosi modelka; agencja płaci za nie zaliczkę, którą następnie potrąca z przyszłego wynagrodzenia.

Agencja wysłała mnie do „Elle”, gdzie słyszeli już o mnie od Régisa Pagnieza. Pierwszą przeszkodą do pokonania jest Odile Sarron, kierowniczka castingu. Ubrana niezależnie od pory roku w dżinsy i koszulę, z ochrypłym głosem, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym, ma opinię bezwzględnej, gdy ktoś jej się nie spodoba. Zarówno w prasie, jak i w domu mody to kierowniczka castingu rozdaje karty. Na niej spoczywa dbałość o wizerunek firmy, który tworzy poprzez dobór odpowiednich modelek. Na szczęście spodobam się Odile i zacznę regularną współpracę z magazynem „Elle”. Wiele innych czasopism na całym świecie wkrótce do niego dołączy.

Świat modelingu funkcjonuje według ściśle określonej hierarchii i trzeba uzbroić się w cierpliwość przed wspinaczką po jej kolejnych szczeblach. Na samym dole znajdują się dziewczyny biorące udział w salonach, takich jak te w Porte de Versailles. Gdy przekroczą próg domu mody, zaczynają pracę w showroomie, gdzie odbywają się prywatne prezentacje kolekcji. Występ na wybiegu przed publicznością stanowi dla modelki prawdziwą próbę ognia; musi umieć się poruszać, prezentować stroje, odgrywać całe to przedstawienie... Ja bardzo wcześnie zaczęłam występować na pokazach. Moi życzliwi mentorzy na długo przede mną odkryli mój talent do prezentowania się przed publicznością z wdziękiem i powabem. Mimo że — zwłaszcza na początku — jestem jeszcze nieśmiała i powściągliwa, gdy tylko postawię stopę na wybiegu, wszystkie zahamowania zostawiam w przebieralni. Zdjęcia to kolejny ważny etap w tym zawodzie. Mogłoby się wydawać, że odbiegająca od rzeczywistości fotografia mody wiele zawdzięcza technice: makijażowi, efektom specjalnym, profesjonalizmowi fotografa... A to twarz i ciało w istocie wyrażają niepowtarzalną osobowość. Strój się liczy, ale to modelka czyni zdjęcie wyjątkowym. Ta fotogeniczność nie jest dana wszystkim dziewczynom, występującym na wybiegach. Ale z narcystycznego punktu widzenia, największą satysfakcję rodzi bycie modelką haute couture. Zostaje się muzą projektanta, ekskluzywnym płótnem, na którym mistrz tworzy swoje dzieło. Na szczycie tych elit znajduje się top modelka — jej nazwisko staje się równie sławne, jak nazwisko projektanta. Jest czczona, oklaskiwana, wyczekiwana... Jest u szczytu kariery.

W przeciwieństwie do stereotypu panującego w świecie mody początki kariery modelki nie zawsze są łatwe i przyjemne. Aby pozwolić mi wybić się na arenie międzynarodowej, Glamour wysłała mnie na jedno z pierwszych zleceń do Mediolanu, gdzie współpracuje z miejscową agencją modelek. Towarzyszy mi, również pochodząca z Afryki modelka, Katoucha Niane, z którą się zaprzyjaźnię. Łądujemy obie w ohydnej spelunie: toaleta znajduje się na półpiętrze, drzwi się nie domykają. Na domiar złego, dokładnie naprzeciwko naszego okna umieszczony jest ogromny neon. Przez całą noc, mimo zasłon, oślepia nas migoczący szyld z napisem „Pensione Londra”! Nasze dochody są jeszcze skromne, a agencja nie ma zamiaru opłacać nam bardziej przyzwoitego hotelu.

Glamour zajmuje się wszystkimi aspektami życia swoich wybranek, zarówno zawodowego, jak i prywatnego. Modeling przypomina zakon, którym rządzą surowe zakazy,

mniej lub bardziej oficjalne. Jednym z najważniejszych jest zakaz przybierania na wadze. Ważę czterdzieści dziewięć kilo przy wzroście metr siedemdziesiąt sześć! Zabrania się także obcinania włosów czy eksperymentowania z fryzurami. Mamy mieć idealną cerę i nienaganny manikiur... Bez przerwy słyszę:

— Twoje jedyne zadanie to być piękna od stóp do głów.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić!

W przypadku większości modelek pochodzących z zagranicy agencja zajmuje się także zdobyciem dla nich karty pobytu, co nigdy nie jest łatwe. Podobnie jak konkurencyjne agencje, Glamour poszła na układ z jedną z pracownic paryskiej prefektury. Gdy jakaś modelka musi przedłużyć ważność swoich dokumentów, urzędniczka jest o tym uprzednio powiadamiana. Przed prefekturą w Île de la Cité ludzie ustawiają się w kolejce od wczesnego świtu i stoją tak przez wiele godzin. Urzędniczka prefektury natychmiast wylapuje dziewczyny znacznie wyższe i szczuplejsze od pozostałych i prowadzi je z uśmiechem do swojego biura. Skąd wkrótce wychodzimy z wzorową kartą pobytu. Trzeba dodać, że sekretarka agencji nie zapomniała wsunąć do naszych dokumentów jednego „paskala”, jak potocznie nazywano ówczesny banknot pięciuset frankowy.

Czarna modelka

Moja paryska kariera różni się od tej, jaką znam z Wybrzeża Kości Słoniowej, i nie ma nic wspólnego z wyluzowaną atmosferą Abidżanu. Tutaj wszystko jest ściśle ustalone, każdy ma określoną funkcję, przebieg zdarzeń dokładnie rozplanowano... Garderobiana, fryzjer czy makijażystka perfekcyjnie odtwarzają swoje role. Czas ucieka. Napięcie rośnie.

Casting do magazynu nie jest tak stresujący jak do pokazu. Sesje zdjęciowe również należą raczej do przyjemnych. W studiu rodzi się intymna więź z fotografem. To on — bo najczęściej są to mężczyźni — buduje zaufanie modelki i kieruje nią przed obiektywem. Rezultat odzwierciedla jakość ich wzajemnej relacji. Oczywiście inne czynniki też grają ważną rolę: wystrój wnętrza, makijaż, światło... Ale wtedy, w latach 80., jakość zdjęcia zależy przede wszystkim od modelki, która nie może pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Co prawda zawsze pozostaje możliwość retuszu, ale dostępne środki techniczne są niewspółmierne do tych w dzisiejszych czasach.

Wizytówką modelki jest jej kompozyt, dowodem tożsamości — jej book. Materiały te szybko tracą ważność, robią się nieaktualne i wymagają częstej wymiany. Glamour organizuje mi sesję zdjęciową. Z oszczędności połączono razem cztery modelki, bo stały fotograf agencji pracuje na akord. Tego dnia ma wyjątkowo zły humor i nie szczędzi nam nieprzyjemnych komentarzy. Czepia się zwłaszcza czarnoskórych modelek, czyli Katouchy i mnie. W trakcie sesji wyczuwam wyraźną jego wrogość, jakby chciał dać mi odczuć, że nie jestem wystarczająco piękna, aby dostąpić zaszczytu bycia uwiecznioną przez jego obiektyw. Nastawia mnie to buntowniczo; myślę: „Mam cię gdzieś! Będę olśniewająca wbrew tobie!” Czuję, że zdjęcie będzie udane, właśnie dzięki temu, że nie poddałam się biernie jego wskazówkom. Ta sesja zdjęciowa pozwala mi nawiązać wiele nowych kontaktów. Po raz pierwszy — ale nie ostatni — zderzam się z otwarcie rasistowską postawą w świecie mody.

Pewnego dnia agencja wysłała mnie na casting do zimowej kolekcji znanego projektanta prêt-à-porter. Jej przedstawiciel wita mnie chłodno:

- Czego pani tu szuka?
- Agencja mnie przysłała.
- Ale my nie bierzemy kolorowych modelek na zimę!

Konsternacja. Tak, jakby czarnoskóre kobiety, mieszkające w Europie albo Ameryce Północnej, nie ubierały się ciepło w grudniu, jak inni. Agencja kontaktuje się z klientem i informuje, że jestem zbulwersowana jego postawą. Wyjaśnienie, jakie otrzymuje w odpowiedzi, jest rozbrajające i doskonale świadczy o utrzymujących się we Francji uprzedzeniach: ów dom mody — jak wiele innych — zatrudnia czarne modelki wyłącznie do kolekcji letnich, gdy ubrania są bardziej kolorowe. Według tych modystów Europa, zima i futra zarezerwowane są dla białych; bawełniane szmatki, lato, słońce — to dobre dla czarnych.

Najdotkliwiej zapamiętam casting do nowej kolekcji sukni ślubnych u bardzo znanej projektantki specjalizującej się w modzie ślubnej. Kierowniczka castingu przyjmuje mnie na swoich prestiżowych salonach. Na mój widok robi tak osłupiałą minę, jakbym przyszła przebrana za Świętego Mikołaja.

- Słucham? — pyta agresywnym tonem.
- Przychodzę na casting.
- Mierzy mnie wzrokiem z wyższością i ironicznym uśmieszkiem.
- Wie pani, przykro mi, ale my tu mamy suknie ślubne...

Jej spojrzenie wyraża najwyższą pogardę. Tym razem przekaz jest jasny: dla tej

ograniczonej kobiety czarna nie może nawet marzyć o tym, że kiedykolwiek włoży białą suknię ślubną. Klientki nie będą utożsamiać się z czarnoskórą panną młodą. Mam wrażenie, że właśnie zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem.

Na ogół tego typu uprzedzenia obce są wielkim projektantom, nawet jeżeli paru z nich niechętnie współpracuje z kolorowymi modelkami. Uczę się tego na własnej skórze, udając się kiedyś na casting do prestiżowego domu mody, gdzie zostaję natychmiast odrzucona. Pytane przeze mnie inne czarne modelki potwierdzą później: czarnoskóra nie ma tam czego szukać.

We Francji w początkach lat 80. czarna społeczność nie jest jeszcze tak dostrzegalna jak dziś. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiło pojawienie się kolorowych modelek w wyższych sferach haute couture. W Europie kilka czarnych dziewczyn rozpoczyna błyskotliwą karierę, pojawia się na okładkach pism. Pionierką była Amerykanka Naomi Sims, u progu lat 70., niedługo po przyznaniu w USA pełni praw obywatelskich dla czarnych, i jej obecność w świecie mody miała wyraźny polityczny wymiar. W Paryżu czarnoskóre modelki pojawiają się na wybiegach dość późno. Epoka naznaczona jest jeszcze przez *Black is beautiful*, Angelę Davis, Jimiego Hendrixa, fryzury afro i dredy rasta. Stereotypy współczesnej kultury afroamerykańskiej dominują nad społecznymi wyobrażeniami odnośnie do muzyki, sportu czy walki politycznej. Wtedy to właśnie czarnoskóre piękności zaczynają przenikać do świata, który był dotychczas domeną zarezerwowaną dla białej burżuazji.

Yves Saint Laurent pierwszy zatrudnił na wybiegu Martynikankę, Mounię. Potem przebijają się następne, wśród nich Somalijka Iman, powszechnie znana jako pani Dawidowa Bowie, czy nowojorska piosenkarka Grace Jones, która z pomocą swojego przyjaciela Jeana-Paula Goude'a lansuje niepowtarzalny styl, ostentacyjny i groteskowy. Pojawiam się w odpowiednim momencie. Przynoszę surowy wizerunek Afryki, z jej wioskami w buszu i zwyczajami odległymi o miliardy lat świetlnych od tradycji Europy i USA. Większość kolorowych modelek wyrosła w środowisku bogatym i naznaczonym kulturą Zachodu. Ja przybywam z daleka i zajmuję swoistą niszę, której jestem jedyną lub jedną z nielicznych przedstawicielek.

Często słyszę pytania o ówczesne wzajemne relacje między czarnoskórymi modelkami: solidarność czy rywalizacja? Szczerze mówiąc, jedno i drugie. Jest nas jeszcze niewiele i doskonale zdajemy sobie sprawę z sensacji, jaką wywołujemy. Stąd bierze się pewna konkurencja między nami. Zdarza mi się na przykład odczuć zazdrość, kiedy widzę czarnoskórą modelkę na castingu u projektanta, którego to ja jestem ulubienicą. Taki stosunek odzwierciedla mój lęk przed utratą statusu, a także niejasne przekonanie, że my, czarne, wszystkie jesteśmy warte siebie nawzajem — a to oczywiście nieprawda. Z pewnością nieświadomie przejęliśmy sposób generalizowania typowy dla uprzedzeń rasowych. Wyłącznie ze względu na kolor skóry same umieściliśmy się w jednej kategorii, stanowiąc dla siebie nawzajem zagrożenie.

Jednocześnie okazujemy sobie solidarność wobec przeciwności, zwłaszcza jeżeli przybierają one formę rasizmu. Bliska znajomość będzie łączyła mnie przez wiele lat z gwinejską top modelką Katouchą Niane. Bez wątpienia zbliżyły nas do siebie cierpienia doznane w dzieciństwie; Katoucha w wieku dziewięciu lat została poddana klitoridektomii, ja miałam swój zestaw traumatycznych przeżyć począwszy od Togo, przez Gabon, aż do Wybrzeża Kości Słoniowej. Mimo wzlotów i upadków, jakimi naznaczona będzie nasza wzajemna relacja, zawsze pozostaniemy bardzo ze sobą związane.

Haute couture

Wielkie pokazy mody na Cour Carrée na dziedzińcu Luwru są zwieńczeniem kariery każdej modelki. Do odbywających się tam publicznie czterdziestu pięciu prezentacji prêt-à-porter przeprowadzana jest niezliczona liczba castingów, a do każdego pokazu wybiera się około czterdziestu modelek. W haute couture jest znacznie mniej prezentacji, mimo to owo doniosłe wydarzenie wywołuje wśród modelek gorączkową atmosferę: w centrum Paryża można je wtedy spotkać, jak pędzą na swój kolejny występ.

Tempo — szaleńcze, a harmonogram napięty. Prezentacja kolekcji prêt-à-porter zaczyna się w Mediolanie, gdzie trwa dwa tygodnie. W Londynie, mniej ważna, odbywa się w parę dni. Za to w Paryżu jest tylu projektantów, że tutejszy maraton ciągnie się prawie miesiąc. Następnie trzy tygodnie w Nowym Jorku i wreszcie Tokio, gdzie tempo zwalnia i pokazy rozkładają się na sześć tygodni. W szczytowym okresie potrafię w Paryżu wystąpić na trzech pokazach w ciągu jednego dnia, w Nowym Jorku na czterech, dodając do tego jeszcze przymiarki między każdym z nich. Oblęd! Czasami zdarza mi się wyszaleć na dyskotecę, ale zazwyczaj kładę się wcześniej spać, z przyjemnością myśląc o kolejnym dniu na wybiegu. Życie w ciągłym biegu działa na mnie jak narkotyk. Chcę więcej i więcej. Nie czuję zmęczenia.

Haute couture zajmuje najwyższe miejsce na firmamencie świata mody. Tym mianem określa się domy mody spełniające bardzo ostre normy jakości i przyznaje się je niewielkiej garstce wybrańców. Muszą spełniać określone kryteria doskonałości. Najważniejsze? Ręczne szycie unikatowych egzemplarzy strojów. Zarówno proces tworzenia, jak i prezentowania kreacji znacząco różni się od prêt-à-porter. Stroje bardzo indywidualne i wyrafinowane odzwierciedlają skalę kreatywności projektantów. Modelki muszą umieć wpasować się w ten wyjątkowy, ekskluzywny świat. Prezentacje kolekcji haute couture odbywają się dwa razy w roku: na przełomie czerwca i lipca pokazy kolekcji zimowej, w styczniu — kolekcji letniej. Rozpoczynają się w Rzymie, po czym przenoszą się do Paryża.

W czasie kolekcji modelka żyje w szaleńczym tempie: dwadzieścia cztery godziny na najwyższych obrotach, bez chwili wytchnienia. Z samego rana dzwonię do agencji po wytyczne — i tak jeszcze przynajmniej cztery razy w ciągu dnia. Przed pojawieniem się telefonów komórkowych rzucałyśmy się łączywie z bookiem w ręce na każdą budkę telefoniczną, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, gdy ktoś miał czelność wisieć bez końca na słuchawce. Po wyjściu z castingu trzeba jeszcze zdać sprawozdanie, a dopiero potem pędzić na następne spotkanie. Często agencja zostawia nam wiadomość w domu mody, do którego akurat biegniemy: „Rebecca, zadzwoń do nas jak najszybciej, to pilne!”

W moim booku główne miejsce zajmuje plan Paryża. Podobnie jak pozostałe modelki, poruszam się po mieście metrem — najszybszym i najtańszym środkiem transportu. Zdarza mi się uczestniczyć kolejno w pięciu do sześciu castingach dziennie — a każdy trwa przynajmniej godzinę albo dwie. Potem trzeba czekać na wynik, który przekazywany jest do agencji. Instrukcje są zawsze takie same: mamy pięknie wyglądać, uśmiechać się i być zawsze do usług oraz nie reagować na melodramaty odgrywane się w studiu. A tam wszyscy są tak zestresowani, że nierzadko dochodzi do scen. Apodyktyczny agent, fotograf w parszywym humorze, asystentka we łzach... Płacz, krzyki, burza. My musimy pozostać niewzruszone ponad tym polem bitwy. Na szczęście są walkmany — ówczesne iPody — więc tak jak większość koleżanek chodzę ze słuchawkami w uszach. Whitney Houston, Anita Baker i Barbra Streisand pomagają mi zachować spokój.

Najgorsze są castingi. Jesteśmy tam sprowadzone do roli przedmiotów, albo raczej

kawałków mięsa, które bada się pod lupą. W przypadku bardzo prestiżowego pokazu — jak haute couture — agencje wysyłają na casting swoje pierwszoligowe modelki. Nawet jeżeli czasem zdarzy nam się zaprzyjaźnić, to w decydującym starciu liczy się tylko rywalizacja. Oceniając mocne i słabe strony moich konkurentek, nie przestaję się zastanawiać: Czy mnie przyjmą? Czy uda mi się wyróżnić spośród innych dziewczyn?

Czas oczekiwania jest wyjątkowo stresujący. Każda z nas zamyka się w swojej skorupie, nikt z nikim nie rozmawia. Wywołana modelka wchodzi i prezentuje się przed siedzącymi za stołem przedstawicielami klienta. Sam projektant pojawia się rzadko. Jury składa się zazwyczaj z agentów, asystentów i kierowniczkii studia. W pierwszej kolejności chcą zobaczyć, jak się poruszasz. Musisz wykonać swój numer ze spokojem i uśmiechem na twarzy, wiedząc, że w tym czasie prześwietlają cię na wylot, wykrywając nawet minimalnie podkrążone oczy i niedokładny makijaż. Zdarza się wręcz, że dziewczyny ubrane w spodnie muszą je zdjąć, żeby jury mogło ocenić kształt ich nóg.

Po przejściu tego etapu czekamy na telefon z agencji, która poinformuje nas, czy zakwalifikowałyśmy się do następnej rundy, tym razem odbywającej się już przed samym projektantem. Tutaj też nic jeszcze nie jest przesądzone. Niektóre modelki będą musiały odpaść. Teraz najważniejsze to ocenić, czy nasze ciało współgra ze strojem prezentowanym na pokazie. Aby przedstawić mnie Hubertowi de Givenchy, który przyjmuje w swoim salonie, garderobiane ubierają mnie w rajstopy, spódnicę, bluzkę i zakiet. Muszę też włożyć kapelusz, rękawiczki, kolczyki i buty na wysokim obcasie, odpowiednio do charakteru aktualnej kolekcji. Występując przed mistrzem, wedle jego życzenia mam zdjąć zakiet z wprawą profesjonalistki, po czym nieść go przewieszony przez ramię lub opadający do ziemi. Wcześniej oczywiście warto zasięgnąć informacji o zwyczajach właściwych konkretnemu domowi mody. To wyjątkowo stresujące doświadczenie. Nierzadko modelki mimowolnie pocą się, obwódki potu zostają na sukni, co natychmiast dyskwalifikuje.

Chcąc pozytywnie przejść tę próbę, trzeba być fotogenicznym. Ale przede wszystkim umieć wzbudzić u projektanta poczucie idealnej harmonii między strojem a ubraną w niego kobietą, tak aby mógł powiedzieć: „Ona wydobywa piękno mojej kreacji, właśnie tak chciałem, żeby wyglądała!” Ten warunek trzeba spełnić, żeby zostać przyjętą — „zabukowaną”, jak mawia się w tej branży — na pokaz.

To nie koniec naszych obaw. Po występie na pierwszym pokazie liczy się tylko jedno: wystąpić ponownie. U Yves Saint Laurenta sama widziałam, jak dziewczyny wpadają w histerię, dowiadując się, że nie zostały zabukowane na drugi pokaz. Wiele z nich przyjdzie potem wypłakiwać mi się na ramieniu, błagać o wstawiennictwo!

Podczas fashion week Glamour wysłała mnie do Teda Lapidusa. Po raz pierwszy w życiu wybieram się do domu mody haute couture. Projektant wyjątkowo uczestniczy we wstępnym castingu; to skromny, miły człowiek i świetnie dogaduje się z modelkami. Od razu mnie „zabukowuje”, co sprawia mi ogromną radość. Zanim wyjdę, asystentka zapisuje mi datę i godzinę pokazu na małym druczku ozdobionym nagłówkiem domu mody. Włożyłam nogę między drzwi. Dziękuję niebiosom za nowe życie, które właśnie staje przede mną otworem.

Następnie agencja załatwia mi kontrakt u Givenchy’ego, w kolejnym znamienitym domu haute couture. Tym razem zostaję zatrudniona jako modelka studyjna, co oznacza pracę w bezpośrednim kontakcie z projektantem w chwili tworzenia kolekcji — przywilej zarezerwowany dla *happy few*. U Huberta de Givenchy jest nas cztery i każda uosabia inną stronę jego zadziwiającej kreatywności. Rozkład dnia jest niezmienny: zaczynam o dziewiątej rano, bez makijażu i bez fryzury. Zakładam biały fartuch i zajmuję miejsce przed lustrem, gdzie rozpoczyna się moja metamorfoza: skóra, włosy, paznokcie... wszystko musi być bez zarzutu.

Następnie każda modelka czeka na wezwanie od Huberta de Givenchy, który zjawia się punktualnie o dziewiątej trzydzieści. Gdy kolej na mnie, wchodzę do studia, znajdującego się w wielkim pomieszczeniu, którego wszystkie ściany pokryte są lustrami. Asystent sprawdza moją fryzurę i makijaż. Na znak dany przez innego asystenta zdejmuję fartuch i podchodzę do mistrza, który zaczyna tworzyć na mnie ubiór. Mimo że wszystkie mamy jedną wspólną cechę — jesteśmy bardzo szczupłe, by nie powiedzieć: chude — to każda z nas charakteryzuje się inną osobowością. Projektant wykorzystuje i podkreśla tę wyjątkowość. Słynna maksyma Huberta de Givenchy dobrze oddaje podejście jego i innych projektantów: „To strój dopełnia kobietę, nie odwrotnie”.

Nigdy nie wyzbywa się swojej arystokratycznej godności i wyniosłej postawy; z tkaninami, ołówkami i nożyczkami obchodzi się z precyzją złotnika. Atmosfera jest poważna, a nawet groźna. Ale gdy trzeba, mistrz potrafi rozluźnić nastrój, rzucając w odpowiednim momencie jakiś zabawny komentarz.

Przez długi czas uważałam, że świat haute couture byłby rajem na ziemi, gdyby nie wysokie obcasy. Oswojenie się z nimi zajmie mi trochę czasu; na początku nie mogę utrzymać równowagi i czuję się nienaturalnie. Pan de Givenchy prosi więc Françoise — szefową studia — o przeszkolenie mnie. Między sesjami studyjnymi i popołudniowymi pokazami biorę lekcje prawidłowego chodzenia na szpilkach. Françoise zachowuje olimpijski spokój i wiarę w moje siły.

— Dalej, Rebecca... jeden krok... drugi... wyprostuj się... naturalnie... lekko... z gracją... dasz radę!

Françoise w dużym stopniu współtworzy miłą atmosferę w domu mody Givenchy. Szefowa studia — tak jak kierowniczka castingu — jest postacią kluczową: prawą ręką projektanta w kwestii wyboru tej, a nie innej modelki. Jeżeli szefowa studia się na Ciebie uweźmie, może to oznaczać koniec kariery. U Huberta de Givenchy Françoise rozpieszcza nas jak własne dzieci: wysłuchuje problemów sercowych, przynosi ciasteczka... Jej ludzkie i przyjazne nastawienie czyni z niej chwalebny wyjątek w tym bezdusznym środowisku.

Gdy kolekcja jest już gotowa, dwie modelki prezentują ją na pokazie przedpremierowym. Występują przed gronem starannie dobranych dziennikarzy: „Women’s Wear Daily”, „Figaro Madame”, telewizja itd. Jest cicho jak makiem zasiał. Można usłyszeć komentarze z widowni.

Kreacje Givenchy są bardzo wyszukane. Dostosowuję się do tej wytworności, poruszając się na wybiegu w sposób jeszcze bardziej dostojny niż zwykle. Moda często tak właśnie działa, poprzez wzajemne oddziaływanie. Po zakończonym pokazie Hubert de Givenchy pozwala swoim studyjnym modelkom wybrać sobie jedną kreację haute couture z poprzedniego sezonu. Nie wszyscy projektanci zdobywają się na taką hojność. Decyduję się na komplet z żakietem długości trzy czwarte i złożonymi guzikami, w którym wyglądam prawdziwie po królewsku.

Zdobywam też kontrakt u Guy Laroche’a. To z nim po raz pierwszy pojadę do Stanów Zjednoczonych. Jest przeuroczym i bezpośrednim człowiekiem, można zaufać mu bez obaw. Wysłuchuje nas i udziela mądrych rad. Muszę przyznać, że u jego boku zaczynam się zachowywać jak rozkapryszona top modelka, jak rozpieszczony dzieciak, któremu woda sodowa uderzyła do głowy.

Pokaz odbywa się w Nowym Jorku. Przed wyjazdem nasłuchiwałam się różnych opowieści o tym mieście — że to prawdziwa rzeźnia, że można zostać napadniętym na każdym kroku i nawet luksusowe hotele nie zapewniają stuprocentowego bezpieczeństwa. Po przyjeździe, słysząc nieustanne wycie syren policyjnych, widzę w tym niezbity dowód wszystkich plotek, w które uwierzyłam bez mrugnięcia okiem. Czuję, że przede mną ostatnia noc mojego życia: na pewno jakiś szaleniec wtargnie za chwilę do pokoju, zgwałci mnie i zabije. Modelki śpią po dwie w

jednym pokoju, ja z Maeką. Tak skutecznie ją nastraszyłam, że teraz obie siedzimy zeszywniale na brzegu łóżka w naszym pokoju, w pięciogwiazdkowym hotelu Meridien, trzęsąc się z przerażenia, przekonane, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, jeżeli zostaniemy tu choć minutę dłużej.

Nagle wpadam na genialny pomysł:

— A gdybyśmy tak zapukały do pana Laroche’a?

— Po co? — dziwi się Maeka.

— On nas na pewno obroni!

— Jak to: obroni?

— Pójdziemy spać do niego!

Drżąc w koszulach nocnych, pukamy do drzwi projektanta. Guy Laroche otwiera, ale nie wydaje się zły z powodu tej nieoczekiwanej pobudki.

— Co jest, dziewczyny?

— Panie Laroche, boimy się i nie możemy zasnąć.

Przedstawiam mu ze szczegółami męczarnie, jakie niechybnie nas czekają, jeżeli zostaniemy w swoim pokoju. Guy Laroche śmieje się i wielkodusznym gestem wskazuje nam swoje wielkie amerykańskie łóżko *king size*. Razem z Maeką spędzimy w nim spokojną noc u boku projektanta.

Nie po raz ostatni nadużywam ojcowskiej życzliwości Guy Laroche’a. Wdzięcząc się i umizgując, proszę go najpierw o drobne kieszonkowe na zakupy w nowojorskich butikach (jakimś cudem wszystkie moje lęki znikają wobec perspektywy chodzenia po sklepach). Wystarczy, że raz otworzy przede mną portfel, a bez skrupułów będę co chwilę prosić o pieniądze. Gdy tylko nadarza się okazja, pozwalam się zabierać na kolacje do najlepszych restauracji i obdarzać prezentami, zwłaszcza drogimi ubraniami.

Najważniejszy pokaz w USA odbywa się we francuskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Modelki — przebrane, uczesane i umalowane — czekają na sygnał do wyjścia na wybieg. W sali wypełnionej po brzegi atmosfera jest napięta jak struna. I nagle zauważamy, że jednej z nas brakuje — Tarity, brazylijskiej top modelki. Tupiąc ze złości, Guy Laroche dzwoni do niej i słyszy, że ona właśnie wyleguje się w wannie. Gdy nareszcie się pojawia, wszystkim zaczynają już puszczać nerwy. Ale nie Taricie. Z niezmaconym spokojem uśmiecha się radośnie do Guy Laroche’a i mówi:

— Po co się tak denerwować, przecież jestem!

Powoli staję się taka jak ona. Wielka diwa.

YSL

W czerwcu 1983 roku Jean-François i Évelyne, bookerzy z Glamour, dostają telefon z domu mody Yves Saint Laurent informujący o planowanym castingu do zimowej kolekcji. Każda agencja modelek wysyła tam swoje gwiazdy — w Glamour mam szczęście być jedną z nich. Z bijącym sercem udaję się na aleję Marceau 5, gdzie przyjmuje nas Bénédicte, szefowa garderoby. Każda kandydatka musi przymierzyć jeden strój i zaprezentować się przed nią. Następnie Bénédicte ocenia, która z nas dostąpi zaszczytu wejścia do studia. Wszystko — wygląd, wymiary klatki piersiowej, długość nóg — musi odpowiadać wymaganiom mistrza; trzeba mieć odpowiednie ciało i osobowość, które pozwolą mu puścić wodze fantazji. Po skończonej próbie ubieram się i wychodzę, kierowana radosnym przecuciem. Mój optymizm okazuje się uzasadniony: niebawem Bénédicte kontaktuje się z agencją w mojej sprawie. Spotkanie dla modelek, które przeszły pozytywnie przez pierwszy etap selekcji, zostaje wyznaczone na następny tydzień, na jedenastą. Tego dnia jest piękna pogoda, słońce oświetla aleję Marceau. Wchodzę po schodach pokrytych czerwono-zielonym dywanem, powstrzymując się, żeby nie biec w podskokach. Tym razem dostaję do przymierzenia kostium krótszy niż poprzednio, aby, jak mi objaśniono: „Pan Saint Laurent mógł ocenić kształt pani nóg”. Przebrana wchodzę do studia, niczym do świątyni, gdzie mistrz projektuje i tworzy.

Przez wysoko umieszczone okna pada rozproszone światło, ogromne lustro zajmuje całą tylną ścianę. Z każdej strony stoją oparte pionowo zwoje tkanin do aktualnej kolekcji. Przy wielkim stole zarzuconym książkami, papierami, rysunkami, ołówkami i gumkami siedzi legendarny projektant mody. Okala go smuga światła.

Każda z nas kolejno się przed nim prezentuje. Gdy napotykam jego wzrok, posyła mi anielski uśmiech, a mnie — jak uderzenie gorąca — ogarnia uczucie bezgranicznego szczęścia. Czuję, jak przenika mnie swoim osobliwym spojrzeniem, pełnym czułości i zachęty. Ma na sobie białą koszulę, jak zawsze, gdy pracuje. Wokół niego zebrali się asystenci, pełni uwielbienia dla mistrza. Jest tu dziś także Pierre Bergé oraz pies Moujik, na straży swojego pana. Czarno-biały buldog francuski wydaje własne opinie: gdy ktoś mu się nie spodoba, z całej siły gryzie go w kostkę. Ale kiedy nadchodzi moja kolej, Moujik krąży wokół mnie, poszczekując, jakby chciał się bawić.

Opuszczam dom Saint Laurent powoli, jak urzeczona. Mam wrażenie, jakbym właśnie obudziła się z narkozy. Znalazłam się w zaczarowanym świecie, w którym nie potrzeba słów, aby wyrazić uczucia. Yves Saint Laurent mnie zachwyił; czułość emanująca z jego spojrzenia odzwierciedla bezgraniczną miłość, jaką nosi w sobie. Następnego dnia Bénédicte kontaktuje się z agencją — mistrz wybrał mnie jako pierwszą. Czuję, jakbym dzisiaj urodziła się na nowo.

Yves Saint Laurent jest niezaprzeczalnie królem na alei Marceau 5, ale to Pierre Bergé rządzi tam żelazną ręką. To on, energiczny przedsiębiorca i towarzysz życia projektanta od ponad trzydziestu lat, w latach 60. przyczynił się do powstania domu mody. Jest niezwykle uprzejmy, mimo to wszyscy stają na baczność, gdy tylko pojawia się w drzwiach. Nic nie umknie jego uwadze, nie toleruje najmniejszych błędów. Jest perfekcjonistą w swojej dziedzinie, tak jak i pan Saint Laurent, z którym uzupełniają się wzajemnie, tworząc cudowny duet. Sposób, w jaki obaj się poruszają, jest tego dobrym przykładem: Pierre Bergé, maszeruje, tupiąc głośno, wprawiając w drganie powietrze; Yves Saint Laurent chodzi cicho i ostrożnie, z jedną ręką za plecami. Z racji prestiżu domu mody Pierre Bergé nie może tolerować jakiegokolwiek uchybienia ze strony pracowników. Nigdy natomiast nie strofuje modelek i zawsze cieszymy się, gdy odwiedza nas w studiu i gdy możemy zamienić z nim parę słów.

Tak jak u Huberta de Givenchy, tak i tutaj wyróżniono mnie prestiżowym statusem modelki studyjnej. Codziennie przychodzę około dziesiątej rano do sali, gdzie odbywają się przygotowania i gdzie mam specjalne miejsce oznaczone moim imieniem. Wkładam biały fartuch, pod którym zostawiam tylko majtki i rajstopy. Używamy wyłącznie kosmetyków Saint Laurent, do których dodaję jeszcze kilka produktów dla czarnej skóry, sprowadzanych specjalnie z USA. Z gotowym makijażem czekam na swoją kolej, a gdy zostaję wywołana, idę powoli po schodach prowadzących do świątyni piękna. Ubieranie odbywa się w pomieszczeniu „Pani Ida”; była to jedna z pierwszych współpracownic mistrza; nie pracuje tu już od dawna, ale tabliczka z jej imieniem wciąż jest pieczołowicie przechowywana. Niekiedy garderobiana mówi na przykład: „Widzimy się za chwilę u Pani Idy...”

Yves Saint Laurent odprawia serię niezmiennych rytuałów. Dzieło tworzenia rozpoczyna się zawsze od błysku inspiracji przelanego na papier w postaci szkicu. Potem następuje etap nazywany w żargonie „oblekaniem”: chodzi o początkowe układanie stroju z surowego perkalu. Gdy stoję owinięta sukniem, stanowiącym podstawę nowej kreacji, mistrz zabiera się do pracy: decyduje o rozmiarach, tkaninach, wykończeniach. Czasem bierze wielkie nożyce, kroi na bieżąco, zmienia układ poszczególnych kawałków płótna, dodaje jedną warstwę, usuwa inną... Sesja może trwać wiele godzin i jest męcząca fizycznie, bo przez cały czas muszę stać nieruchomo. Ale prestiż, jaki nadaje mi moja rola, wynagradza mi wysiłki: jestem muzą Yves Saint Laurenta, źródłem jego natchnienia i materiałem, jak glina dla rzeźbiarza. Modelka studyjna pozwala przenieść ideę projektanta na realny ubiór. W takich chwilach łączy ich niezwykła zażyłość.

Ostatnim etapem tego procesu twórczego jest wybór odpowiedniej tkaniny, z której narodzi się strój. Luksusowe materiały — jedwab, szantung, organza, krepa, kaszmir... — tworzone są specjalnie dla Saint Laurenta i ani milimetr nie może się zmarnować. Kreacje haute couture szyte są na miarę dla każdej klientki indywidualnie na podstawie pierwowzoru noszonego przez modelkę. Klientki są jak boginie; przychodzą podziwiać nową kolekcję mistrza i wybrać garderobę na zbliżający się sezon. Ich relacje z projektantem cechuje szczególna bliskość, oparta na zaufaniu, szacunku i wspólnym sekrecie. W tamtych czasach klientki wierne są swojemu osobistemu projektantowi. Gdy przychodzą do domu mody, przyjmuje się je w salonie, dogadza im, częstuje herbatą i ciasteczkami, podczas gdy krawcowa z atelier zdejmuje z nich miarę. Jedne stroje zatrzymują się na etapie pierwowzoru i kończą żywot w muzeum. Inne szyte są wielokrotnie, ku wielkiej radości projektanta. W tamtym czasie najtańsza bluzka kosztuje pięć tysięcy pięćset euro. Wysokość sprzedaży w dużym stopniu zależy od pracy modelki, więc gdy strój dobrze się sprzedaje, to ją obdarza się pochwałami.

Niezwykle znaczący moment następuje na etapie wyboru dodatków. Czas udać się do dużego salonu po buty, rękawiczki i biżuterię. Tutaj pole do popisu ma Loulou de la Falaise, ciesząca się całkowitym zaufaniem mistrza, który powierzył jej zarządzanie działem dodatków i ozdób oraz tworzenie biżuterii haute couture do każdej kreacji danego sezonu. Kolczyki, paski, buty, kapelusze, łańcuszki i bransoletki zajmują w modzie lat 80. szczególne miejsce; nie są zwykłym dodatkiem, ale stanowią istotny element garderoby. W dużym salonie zapadają decyzje o tym, w co ubierze się każda modelka. Wiele z tych kreacji powstało na moim ciele i jestem do nich przywiązana. Jaka szkoda, że nie mogę włożyć ich wszystkich w czasie pokazu! Wydaje mi się, że tylko ja potrafię pokazać ich prawdziwą wartość i często zazdroszczę koleżankom modelkom. Żeby im dokuczyć, tak przerobiłam słowa słynnego przeboju Sylvie Vartan:

To ja będę najpiękniejsza

Dla Yves Saint Laurenta...

Zanim zaczną się oficjalne pokazy, wierne klientki mogą obejrzeć kolekcję na pokazie

przedpremierowym. W pierwszym rzędzie w łoży VIP-ów zasiada Catherine Deneuve, zachwycając urodą i subtelnością. Zna po imieniu wszystkie ulubione modelki projektanta i rzuca im porozumiewawcze spojrzenia. Jej relacja z Saint Laurentem opiera się na wielkiej zażyłości; aktorka jest dla niego jak siostra i wspiera go bezwarunkowo. Mówi mu czule słówka, dodaje otuchy i gratuluje; on, gdy tylko ją dostrzeże, promienieje z radości. Łączy ich bezgraniczne wzajemne uwielbienie. Niekiedy w korytarzach odbija się też echem potężny, zachrypnięty głos Jeanne Moreau.

Potem rozpoczyna się sezon wielkich pokazów, na które zapraszani są dziennikarze światowych mediów, a pokaz Yves Saint Laurenta stanowi wśród nich najważniejsze wydarzenie. Żeby się tam dostać, trzeba mieć odpowiednie znajomości. Rzecznicy prasowi i ochroniarze muszą wykazać się czujnością, aby nie dopuścić do wtargnięcia nieproszonych gości. Na obrzeżach wybiegu ustawiają się fotografowie, oślepiają nas błyskami fleszy. Rozpoznają kilku znajomych i pozdrawiam ich miłym gestem. W pierwszych rzędach, zawsze na czarno i z notatnikiem w ręku, siedzą, marszcząc brwi, naczelne redaktorki pism kobiecych, które trzęsą całym światem mody i wzbudzają powszechną grozę: „Women’s Wear Daily”, „Vogue”, „Harper’s Bazaar”, „L’Officiel”, „Elle”, „Marie-Claire”, „Jardin de modes” itd. Te najbardziej wpływowe dostają najlepsze miejsca. Naprzeciwko, po drugiej stronie wybiegu, wierne fanki klaszczą w dłonie z całych sił: Jeanne Moreau, Isabelle Adjani i oczywiście Catherine Deneuve — stałe bywalczyne domu przy alei Marceau, nieodmiennie zadowolone klientki. Gdy na zakończenie pokazu mistrz pojawia się na wybiegu, rozlega się gromki aplauz i publiczność wstaje w hołdzie godnym monarchy. Po każdym pokazie Saint Laurent urządza przyjęcie dla swoich bliskich w prywatnym salonie na pierwszym piętrze hotelu Crillon. Obecne są modelki biorące udział w pokazie, matka Yves Saint Laurenta (nigdy nie opuszcza żadnego pokazu), Loulou de la Falaise, pani Munoz, kierowniczka studia, najważniejsze krawcowe... Magiczna chwila. Obserwując z balkonu obelisk na placu Concorde, wznoszący się ledwie parę metrów dalej, mam poczucie, że dotarłam na szczyt.

Miałam wielu przewodników na drodze do kariery, ale żaden z nich nie dorastał do pięt Yves Saint Laurentowi. To jemu wszystko zawdzięczam, bo to, co mi dał, co we mnie tchnął, wykracza daleko poza świat mody. Był dla mnie ucieleśnieniem miłości i zyczliwości. Zaufanie, jakim mnie obdarzył, dało mi siłę życiową i dumę, jakiej dotychczas mi brakowało. Jako człowiekowi i jako czarnoskórej kobiecie z biednych rejonów Afryki Zachodniej. Zarówno moje traumatyczne dzieciństwo, jak i misjonarski katechizm zaszczepiły mi głęboko kompleks niższości. Wykorzystywana jako dziecko, a potem nastolatka, bita i maltretowana niewolnica, nikiemna nieletnia matka, mała Afrykanka czarna jak diabeł z kościoła mojego dzieciństwa — wyrzekłam się w końcu wszelkiej godności. Spojrzenie Yves Saint Laurenta tę utraconą godność mi zwróciło. W odbiciu jego łagodnych oczu mogłam wreszcie dostrzec się taką, jaka jestem naprawdę.

Dzięki niemu stałam się dumna z mojej czarnej skóry, dużo ciemniejszej niż skóra Antylek, które do tej pory występowały na wybiegach. Nazywa mnie czule „swoją Rebec”. Traktuje mnie jak królową, a ja w końcu dochodzę do wniosku, że jest moim księciem z bajki i że będziemy żyć długo i szczęśliwie. Siadam u jego stóp, a on opowiada mi o życiu, modzie, kulturze, pięknie... Słucham oczarowana niezwykłą barwą jego głosu, stanowczego i łagodnego zarazem, spokojnego, hipnotyzującego... Jego błękitne oczy spoglądają zza grubych okularów marzycielskim wzrokiem. Ale Saint Laurent wszystko doskonale widzi, zawsze wszystko zauważa. Nawet to, co kryje się w głębi naszego serca.

Często dołącza do nas Loulou de la Falaise. Ma nieokiełznaną wyobraźnię, którą ciągle nas zaskakuje. Anne-Marie Munoz nieustannie mi powtarza: „Rebecca, tutaj jesteś u siebie!”

Kiwam głową z przekonaniem. Czyż nie jestem królową tego ula? Na pokazach mam do pomocy dwie garderobiane, jedną do strojów, drugą do dodatków. Etykieta „top modelka Saint Laurenta” sprawia, że wszystkie drzwi stają przede mną otworem. Zabiegają o mnie najbardziej prestiżowe domy mody w Paryżu i w Nowym Jorku. Zdarza się też, przeciwnie, że niektóre nie chcą mnie z tego powodu, że za bardzo kojarzą mnie z trzyliterową marką. Spotkany kiedyś w Japonii Jean-Paul Gaultier powie mi: „Jest w tobie za dużo haute couture, za dużo Saint Laurenta”. Podobnie „Comme des garçons” uważa mnie za „zbyt kobiecą i za bardzo elegancką”.

Podróżuję teraz po całym świecie. Na lotnisku, przy wyjściu z samolotu, czeka na mnie kierowca, mieszkam w najpiękniejszych, najbardziej luksusowych hotelach. Tak zasmakowałam w tym nierealnym życiu, że wydaje mi się całkowicie normalne. Czasami jednak coś we mnie pęka. Jak owego dnia w Montrealu, na kanapie limuzyny, która wiezie mnie razem z innymi modelkami z lotniska do hotelu. Nagle dopada mnie smutek. Łzy ciekną mi po policzkach, choć nie bardzo wiem dlaczego. Jestem daleko o wszystkich, których kocham. Prowadzę życie, którego nie mogę z nimi dzielić. Ważne jego etapy przechodzą mi koło nosa, jak gdyby prowadziły własną, odrębną egzystencję. Jak gdybym odradzała się za każdym razem w innym wcieleniu. Tego dnia objawia mi się cała brutalna prawda o pracy modelki. Mój tryb życia nie pozwala mi kontaktować się z tymi, którzy są dla mnie najważniejsi: z moją rodziną w Togo, przyjaciółmi w Marsylii czy nawet z siostrą Hélène — ona nigdy nie przyjdzie na żaden mój pokaz. Mogę tylko zwierzać się ze swojego głupiego losu koleżankom modelkom, porwanym w ten sam wir co ja. Szara codzienność normalnych ludzi przestała mnie interesować. Odcinam się od świata. Taką cenę muszę zapłacić za to, żeby ten niezwykle sen trwał.

Moja nowa rodzina mieszka teraz na alei Marceau 5. Gdy tylko przekroczę próg, czuję się, jakbym wracała do domu i odzyskiwała spokój. Yves Saint Laurent daje mi pełnię życia, o której nie sądziłam, że jest możliwa. Jest dla mnie jednocześnie jak ojciec, przyjaciel, starszy brat, powiernik, mąż i dziadek... Rodzi się między nami bliskość, która nie potrzebuje słów. Gdy wchodzę rano do studia, pyta mnie z uśmiechem:

— Co słysząc, moja Rebec?

Wymieniamy spojrzenia, jak gdybyśmy dopingowali się nawzajem. Nasze sesje to chwile wypełnione prawdziwą miłością. Często mnie rysuje — moją twarz i sylwetkę. Fascynują mnie jego piękne ręce, gdy w natchnieniu ślizgają się po białej kartce papieru. Saint Laurent mówi niewiele, ale wszystko można wyczytać w jego spojrzeniu i gestach. Gdy zrozumie — dzięki jego najbliższemu otoczeniu — że stałam się jego muzą, poczuje się prawdziwie spełniona.

Pewnego dnia Yves Saint Laurent projektuje kostium z koronki. Spostrzegam, że materiał, z którego wykonane są obszycia, jest gorszej jakości niż szlachetna tkanina całej kreacji. To rzuca się w oczy, więc spodziewam się, że któryś z wielu asystentów zwróci mu na to uwagę. Ale nikt nic nie mówi. Biorę się więc na odwagę i ośmielam się zareagować:

— Panie Saint Laurent, wydaje mi się, że podszewka tego rękawa nie jest wystarczająco wytworna i nie pasuje do koronki...

Mistrz uśmiecha się, mrużąc oczy za swoimi wielkimi okularami:

— Racja, moja Rebec!

I zaraz prosi o przyniesienie innych zwojów tkanin.

W innych okolicznościach historia ta wydałaby się błaha i nieistotna, ale w elitach haute couture podobna śmiałość zakrawa na obrazę majestatu. Gdy tylko wychodzę ze studia, żeby się przebrać, ściągam na siebie gromy Anne-Marie Munoz i Loulou de la Falaise:

— Jak śmiesz pozwalać sobie na komentarze! To nasza praca, nic ci do tego!

Są wściekłe. Żadna modelka nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie wejść na ich teren. Odurzona rolą muzy, zapomniałam o brutalnej prawdzie mojego zawodu: jestem tylko niemym

ciałem, szkatułką na skarby, manekinem skazanym na milczenie. Ścisła hierarchia panująca w domach mody stawia modelki na piedestale w obiektywach mediów, ale w procesie tworzenia znajdują się na samym dole. „Bądź piękna i milcz” to pierwsze przykazanie w świecie mody.

Zapamiętam lekcję i od tej chwili zachowuję uwagi dla siebie. Ale mam tyle pomysłów, którymi chciałbym się podzielić z Yves Saint Laurentem: na przykład zaproponować organizację pokazu w Grand Palais, jakiego jeszcze nigdy nie było. Pewnego dnia, tworząc kolekcję zimową, Yves Saint Laurent bada dłońmi tkaniny, a ja stoję przed nim razem z Anne-Marie i Loulou:

— No więc? Spódnica czy spodnie?

Pomagierzy odpowiadają chórem:

— Oczywiście, że spódnica!

— A co na to moja Rebecca?

Mam wielką ochotę odpowiedzieć: „spodnie”. Ale kto raz się sparzy, na zimne dmucha.

Gdybym mogła, najchętniej urządziłabym sobie sypialnię przy alei Marceau i nie ruszała się stamtąd dniem i nocą. Urok Yves Saint Laurenta tak mnie pociąga, że rano biegnę do pracy jak na randkę. Saint Laurent często mówi mi, że czarnoskóra kobieta może nosić wszystkie kolory. Zafascynowany Afryką, stworzył w latach 60. kreacje inspirowane strojami i ozdobami ludu Bambara[3]. Dla niego nie była to kwestia egzotyki. Myślę, że powiew inspiracji z Afryki natchnął go do wyzwolenia ciała i oswobodzenia ruchów, spętanych sztywną i nienaturalną modą europejską. Jeżeli Saint Laurent zwracał się ku czarnoskórym modelkom, zarówno w studiu, jak i na wybiegu, to nie dla kaprysu czy chwilowej mody — dla niego zawsze miało to głębszy sens. Przede mną Afrykanek było kilka, a i po mnie przyjdą następne.

Yves Saint Laurent zadedykował mi nawet jedną suknię. A przynajmniej ja tak odbieram tę, powstałą na moim ciele, kreację: jako wyraz złożonego mi hołdu. Jest to obcisła suknia wieczorowa z dekoltem w serek, z czarnego aksamitu z efektem mory, wąska w talii, z lekko bufiastymi, długimi rękawami i trenem. Naprawdę królewska szata. Podczas końcowej przymiarki każe mi zrobić w niej parę kroków.

— Idź, moja Rebecco... — mówi.

I kreśląc na szkicu nazwę sukni, ochrzczi ją mianem: „Kiedy gwiazdy stają się czarne”.

Tegorocznemu pokazowi nie towarzyszy muzyka. Z głośnika dobywa się tylko głos oznajmiający nazwę i numer każdej kreacji, nic więcej. Moja suknia wieczorowa miała dla projektanta na pewno ogromną wartość. Nigdy nie została sprzedana i trafiła od razu do muzeum.

Żyję Saint Laurentem, oddycham Saint Laurentem, śnię o Saint Laurencie, ubieram się u Saint Laurenta i perfumuję Saint Laurentem (zimną Opium, latem Paris)... Z okazji ważnych uroczystości mogę wypożyczać sobie u niego stroje. Jestem jak wyznawczyni sekty, nie widzę świata poza YSL.

Wszyscy wielcy projektanci

Jeszcze nie tak dawno wielkie nazwiska świata haute couture wydawały mi się całkowicie nieosiągalne. Ale wystarczyło dotrzeć na szczyt, aby współpraca ze sławnymi projektantami stała się dla mnie chlebem powszednim. Erik Mortensen, który objął kierownictwo domu mody Balmain po śmierci jego twórcy, sprawuje rządy z wdziękiem, elegancją i dużą dozą dobrego humoru. Dzięki niemu nauczyłam się składać ukłon przed koronowanymi głowami — zostaną wraz z nim przedstawiona królowej Danii Margrethe II oraz królowej Tajlandii. Sądząc po ukłonie, można by wziąć mnie za rodowitą europejską arystokratkę...

Karl Lagerfeld to prawdziwy tytan pracy. Nic nie umknie jego uwagi, ma duże wymagania, ale i ogromne poczucie humoru i świetny kontakt z modelkami. Jest prawdziwym profesjonalistą, a praca u jego boku to olbrzymi zaszczyt. Po raz pierwszy zostaję zatrudniona przez agencję Elite na pokaz jego nowojorskiej kolekcji. W trakcie przymiarek chwali moją urodę i stwierdza, że chciałby mnie narysować.

— Z przyjemnością, panie Lagerfeld!

— Jaki jest pani ulubiony kolor? — pyta między jednym a drugim pociągnięciem ołówka po białym papierze.

— Czerwony.

— A mój żółty, bo to kolor słońca.

Wręcza mi pięknie wykonany portret, a ja czuję na sobie zazdrosne spojrzenia wszystkich wkoło.

Lagerfeld zaleca mi, abym po powrocie do Paryża odwiedziła dom mody Chanel na ulicy Cambon. Został właśnie jego dyrektorem artystycznym do spraw haute couture, podejmując wyzwanie kontynuowania sukcesu legendarnej marki Coco Chanel. Pojawię się tam na wybiegu ramię w ramię z ich wielką gwiazdą, nieco powściągliwą Inès de la Fressange. Jest uważana za wcielenie ducha Coco Chanel i ma podpisany z domem mody kontrakt na wyłączność, którego zazdroszczą jej wszystkie modelki. Spotykam tam też Iman, Katouchę i Naomi Campbell. Gdy wszystkie razem wychodzimy na wybieg, zachwyтом nie ma końca.

Szacownym domem mody Léonard dowodzi Daniel Tribouillard, ten sam, który w latach 60. wymyślił dżersej drukowany we wzory kwiatowe. Sukces marki pozwala mu na organizowanie pokazów z udziałem top modelek. Ma specyficzny sposób zwracania się do nas — podczas prób mobilizuje nas do pracy okrzykiem: „Dalej, moje pierożki!” To fakt, że lubi dobrze zjeść, ale dla niego sformułowanie to nie ma raczej nic wspólnego ze sztuką kulinarną.

Kreacje stworzone przez Thierry’ego Muglera są jak zaprojektowane przez architekta — składają się z linii i kątów. Trochę tak, jakby walczył z kształtami ludzkiego ciała, chcąc dać pierwszeństwo sztuce przed naturą. Robi to znakomicie, wywierając tym samym wpływ na licznych ówczesnych kreatorów mody, takich jak Claude Montana czy Azzedine Alaia. Jeden z jego pokazów odbywa się w wystawnych wnętrzach Muzeum Sztuki Afrykańskiej przy Porte Dorée, późniejszym Narodowym Muzeum Historii i Kultury Imigracji. Mugler chciał nadać pokazowi afrykański akcent, choć to Afryka wymyślona i bardzo osobista. *Djembe* i *balafon* mieszają się z odgłosami dzikich zwierząt i muzyką klasyczną; tkaniny inspirowane afrykańską sawanną zestawione są z fantazyjną bielizną. Na tę okazję Mugler zwerbował chyba wszystkie czarnoskóre modelki z całego Paryża. Kołyszemy się po wybiegu w kreacjach mocno zwężanych w talii, jedne starannie uczesane, inne z lwimi grzywami na głowie.

Przyjaciel Muglera, Claude Montana, pracuje dniami i nocami. Praca i zabawa, przymiarki i libacje, rygor i rozpusta — u niego wszystko miesza się ze sobą bez względu na

porę czy konwenanse. Lubi otaczać się najbardziej rozrywkowymi modelkami. Nie mam pojęcia, jak Wallis Franken, jego długoletnia partnerka, radzi sobie w tym rejwachu. Ta niezwykle utalentowana kobieta sama była kiedyś modelką, ale też piosenkarką i aktorką. Niestety szalony tryb życia przyczyni się do rozluźnienia ich wzajemnych więzi, co Wallis — zakochana po uszy w swoim mężu — zniesie bardzo źle. Biedaczka popełni w końcu samobójstwo, skacząc z okna. Claude nigdy się po tym nie pozbiera. Będzie próbował odnaleźć radość życia w ramionach innych kobiet, a chcąc przywrócić sobie młodość, skradzioną wraz z tragiczną śmiercią żony, będzie szukał ucieczki w chirurgii plastycznej. Na jego pytanie o opinię na temat efektów takich zabiegów naprawdę trudno mi znaleźć odpowiedź, kiedy widzę przed sobą człowieka tak strasznie zniszczonego przez życie.

Będąc u szczytu kariery w haute couture, nadal utrzymuję silne więzi z Afryką. W Paryżu pojawiają się na wybiegach tych afrykańskich projektantów, którym udało się tutaj zaistnieć. Stosują typowo afrykańskie materiały: drukowaną bawełnę, bogolan, rafię... W trakcie mojej współpracy z Saint Laurentem firma L'Oréal wybiera mnie, abym reklamowała w Afryce jej produkty, konkretnie mleczko do ciała Mixa. Od Abidżanu po Dualę przez Brazzaville na wszystkich plakatach i w reklamach telewizyjnych występuję jako „Miss Mixa”. W hotelu Ivoire w Abidżanie, tym samym, w którym stawiałam swoje pierwsze kroki modelki, biorę udział w pokazie malijskiego projektanta Chrisa Seydou. Jego niepowtarzalny styl zapewni mu status oficjalnego projektanta ubrań małżonki prezydenta Wybrzeża Kości Słoniowej Houphouët-Boigny i uczyni go sławnym na całą Afrykę Zachodnią. Jakiś czas później wystąpię na pustyni u nigeryjskiego projektanta Alphadiego, jednego z pierwszych, któremu udało się wyróżnić i zaistnieć w Europie. Będę także współpracować z Imane Ayissi; były tancerz i model z Kamerunu, samouk, zaprojektuje w Paryżu własną kolekcję ubrań i olśni swoim talentem wyjątkowo wymagającą europejską klientelę.

Moda lat 80. to epoka teatralnych kreacji: bardzo szerokie ramiona, wąska talia, uduchowione kroje, krzykliwe kolory, brokat, złoto... Epoka blichtru, w której bez kompleksów królują dzety, cekiny, grochy i szerokie prążki. Jednego dnia można ubrać się w obszerny sweter, do tego rajstopy i botki ze złotymi frędzlami, a następnego włożyć obcisły, skórzany kostium od Azzedine Alai. W modzie są ozdoby oversize: plastikowe bransoletki, ogromne, perłowe kolczyki... wielkie guziki do marynarek od Patricka Kelly'ego... Disco i patos pasują do siebie jak ulał. W ciągu jednego tygodnia różni projektanci potrafią zaprezentować na pokazach zupełnie przeciwstawne style, wzbudzając entuzjazm dokładnie tych samych dziennikarzy, zawsze stających po stronie wszelkich nowości. Peter Kee ubiera kobiety po męsku. Kenzo inspirowane ekskluzywnym folklorem i podkreśla wysublimowane kolory. Mugler projektuje stroje godne Wonder Women przybyłych prosto z Marsa... W Nowym Jorku, Moskwie, Paryżu organizuje się wystawy poświęcone Yves Saint Laurentowi. Moda, która długo musiała zadowalać cię drugorzędną rolą w sztuce, teraz zaczyna wkraczać do muzeów.

Na walizkach

Styl pracy modelek różni się znacznie w zależności od kraju. Włosi zwołują sześćdziesiąt modelek, a w końcu wybierają tylko czterdzieści. Takie sesje bardzo dają się we znaki dziewczynom: te, które przyjaźnią się w życiu prywatnym, skazane są na rywalizację i na łaskę kapryśnego projektanta. Tylko raz odpadnę w takich eliminacjach, w przeddzień pokazu Versace. Dostałyśmy polecenie, aby zejść w szpilkach ze schodów na Piazza di Spagna w Rzymie. Prawdziwe wyzwanie! Legendarne schody z marmuru, wyszlizgane przez wieki, całe usiane są małymi dziurkami. Gdy nadchodzi moja kolej, stąпам w niebotycznych obcasach, bez przerwy patrząc pod nogi, przerażona, że mogłabym na oczach wszystkich wyłożyć się tutaj jak długa. Wpadam w czarną rozpacz, gdy okazuje się, że mój występ się nie spodobał.

Współpraca z pozostałymi włoskimi projektantami układa mi się doskonale. Są wśród nich: Gianfranco Ferré, Fendi, Lancetti, Armani, Trussardi. Co sezon wracam, aby zaprezentować ich kolekcje. Oczywiście nie wszyscy są tak przyjaźnie nastawieni jak Guy Laroche. Na przykład Giorgia Armaniego wszyscy bardzo się boją; nigdy nie spotkałam równie wymagającego projektanta. Zabrania na przykład kłaść rękę na biodrze — gest powszechnie praktykowany na pokazach. Musimy chodzić z ramionami wzdłuż ciała, z dłońmi przylegającymi do ud. *Il signore* Armani kontroluje wszystko na małym ekranie. Jeżeli modelka na swoje nieszczęście zapomni o zakazie, natychmiast jest odrzucana, choćby i w środku pokazu. Makijaż wykonuje nam osobiście sam Armani. Musimy bardzo wcześnie zjawiać się w pracy. A fryzjer dostaje od mistrza dokładnie instrukcje, których ma obowiązek przestrzegać.

Gianfranco Ferré zatrudnia mnie na podstawie kompozytu. Dopiero potem ściąga mnie do Włoch, aby potwierdzić swoje pierwsze wrażenie. Mamy bardzo dobre relacje, oparte na wzajemnym szacunku. W odróżnieniu od wielu innych swoich kolegów po fachu dba o samopoczucie modelek i zawsze osobiście upewnia się, czy niczego nam nie brakuje. Każę dostarczać nam do przymierzalni patery z owocami. Zrównoważony i wyrozumiały, przekazuje nam polecenia spokojnie i taktownie. Na jeden sezon zatrudnia mnie we Włoszech na wyłączność — taki angaż jest bardzo lukratywny i podnosi notowania modelki w rankingu.

Zawsze lubiłam pracować we Włoszech. Panują tam bardziej egalitarne stosunki, wszyscy są po trosze jakby jedną wielką rodziną. Jesteśmy na ty, rzecz we Francji zupełnie nie do pomyślenia. Atmosfera przypomina *Traviatę* — nieustanne święto przerywane małymi dramatami. Nastroj jakże różny od atmosfery panującej we Francji, gdzie kartezjańska logika każe wszystko z góry zaplanować. Nie mówiąc o tym, że Paryżem rządzą złe humory i wzajemne porachunki. Moda we Włoszech kieruje się zasadami komedii dell'arte: atmosfera jest wiecznie podgrzana do czerwoności, projektant rwie włosy z głowy, garderobiane i styliści zasuważą sprintem od jednej modelki do drugiej, asystenci drą się chórem: *Mamma mia! Madoooooonna! Ma che cazzo!*...[4] Czasami trudno mi się opanować, żeby nie wybuchnąć śmiechem w tym przekomicznym, zorganizowanym chaosie. I wtedy, w najmniej oczekiwanym momencie, zdarza się cud — z pewnością za wstawiennictwem Madonny. W ułamku sekundy wszystko wraca do normy i pokaz odbywa się bez zakłóceń. Ci, którzy dwadzieścia minut wcześniej gotowi byli rzucać się sobie do gardeł, teraz padają sobie w objęcia, przysięgają miłość i wierność na wieki, po czym całe szaleństwo zaczyna się od nowa. Modelki, hołubione jak nigdzie indziej, wyjeżdżają obładowane prezentami.

W ciągu dziesięciu lat spędzam trzy miesiące każdego roku w Japonii. Dobrze poznałam ten kraj, choć muszę przyznać, że niezupełnie rozumiem jego enigmatyczne społeczeństwo. Tutejsi kreatorzy mody i ich ekipy przestrzegają ścisłej dyscypliny. W Tokio tempo pokazów

zwalnia i ogranicza się do najwyżej dwóch projektantów dziennie, chociaż niektórzy z nich — z racji zbyt dużej liczby gości — organizują kilka pokazów do jednej kolekcji. Ale wbrew pozorom praca wcale nie jest lżejsza. Próby trwają w nieskończoność i nawet w ostatniej chwili, w ciemności, tuż przed wyjściem na wybieg jakaś mała, niespokojna dłoń uzbrojona w latarkę sprawdza, czy przypadkiem maleńki pyłek nie osiadł na ubraniu modelki. Sesje zdjęciowe do magazynów czy kampanii reklamowych to prawdziwe maratony; w ich trakcie nauczę się moich pierwszych słów po japońsku: *Unokassita!*[5] Organizatorom i fotografom zdarza się bowiem zapominać, że nawet wychudzone modelki muszą czasem coś zjeść!

Z finansowego punktu widzenia praca w Japonii bardzo się opłaca. To tutaj dostaję najwyższe wynagrodzenie, w przeciwieństwie do Francji, która — mimo że najbardziej prestiżowa pod względem mody — jest najmniej dochodowa. W Japonii pokazy są przygotowywane z dokładnością co do milimetra. Zaraz po przybyciu robi się nam dla rozluźnienia masaż twarzy; ma on tak odprężające działanie, że zasypiam za każdym razem. Makijażystki wykazują się niezwykłym profesjonalizmem. To typowo japońska specyfika — nic nie dzieje się przez przypadek. Podczas gdy Włosi liczą na cuda (zresztą często im się zdarzają), Japończycy planują wszystko z niespotykaną dokładnością. Żadnych dramatów... tylko ciągłe napięcie i cicha presja.

Kenzo, u którego występuję na wybiegach zarówno w Paryżu, jak i w Tokio, to z pewnością najmniej spięty spośród wszystkich swoich rodaków. Nigdy nie daje po sobie poznać najmniejszego zdenerwowania. Jest otwarty i serdeczny, w przeciwieństwie do innych japońskich projektantów introwertyków, jak Jin Abe czy Yohji Yamamoto. Cieszymy się ogromnym powodzeniem w japońskim *night life*; wiele tokijskich restauracji i klubów nocnych zawarło umowę z agencjami modelek, dając nam nieograniczone prawo wstępu i korzystania z open baru! Nasza obecność przyciąga bowiem klientów, których zawsze wokół nas pełno. Spędzając wieczory w barach na bezpłatnej konsumpcji, niektóre z moich koleżanek zaczną upijać się ponad miarę. Wiele ze znanych mi modelek, zwłaszcza Amerykanek, wda się w romanse z Japończykami.

Nowojorskie pokazy są domeną agencji Elite, zorganizowanej w identyczny sposób, jak Glamour: okrągły stół, karty i kompozycje ułożone w kolejności alfabetycznej. Ale tu podobieństwa się kończą. Nigdzie indziej moda nie jest takim biznesem, jak w USA: organizacja niemalże wojskowa, polecenia jasne muszą być natychmiast zrozumiane, bo nikt nie będzie powtarzał dwa razy. Nie ma czasu do stracenia. Hasło brzmi: *Time is money* — co do centa! Modelki pracują na godziny za pieniądze — jak na owe czasy — astronomiczne: u Calvina Kleina dostaję osiemset pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Majątek! A gdy zaczynamy dniówkę od siódmej rano, stawki są podwyższone. Łatwo się domyślić, jaka jest druga strona medalu: jeżeli, na swoje nieszczęście, spóźnimy się, czekają nas surowe kary. Szybko dostosowuję się do amerykańskiego trybu pracy: skupiam się na wydajności i zysku. Elite w niczym nie przypomina rodzinnej firmy — nie przychodzi się tam bez zapowiedzi, nie opowiada o swoim życiu... Interesuje ich tylko bukowanie: do sesji zdjęciowych, pokazów, występów telewizyjnych. W przeciwieństwie do agencji Glamour nie organizują przyjęć ani spotkań przy kolacji z modelkami i potencjalnymi klientami. Dla nich to strata czasu.

Szefowa agencji, Helen Hart, bardzo mnie lubi. Mówi do mnie „kochanie”! Nie raz wysyłała na pokazy afroamerykańskie modelki, ale nigdy jeszcze nie współpracowała z dziewczyną pochodzącą z Afryki, w dodatku o renomie *haute couture made in Paris*. W Nowym Jorku odnoszę spektakularny sukces. Po moim pierwszym pokazie dla Yves Saint Laurenta zostaję trzynastej razy zabukowana na *fashion week*. Nieprawdopodobne! Dostaję też propozycje współpracy od czasopism afroamerykańskich, w tym od prestiżowych magazynów „Ebony” i

„Essence”. Prasa afroamerykańska interesuje się mną nie tylko ze względu na moją urodę — stałam się dla niej kimś ważnym.

Występuję na wybiegach najsłynniejszych amerykańskich projektantów. Są wśród nich: dystyngowany Oscar de la Renta, Geoffrey Beene, pierwszy amerykański projektant, który zaprezentował swoje kolekcje w Mediolanie i w Paryżu, Patrick Kelly, który wkrótce umrze na AIDS, wenezuelska projektantka Carolina Herrera... U tych dwóch ostatnich otwieram i zamykam pokaz, to dla modelki najwyższe wyróżnienie. Z kolei Bill Blass daje mnie za przykład moim koleżankom:

— Zobaczcie, jak Rebecca się porusza: ona potrafi przesiąknąć strojem, zanim zaprezentuje go na wybiegu. Uczcie się od niej!

Calvin Klein to jeden z domów mody, który najbardziej mnie interesuje. Wszystkie modelki zabiegają o angaż i nie każda może się tam dostać. Poza sowitym wynagrodzeniem, jakie gwarantuje, ulubione modelki projektanta dostępują zaszczytu spędzania z nim czasu poza pracą i dzielenia jego bujnego życia towarzyskiego.

Dzień pracy w Nowym Jorku jest bardzo wyczerpujący. Za to nocne życie przyćmiewa wszystko, co do tej pory poznałam. Przyczynia się do tego wszechobecna kokaina. Wystarczy jeden telefon, a w ciągu godziny pojawia się dostawca: elegancko ubrany biały młodzian, ewentualnie Latynos — nigdy nie widziałam czarnoskórego. Życie ponad miarę — *Over the Top*. Utrzymuję bliski kontakt z Grace Jones — ta pochodząca z Jamajki, prawdziwa czarna pantera roztacza wokół siebie intensywny, zmysłowy urok, przykuwając wszystkie spojrzenia. Była kiedyś muzą Andy’ego Warhola, teraz otworzyła restaurację w Soho — La Vie en Rose — ulubione miejsce nowojorskiej socjety. Jej mieszkanie jest całe pomalowane na różowo. Odbywają się tam orgie godne filmów Felliniego, a bywają na nich czołowi przedstawiciele elit towarzyskich, jak Jean-Paul Goude czy baletmistrz Michaił Barysznikow. Uprzejmiam sobie pobyt przygodami na jedną noc z moimi wesołymi nowojorskimi kochankami. Wkrótce widmo epidemii AIDS pojawi się na horyzoncie. Środowisko, w którym się obracam, jest nią szczególnie zagrożone. W stolicach mody znajome twarze znikają na zawsze jedna po drugiej.

Shooting

Pewnego dnia, gdy siedzimy w garderobie przy alei Marceau, zagląda do nas jakiś szczupły mężczyzna o szelmowskim spojrzeniu. W tym haremie wizyty mężczyzn należą do rzadkości. Ubrane w fartuchy podczas czesania i malowania, przygotowujemy się do wyjścia do studia. Nie zwracamy mu uwagi, domyślając się, że spryciarz wszedł tutaj za zgodą dyrekcji. Z uprzejmym uśmiechem przygląda się każdej z osobna, po czym wychodzi bez słowa. Nieco później Gabrielle, rzeczniczka prasowa, przychodzi do mnie:

— Helmut Newton wybrał cię do swojej najbliższej sesji zdjęciowej...

Nie wierzę własnym uszom. Która modelka nie marzy o tym, żeby zostać uwieczniona na zdjęciach najślynniejszego fotografa mody na świecie!

Zdjęcia Helmuta Newtona mają prezentować suknie i kostiumy Yves Saint Laurenta i zostać opublikowane w „Vogue”. Sesja zdjęciowa pod takimi auspicjami zasługuje na solidne przygotowanie i pracująca z Gabrielle Dominique Deroche zabiera się do tego z właściwą sobie skutecznością. Sesja odbywa się w pobliżu Akademii Wojskowej w Paryżu. Asystenci zawsze ustalają wszystko z góry, ale Helmut lubi zostawiać sobie dużo miejsca na improwizację, zwłaszcza w zakresie inscenizacji. Dla niego ważne jest oddanie rozrywkowego charakteru fotografii, i — co w tych kręgach należy raczej do rzadkości — potrafi łączyć profesjonalizm z humorem. Nigdy nie traktuje siebie na serio. Z Yves Saint Laurentem łączy go — oprócz wzajemnego szacunku — chęć wydobywania ambiwalencji i burzenia damsko-męskich stereotypów. Na zdjęciach Helmuta Newtona męskość — w zwyczajowym znaczeniu tego słowa — jest przypisana kobietom, zawsze silnym i przejmującym kontrolę nad sytuacją.

Spotykamy się w piękny, słoneczny dzień. Mam na sobie płaszcz w panterkę od Yves Saint Laurenta i czarne satynowe szpilki. W chwili, gdy przechodzimy przez ciężkie, żelazne ogrodzenie, Helmut się zatrzymuje.

— Rebecca, stań przy bramie! Masz być sexy! Sexy! Rób tak, jak dziwka, która chce rozpalić klienta... — rzuca.

Słowo „dziwka” płoszy mnie na chwilę. Ale po krótkim wahaniu podejmuję grę, a Helmut ze swoim szelmowskim uśmiechem zachęca mnie i dopinguje. Daję więc z siebie wszystko. Oddziałujemy na siebie wzajemnie. Dalej sesja odbywa się przy kolumnach Akademii Wojskowej; tu przechadzam się w rękawiczkach do łokci i w długiej, niebieskiej, koronkowej sukni ozdobionej dużą broszką. Za mną stoi żołnierz Gwardii Republikańskiej, wyraźnie zadowolony, że pojawi się na zdjęciu w „Vogue”. Naśladuję cesarzową podążającą beznamietnie ku swemu przeznaczeniu. Helmut chce też i tym razem ukazać mężczyznę drzemiącego w każdej kobiecie. Wszystkie jego inscenizacje mają na celu wydobycie agresywnej kobiecej seksualności i kobiecej dominacji. To sedno jego fantazmatycznego świata.

„Women’s Wear Daily” jest w Stanach Zjednoczonych biblią mody, zarówno dla projektantów, działów handlowych w sklepach, jak i dla samych klientów. Moje zdjęcia, wykonane przez Guy Bourdina, pojawiają się tam w każdej kolekcji. Sesje zdjęciowe bardzo się różnią od sesji z Helmutem Newtonem, mimo że jego wizja kobiety nie jest wcale mniej prowokacyjna. W pracy z Guy nic nie dzieje się przez przypadek, wszystko jest z góry starannie zaplanowane. Na podstawie własnoręcznie wykonanych rysunków przygotowuje szczegółowo każdą inscenizację. Guy jest bardziej powściągliwy niż Helmut. Jego fotografie — dopracowane w najmniejszych szczegółach, pełne żywych, wręcz krzykliwych kolorów — staną się symbolem całego pokolenia.

Relacja między modelką a fotografem mody przypomina relację pary zakochanych: oboje

potrzebują siebie nawzajem do życia. Nic dziwnego, że tylu fotografów dobiera się w pary z modelkami. Ich stosunek oparty jest na zmysłowości i uwodzeniu. Podczas sesji czasem trudno wyznaczyć granice, dlatego najlepiej określić je od razu na samym początku. Jeżeli bowiem modelka, pozując przed obiektywem, chce oddać nastrój sesji, nie znaczy to od razu, że chce oddać się fotografowi! Wielu z nich nie dostrzega tej subtelnej różnicy. Wydaje im się, że w chwili gdy wymierzą w ciebie aparat, mogą sobie na wszystko pozwolić. W trakcie shootingu relacja ta ma wyraźnie seksualne konotacje i obawiam się zalotów fotografów, tym bardziej że są zwykle dość niewybredne. „Szantaż łóżkowy” to na planie rzecz powszechna. Na ulicy często spotykam się z zaczepkami w stylu: „Dzień dobry, jestem fotografem...” Gość z reguły blefuje, zawstydzony własną śmiałością. Z niewzruszonym spokojem proszę go wtedy o wizytówkę, po czym przekazuję informacje agencji, a ona szybko hamuje jego „artystyczne” zapędy.

Inną kategorię stanowią paparazzi. Najbardziej boimy się tych, którzy czają się za kulisami, schowani za stojakami na ubrania. Wślizgują się tam po cichu w trakcie pokazu, rzekomo, aby zrobić klimatyczny *shooting backstage*, to naprawdę nieprzyjemne, bo w garderobie napięcie sięga zenitu, a my mamy tylko minutę albo dwie na przebranie się. Zdarza się, że któregoś z nich — schowanego między sukniami wieczorowymi, skąd celuje do nas ze swojego aparatu — nie zauważymy. A potem nasze roznegliżowane zdjęcia trafiają na łamy pism erotycznych, co doprowadza nas do szału. Kiedyś pozbędę się jednego takiego fotografa, zaczajonego za moim wieszakiem. Wyleci za drzwi, żegnany kopniakami i moim dzikim wrzaskiem.

Top modelka

Czas wolny od pracy spędzam w towarzystwie sław świata mody: modelek, fotografów, projektantów... Do najbliższych mi osób zaliczam Azzedine'a Alaïę, z którym współpraca przeradza się w przyjaźń. Co za przyjemność widzieć go w ferworze zajęć! Mogę przyglądać mu się godzinami, jak siedzi pochylony nad biurkiem. Wszystko sam ręcznie szyje. Myślę, że niewielu opanowało sztukę krawiectwa do takiego stopnia jak on. Często przymierza na mnie swoje kreacje jeszcze w początkowym stadium, całe poprzipinane szpilkami. Wyglądam wtedy jak jeżozwierz! Gdy się uklęję, mówi ze śmiechem:

— Nic się nie przejmuj, Rebecca, to był zastrzyk energii do pracy!

Jest w nim coś z czarodzieja. Swoim przenikliwym spojrzeniem potrafi dotrzeć poza złudne pozory. Nasza solidarność i wzajemne porozumienie wynika być może z faktu, że oboje jesteśmy w tym świecie niejako intruzami; przybyliśmy z Afryki i weszliśmy do świata mody tylnymi drzwiami dzięki samozaparciu i ciężkiej pracy. Ubieram się albo u Saint Laurenta, albo właśnie u niego. Jego obcisłe suknie zapinane na zamek i czarne skórzane płaszcze idealnie pasują do mojego stylu.

Na imprezy chodzę głównie z innymi modelkami, to one pokazują mi kulisy światowego życia w Paryżu. Jedna z dziewczyn, z którą pracuję wtedy u Givenchy'ego, po raz pierwszy daje mi do spróbowania kokainę. Dotychczas jedynym środkiem odurzającym, była dla mnie marihuana, ale widząc, jak trawka otępia mi umysł, rzuciłam palenie. Pewnego popołudnia wychodzę z koleżanką po zakończonych przyimiarkach u Givenchy'ego i ona zaprasza mnie do siebie na herbatę. W mieszkaniu jest jej mąż. O tym, że jest dilerem, dowiem się później. Na okrągłym stole w salonie kłębi się stos pomiętych papierków i folia aluminiowa. Siedzimy, pijamy coca-colę i nagle koleżanka mówi do męża:

— To co, dasz nam trochę?

Podaje mu leżącą na kanapie gazetę, na której on nonszalanckim gestem kładzie mały, biały kamyk, a koleżanka rozdrabnia go na proszek. Nie wiem, o co chodzi, nie rozumiem, co kombinują.

— Znasz to?

— Yyy... nie...

— A chcesz spróbować? To cię rozrusza.

— Może mi zaszkodzić?

— Coś ty, wręcz przeciwnie! Wszyscy będą ci się wydawać piękni i mili...

— W takim razie dlaczego nie?

Bierze słomkę i objaśnia mi zasady użytkowania:

— Zatykasz jedną dziurkę od nosa, a to wciągasz drugą...

Niczym uczennica grzecznie wykonuję polecenia i czekam na efekt. Żadnego. Jej mąż śmieje się i proponuje, żebym spróbowała jeszcze raz. Wdycham znowu i nagle serce zaczyna mi łomotać. Mówię i mówię, i nie mogę przestać.

— No widzisz, działa!

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że zarówno w świecie mody, jak i w show-biznesie krążą swobodnie wszelkie narkotyki. Biorą się z napięcia i dużych pieniędzy; są jak kule, którymi podpieramy nasze chwiejne egzystencje. Modelki — z racji swoich nieprzyzwoicie wysokich zarobków — łatwo padają ofiarą dilerów. Pewnego wieczoru jesteśmy z Katouchą na imprezie, nasz wspólny znajomy robi nam ścieżki z białego proszku. Wdychamy je jedna po drugiej. I nagle wszystko zaczyna wirować, gwałtowne torsje wstrząsają moim ciałem. Okazuje się, że to

heroina. To doświadczenie na dobre oduczy mnie brania narkotyków. Ale wiele znanych mi modelek da się ponieść tej fali aż na samo dno.

Relacje między modelkami niezupełnie są jednoznaczne. Nawet jeżeli się przyjaźnimy, to i tak konkurujemy ze sobą. W tym haremie każda z nas rości sobie prawo do bycia ulubienicą projektantów. Najbardziej zażarta rywalizacja panuje między modelkami wybranymi do pracy w studiu, tam, gdzie powstają kreacje. Nawet gdy któraś trafia tu tylko na chwilę, od razu wydaje jej się, że jest jedyną muzą mistrza. Na castingach trwa zacięta walka o to, której modelce uda się przyćmić konkurentki. Na wybiegu o to, która dostanie większe oklaski. I czasami dochodzi do walki na pięści. Tak jak tego dnia, gdy wybucha ostra kłótnia między Anao, amerykańską top modelką z Bronxu, i jedną z jej francuskich koleżanek po fachu. Ubierając się w garderobie, równocześnie zaczynają się okładać po twarzy. Obie wystąpią na wybiegu nieźle rozczochrane, a gdy tylko z niego zejną, za kulisami znów rzucą się na siebie i trzeba je będzie rozdzielać siłą.

Rywalizacja nie wynika tylko z wybujałego ego; wiemy doskonale, że losy naszej kariery wąż się w każdej chwili. Wieczna sława to przywilej nielicznych modelek, reszta dociera do szczytu, gdzie ma tylko swoje ulotne pięć minut. Otóż dla top modelki, jeśli popadnie w niełaskę u wielkiego projektanta i straci status ulubienicy na rzecz konkurentki, oznacza to właściwie wyrok śmierci. Anao, amerykańska top modelka, która zdobyła rozgłos u Givenchy'ego, jest tego tragicznym przykładem. Gdy domy mody przestały przedłużać jej kontrakty, wpadła w narkotykowy nałóg. Moja znajoma, Margot, opowiadała mi, jak kiedyś w Nowym Jorku jakaś bezzębna żebraczka stojącą w kolejce do jadłodajni dla ubogich zawołała ją po imieniu na środku ulicy. To była Anao, kiedyś taka waleczna, teraz znokautowana przez życie.

Backstage jest często sceną dramatów. Zdarza się na przykład, że modelka urażona tym, iż projektant nie „zabukował” jej ponownie, próbuje dostać się na wybieg podstępem. Szczególnie natarczywa jest Mounia. Pewnego dnia wślizguje się bez uprzedzenia do garderoby, chwyta strój w swoim rozmiarze, wkłada go w pośpiechu i stawia się przed projektantem:

— Jestem gotowa do pokazu!

Mimo to przyjaźnie się zdarzają. Dziewczyny, które spotykam przy okazji kolejnych kolekcji i z którymi dzielę wspólne, codzienne życie, tworzą grupę moich nieodłącznych przyjaciółek. Jest wśród nich Katoucha, a także kilka modelek z zagranicy. Gdy przeprowadzam się do większego mieszkania, na ulicę Saussaies w Paryżu, w moim domu robi się gwarno jak w ulu pełnym top modelek. Na każdym łóżku, każdej kanapie, nawet na dywanie — śpi modelka: Brinya z Islandii; Vania, piękna Brazylijka z Kanady, która rozśmiesza nas swoją niezrozumiałą mieszanką akcentów; Danae z RPA i wiele innych... Sąsiedzi nie mają nic przeciwko. Zachwyceni obserwują tę karuzelę z modelkami, kursującymi tam i z powrotem od świtu do zmierzchu.

Zawód modelki wymaga dyscypliny na każdym kroku. Czasem chciałoby się zostać dłużej na imprezie i potańczyć do rana, ale cera nas zdradza. Żaden makijaż na świecie nie zatuszuje kaca. To samo w restauracji: zaproszone na wykwintną kolację, dostajemy zimnych potów już od samego przeczytania karty dań. Takie słowa jak „gęsia wątróbka” czy „deser” dawno wykreśliłyśmy z naszego słownika, wraz z wieloma innymi pokusami. Agencja ma na nas oko. Najlżejszy cień podejrzenia sprawia, że Évelyne bierze centymetr i sprawdza to, co wydaje jej się nieodpowiednią „krągłością”. Uważnie przygląda się skórze i włosom, prawiąc morały jak małym dziewczynkom, gdy tylko dopatrzy się jakiegoś uchybienia. Dla tak znanej agencji, jak ta, nasze obyczaje i wybryki nie mają najmniejszego znaczenia. Za to niewybaczalnym grzechem są cienie pod oczami i każdy dodatkowy gram. Niektóre ówczesne agencje nie wahają się nawet przed proponowaniem modelkom środków hamujących apetyt!

Tryb życia modelki może się okazać okrutny. Nie raz widziałam, jak dziewczyny

przewracały się ze zmęczenia w showroomie, mając za sobą maraton pokazów i imprez, bez jedzenia i bez snu. Słyszałam, że jakaś modelka zemdląła kiedyś w trakcie przymiarek. Projektant zareagował cynicznym: „Weźcie mi to stąd!” Jednym z takich codziennych aktów okrucieństwa jest konieczność występowania w za ciasnych butach. Za standardowy rozmiar kobiecej stopy, według którego wykonywane są próbki obuwia, przyjmuje się rozmiar trzydzieści dziewięć. Ja — jak wiele dziewczyn o wzroście powyżej przeciętnej — noszę czterdziestkę. Co za męka, chodzić po wybiegu ze stopami wciśniętymi w za małe czółenka! Ból, odciski. Dlatego też niejedna modelka, której przydzielono za ciasne buty, podmienia je ukradkiem koleżankom na te bardziej odpowiednie. W końcu nauczę się chować sobie po jednym bucie z każdej pary w moim rozmiarze.

Agencja za wszelką cenę stara się odwieść swoje protegowane od angażowania się w stałe związki. „Kobieta zamężna jest jak superbryka stojąca w garażu!”, trąbią nam nad uchem szefowe. Jeżeli jakimś cudem romans zdoła przetrwać w szalonym trybie życia top modelki, dołożą wszelkich starań, żeby rozwiać nasze nadzieje. Widząc nas rano zmęczone lub zdenerwowane, komentują: „To przez twojego Romea, co? Daj sobie spokój. Nie potrzebujesz go, przecież jesteś gwiazdą!” Przez całe lata będę kolekcjonować przelotne znajomości i nigdy nie uda mi się związać na stałe z żadnym mężczyzną. Nawet moje libido spada; moda za bardzo mnie absorbuje, żeby mogło się rozbudzić. Agencja zachęca nas natomiast do prowadzenia bujnego życia towarzyskiego, bo to zapewnia nam popularność i rzuca na żer tabloidom. Aby nas lansować, Glamour organizuje dla potencjalnych klientów kolacje z naszym udziałem. W czasie gdy my siedzimy przy stole nad talerzem rzodkiewek i z kieliszkiem szampana w dłoni, prowadząc z sąsiadem blahe pogawędki, klient szacuje naszą wartość. Wartość towaru, jakim tutaj tak naprawdę jesteśmy.

Zostałam wtedy stałą bywalczynią paryskich lokali. Ebyene z Somalii, Katoucha z Gwinei i ja tworzymy trio, które piosenkarz Bernard Lavilliers określa mianem „trzej muszkietierowie”. Nasze trudne poniekąd życie toczy się w najpopularniejszych klubach nocnych: Le Palace, Élysée, u Olivii Valère, w Les Bains Douches... Jadamy w Chez Davé, modnej restauracji mieszczącej się za kościołem Świętego Rocha, albo w Maé. Nie wspominając o takich miejscach, jak: Joe Allen, African Queen, Ritz czy Club 78 na Polach Elizejskich. Wędrujemy od jednego modnego lokalu do drugiego, w doborowym towarzystwie takich samych nocnych marków, jak my. Do ścisłego grona naszych znajomych należą między innymi: François Léotard, Francis Lalanne, Mouss Diouf, Laurent Voulzy, Anthony Delon... Paryż to jedna wielka feta.

Przyptyw uczuć

Stéphane Ferrara jest byłym bokserem. W 1982 roku został mistrzem Francji wagi średniej w boksie zawodowym, a rok później niewiele zabrakło mu do zwycięstwa w mistrzostwach Europy. Po porażce zakończył karierę, przekwalifikował się i został aktorem. Oboje prowadzimy nocne życie i w ten sposób się poznajemy. W środowisku aktorskim Stéphane ma paru przyjaciół, takich jak Jean-Paul Belmondo czy nierozdzielnie z nim związany Mouss Diouf, który stanie się dla mnie jak brat. Po wielu latach uczuciowej hibernacji czuję, że naprawdę się zakochałam. Stéphane jako jeden z nielicznych nazywa mnie imieniem Ayoko. Dzięki niemu przypominam sobie, że moje ciało nie służy wyłącznie do eksponowania ubrań.

Jestem w połowie mojej kariery u Saint Laurenta, gdy Stéphane oznajmia, że chciałby mieć ze mną dziecko. Szok. Jakaś część mnie przyzwyczała się do myśli, że nigdy nie zaznam radości życia rodzinnego ani prawdziwego domu, pełnego chcianych i kochanych dzieci. Żyję jak niewolnica, podległa dyktatowi mody, uzależniona od niej na podobieństwo *fashion addict*. Innym znanym mi modelkom udało się wrócić po porodzie na szczyt sławy. Dlaczego by nie mnie?

Zachodzę w ciążę. U Saint Laurenta wszyscy wiedzą i cieszą się wraz ze mną. Natomiast w Glamour wiadomość zostaje przyjęta z cierpkim grymasem: moja ciąża na kilka miesięcy pozbawi ich dochodów i istnieje ryzyko, że stracę figurę. Miłość do Stéphane'a dodaje mi skrzydeł. Właśnie rzucił boks i zaczął grać w teatrze w *Żonie piekarza*, sztuce w reżyserii Jérôme'a Savary'ego. Zakochani niczym nastolatki, przyglądamy się, jak mój brzuch rośnie z dnia na dzień. Spotykamy się prawie co wieczór, chociaż oboje nadal mieszkamy osobno. Ja na ulicy Faubourg-Saint-Honoré, on w swoim rodzinnym Bobigny.

Stéphane staje się coraz bardziej popularny. Otrzymuje nowe propozycje współpracy i coraz więcej dziewczyn kręci się wokół niego. Rzadziej się spotykamy. Przez całe dni jestem tak zajęta przymiarkami, wieczorem wracam do domu jeszcze bardziej zmęczona niż zwykle — no cóż, ciąża — że nie zwracam na to zbyt dużej uwagi. Jedną z moich koleżanek, Évelyne, była Miss Reunionu, właśnie urodziła córkę. Odwiedzam ją w szpitalu, niosąc pod pachą prezent dla dziecka, a w torbie czasopisma dla młodej mamy. Winszuję córeczki, po czym przysiadam na brzegu łóżka, żeby pogadać, i jednocześnie pobieżnie przeglądam magazyny. Kartkuję „Paris-Match” i nagle staję jak wryta. Na zdjęciu Stéphane przechadza się pod ramię z jakąś nieznaną mi dziewczyną, określoną jako jego „nowa narzeczona”. Serce mi zamiera, w głowie się kręci, ostry ból przeszywa mi brzuch.

Wracam do siebie i przez całą noc próbuję się do niego dodzwonić, ale bez rezultatu. Znowu łapią mnie gwałtowne skurcze. Poronienie. Jestem sparaliżowana — poczuciem samotności i straszliwym bólem, który nie pozwala mi ustać na nogach. O czwartej rano dzwonię w desperacji do Moussa Dioufa. Od chwili, gdy Stéphane zapoznał mnie ze swoim przyjacielem z dzieciństwa, Mouss stał się dla mnie prawdziwą bratnią duszą. Jest przemiły i zawsze gotowy do pomocy i można na niego liczyć w każdej sytuacji. Jego mama i siostry przyjęły mnie jak członka rodziny. Zawsze, gdy odwiedzam ich w Bobigny, czuję się jak u siebie w domu. Znajduję tam afrykańską oazę spokoju, gdzie mogę zregenerować siły do swojej dalszej, chorej egzystencji.

— Mouss, przyjeżdżaj!... Umieram...

Bez zbędnych pytań Mouss zjawia się w środku nocy. Otwieram mu drzwi na czworakach, czołgając się w kałuży krwi. Chwyta mnie i niesie biegiem do auta. Na pełnym gązie pędzi do szpitala Hôtel-Dieu i tam tracę przytomność. Mouss zostanie przy mnie nawet po

tym, jak poddadzą mnie łyżeczkowaniu. Wybucham płaczem, gdy lekarz wyjaśnia mi, co się stało. Dopóki nie zemdlałam, przez cały czas miałam nadzieję, że dziecko przeżyje. Jestem osłabiona krwotokiem i muszę zostać w szpitalu parę dni. Stéphane pojawia się w chwili, gdy właśnie zbieram się do domu. Patrzę na niego błędnym wzrokiem. Nie mam siły słuchać jego przeprosin. Niedługo po poronieniu będzie klękał przede mną na środku ulicy i błagał o przebaczenie. Przyjmuję przeprosiny, ale co się stało, to się nie odstanie. Moje uczucie do niego umarło razem z dzieckiem, które nosiłam. Chciałabym schować się w mysią dziurę, odciąć od świata. Wpadam w depresję. Wizyty u psychiatry w szpitalu stopniowo pomagają mi dojść do siebie, a praca modelki po raz kolejny stawia mnie na nogi. Cztery miesiące w roku pracuję na pełen etat u Yves Saint Laurenta, a przez resztę czasu podróżuję do Włoch, Japonii i Stanów Zjednoczonych, zgodnie z kalendarzem świata mody.

Po tym epizodzie moje życie uczuciowe toczy się dalej swoim chaotycznym rytmem. Nie brak w nim uniesień, ale mówić o miłości byłoby grubą przesadą. Mój związek ze Stéphane'em powoli się wypala. Wdaję się w romans z amerykańskim aktorem Dolphem Lundgrenem, którego poznałam dzięki Stéphane'owi. On też jest byłym bokserem. Dolph, u progu swojej kariery aktorskiej, grał z Sylvestrem Stallone'em w *Rockym 4*. Wcześniej, zanim mnie poznał, chodził z Grace Jones. Pomaga mi podnieść się po rozstaniu ze Stéphane'em. A potem znowu się błąkam. Top modelka jest zawsze otoczona doborowym gronem zalotników. Sztuka polega na tym, żeby nie rozmiąć się całkiem na drobne...

Wygnanie z raju

Temu, kto wspiął się na najwyższy szczyt, nie pozostaje już nic innego, jak z niego zejść. Przekonana o tym, że będę trwać wiecznie, sama przyczynię się do własnego upadku.

Moja najlepsza przyjaciółka, Katoucha, chciałaby dostać się do Saint Laurenta. Agencja Glamour wielokrotnie wysyłała ją tam na castingi, ale wszelkie próby okazywały się daremne. Szefowa garderoby, Nicole Daurier, uważa, że Katoucha nie pasuje do stylu Saint Laurent, i chyba ma rację: jej krótki tułów, długie nogi i wąskie ramiona kłócą się z ówczesną stylistyką domu mody. Ale Katoucha nie daje za wygraną. Nie ma dnia, żeby nie zawracała mi tym głową:

— Jesteś gwiazdą Yves Saint Laurenta. Wszyscy mówią, że on bardzo cię lubi. Czemu nie możesz osobiście porozmawiać z nim o mnie?

Katoucha pracuje wówczas dla projektantów prêt-à-porter i jak wszystkie modelki marzy o tym, żeby dołączyć do czołówki haute couture. Zgadzam się jej pomóc. Zamierzam skorzystać ze sposobności, aby w trakcie przymierzania dodatków w wolnej chwili pomówić z panem Saint Laurentem. W kieszeni białego fartucha chowam kompozyt Katouchy. Gdy nadarza się okazja, podaję go projektantowi:

— Proszę spojrzeć, to moja najlepsza przyjaciółka. Ma nogi jak gazela i chód bogini, ale Nicole mówi, że nie pasuje do naszego stylu... — mówię.

Projektant zasięga opinii Loulou de la Falaise. Ostatecznie oboje zgadzają się spotkać z Katouchą.

W noc poprzedzającą pierwszy dzień Katouchy u YSL męczy mnie koszmar, który okaże się snem proroczym. Jestem w długiej, ciemnej sali, na środku stoi ogromny stół, wokół siedzą jakieś niewyraźne postacie. Dobrze widać tylko ich ręce. Na szczycie stołu ktoś podpala fotografię. Podchodzę bliżej i z przerażeniem stwierdzam, że to moje zdjęcie płonie. Zostaje z niego popiół, a na jego miejscu pojawia się zdjęcie Katouchy. Rano z bijącym sercem dzwonię do mojej siostry Héléne. Tylko ona może mi pomóc zrozumieć sen, zesłany mi niechybnie przez pytona moich przodków. Jej interpretacja nie pozostawia złudzeń:

— Wpuściłaś wilka do owczarni!

Idiotka ze mnie! Właśnie wprowadziłam do Saint Laureata swoją następczynię.

Niedługo potem zrobię kolejne — fatalne w skutkach — głupstwo. Od lat noszę krótkie włosy, wierna ulubionemu przez Yves Saint Laurenta stylowi na chłopczycę. Dla pracujących z nim top modelek jedyną dopuszczalną alternatywę stanowią włosy zaczesane gładko do tyłu lub upięte w kok. A ja któregoś dnia bezmyślnie daję sobie zakręcić loczki. To taka nowa moda, nie mogę się oprzeć. Rano wkraczam do garderoby z lwią grzywą na głowie. Yves Saint Laurent wytrzeszcza oczy na mój widok, odwraca się i bez słowa idzie do swojego studia. Jestem w szoku, czuję, że zbliża się katastrofa.

Yves Saint Laurent w trakcie tworzenia staje się bardzo drażliwy. Robi z igły widły. Wydawało mi się, że dzięki mojej wyjątkowej pozycji mogę sobie na wszystko pozwolić, i trochę za szybko zapominam o surowych zasadach świątyni haute couture. Nicole, szefowa garderoby, ma mi za złe, że wprowadziłam Katouchę do domu mody, ignorując ustalone przez nią procedury. Żywi do mnie głęboką urazę. „Nie będziesz mnie tu zastępować! Za kogo ty się uważasz?”, wypomina mi. Już od jakiegoś czasu przeczuwam, że członkowie ekipy nie są mi przychylni tak jak kiedyś, ale nie zdaję sobie sprawy z powagi sytuacji. W studiu coraz częściej słyszę krytyczne uwagi na swój temat: „Zmieniła się, ciągle się spóźnia, coraz mniej się maluje, nie dba o siebie...” Niepochlebna opinia o muzie projektanta musiała dojść w końcu do uszu samego Yves Saint Laurenta, wymagającego od swoich modelek perfekcji i wzorowej postawy.

Czar pryska.

— Wracaj do domu — poleca mi Anne-Marie. — Skontaktujemy się z twoją agencją, w tym sezonie nie będziesz nam potrzebna... Nie martw się, Rebecca! Myślę, że wystąpisz następnym razem. To będzie coś specjalnie dla ciebie! — dodaje, widząc moją strapioną minę.

Nie jestem przekonana. Opuszczam aleję Marceau 5 z nosem na kwintę. Naiwnie sądziłam, że zawładnęłam na zawsze sercem Yves Saint Laurenta, że ta historia miłosna rodem z bajki trwać będzie wiecznie. Upadek jest równie bolesny co nieoczekiwany. Kilka tygodni później spada na mnie jak grom z jasnego nieba wiadomość: moja kariera u Saint Laurenta skończyła się definitywnie.

Mój świat się zawalił, życie legło w gruzach. Podczas gdy Katoucha pnie się w górę po szczeblach sławy, mnie wypędza się kuchennymi schodami. Mój książę z bajki rzucił mnie dla innej. Żałuję, że dopuściłam się zaniedbania, zamiast podsycać jego fascynację. Sądziłam, że będę jego muzą na wieki. Ale liczyły się tylko pozory. Yves Saint Laurentowi podobał się mój androgeniczny wygląd, mój styl chłopczycy. Eksperyment z włosami położył kres sielance.

Żeby się dobić, zadaję sobie codzienną dawkę tortur: co wieczór spotykam się w barze z Katouchą. Przyjaciółka przynosi mi ploteczki z domu mody YSL, skąd właśnie udało jej się mnie wyrugować i przejąć moją rolę muzy mistrza. Nowa królowa nie szczędzi mi szczegółów:

— Teraz to ja jestem ulubienicą Saint Laurenta! On nie chce już nikogo innego.

Straciła mnie z tronu i zabrała mężczyznę mojego życia, w którego ramiona sama ją popchnęłam. Zamyślona przyglądam się towarzystwu, co hałaśliwie wita się przy barze, i kulę się w milczeniu nad swoim kieliszkiem. Jak w spokoju wysłuchiwać takich przechwałek? Powinnam krzyżeć, wyzywać ją, pobić, zniechęcić! Wciąż unikam nazwania po imieniu tego, co mi zrobiła. A nie można nazwać tego inaczej niż... zdradą.

Glamour od razu zabrania mi o tym mówić:

— Ludzie pomyślą, że nie występujesz w sezonie, ale że niedługo wrócisz. Dzięki temu dalej będziesz mogła pracować u najlepszych. Minie dużo czasu, zanim rzecz wyjdzie na jaw. Jakby co, nadal jesteś gwiazdą Yves Saint Laurenta.

Nie pozostaje mi nic innego, jak starać się utrzymać fason. To, że popadłam w niełaskę u Saint Laurenta, nie oznacza, że straciłam swoje umiejętności albo że nagle zbrzydłam. Na razie żyję i nie zamierzam tego zmieniać. Glamour załatwia mi kontrakt u Balmaina. Dołączam do studia Erika Mortensena, uważanego za jedno z najbardziej prestiżowych w branży haute couture. Ale kiedy świat mody dowiaduje się, że nie jestem już gwiazdą Saint Laurenta, załamuję się. Droga na szczyt jest długa, upadek — błyskawiczny. W modzie nikt nie chce upadłych idoli. Przestałam być uwielbianą muzą. Mimo że agencja dzwoni do mnie jeszcze, a projektanci wciąż chcą ze mną współpracować — moje notowania lecą w dół.

New York, New York

Muszę uciekać z Paryża — tu wszystko przywołuje wspomnienia mojego utraconego raj. Dlaczego by nie osiąść na jakiś czas w Nowym Jorku? Tam czuję się jak u siebie w domu. Zawsze mogłabym wrócić do Paryża na czas kolekcji. W samym centrum Manhattanu między Trzydziestą Dziewiątą ulicą a Dziewiątą Aleją szybko znajduję pokój do wynajęcia w mieszkaniu Brendy, amerykańskiej modelki. Dzielimy lokum z jej otyłym kotem o imieniu, które pasuje do niego jak ulał: Stinky, czyli Śmierdziuch. Gorączkowe tempo Big Apple działa jak narkotyk. Po tej stronie oceanu wciąż jestem mile widziana, biegam więc od jednego projektanta do drugiego, a za honoraria — według stawek amerykańskich — korzystam z życia na całego.

Pewnego dnia, wychodząc z pokazu w trakcie *fashion week*, wpadam na Cyrila. To znajomy Stéphane'a, poznałam go w Paryżu. Pytam, co tutaj porabia.

— Mieszkam tu od jakiegoś czasu. Zresztą spędziłem dzieciństwo w LA. A ty?

— A ja się właśnie przeprowadziłam.

— Może się spotkamy? Daj mi swój numer.

Cyril jest początkującym aktorem. Utrzymuje się dzięki subsydiom swojego ojca, fizyka, i uczęszcza do słynnego Actors Studio. Dorabia też jako kurier rowerowy. Zajęcie to służy mu — jak mi później wyjaśni — do poznania codziennego życia *messenger boys*, o których zamierza napisać w przyszłości scenariusz. Po powrocie do domu stwierdzam, że zostawił mi na automatycznej sekretarce całą masę wiadomości. Potem regularnie składa mi wizyty. Chce być moim przewodnikiem po Nowym Jorku. Stara się wyświadczać mi mnóstwo przysług, jakby chciał, żebym nie mogła się bez niego obejść. Bawią mnie te jego starania, chociaż wiem, że nie jestem jeszcze gotowa znów się zakochać.

Wyjeżdżam na pokazy do Paryża, a potem do Mediolanu. Cyril przystępuje do obłożenia mojego telefonu. Nie pytając o pozwolenie, zbliża się do mnie coraz bardziej. Nalega, żebym wyprowadziła się od współlokatorki i zamieszkała u niego. Słucham go jednym uchem, nie biorę tego poważnie. Sezon europejskich kolekcji dobiega końca. Razem z inną modelką, Danae, lecimy z powrotem do Nowego Jorku na nadchodzący *fashion week*. Na lotnisku JFK czeka na nas wysłana przez agencję imponująca limuzyna Stretch Limo. Czeka też Cyril. Pakuje się razem z nami do auta.

— Rebecca, mam dobrą wiadomość! Znalazłem cudowne mieszkanie!

— Tak? A gdzie?

— Zobaczysz, to niespodzianka!

Przepastna limuzyna sunie w kierunku południowego Manhattanu, w sam środek East Village. W tamtych czasach była to dzielnica portorykańska, ciesząca się raczej złą sławą. Zatrzymujemy się na ulicy przed budynkami o zabitych deskami oknach. Graffiti pokrywa mury, tony śmieci walają się po chodnikach. Wylądowaliśmy w zaniedbanej dzielnicy Alphabet City, gdzie ulice noszą nazwy kolejnych liter alfabetu.

— Rebecca, nie ma mowy, żebyś mieszkała w takiej okolicy — stwierdza Danae, wyraźnie zbita z tropu. — Zabiją cię! Nie idź tam!

A Cyril mnie błaga:

— Wejdz przynajmniej obejrzeć mieszkanie! Zobaczysz, spodoba ci się. Nie daj się zwieść pozorom...

Jestem zmęczona — różnica czasu. Poza tym kierowca zaczyna się niecierpliwić.

— Nie martw się, Danae. Zostanę na jedną noc, a potem się zobaczy...

Cyril chwyta walizki i prowadzi mnie do mieszkania, które okazuje się urocze. Budynek

jest świeżo wyremontowany i estetycznie urządzony. Dawne slumsy przekształcono w elegancką dzielnicę miasta, trochę jak paryskie Marais. Jednym słowem, podoba mi się w East Village. Atmosfera przypomina mi Treichville, dzielnicę Abidżanu, w której nastąpił zwrot w moim życiu: muzyka na każdym rogu, odgłosy kłótni, zapachy z kuchni, ulice tętniące życiem... Zostaję maskotką tutejszych mieszkańców. Na mój widok wołają: *Hey! Long legs!*[6] Lokalne zwyczaje płatają mi jednak czasem figle. Robiąc kiedyś zakupy w Delicatessen przy Pierwszej Alei, proszę sprzedawcę o *Coke*. On znika na zapleczu, skąd wraca po chwili z woreczkiem białego proszku. Gdy tłumaczę, że chciałam coca-colę, odpowiada:

— *Madam, explain yourself better next time!*[7] W Nowym Jorku mam zapewnioną pracę jako top modelka. Dostaję propozycję umowy na pełen etat od Geoffreya Beene'a. Czuję się zaszczycona, bo to projektant, który ubiera byłe First Ladies — Lady Bird Johnson, Nancy Reagan — a także legendarne gwiazdy kina, takie jak Faye Dunaway. Odzyskuję dawny prestiż. Jestem o krok od podpisania kontraktu. Los znowu zaczyna się do mnie uśmiechać.

Od jakiegoś czasu mam poranne nudności i odczuwam dziwne zmęczenie. Znam te objawy. Po poronieniu i strasznym krwotoku, jaki mu towarzyszył, doszłam do wniosku, że już nigdy nie będę mogła mieć dzieci, więc przestałam brać pigułki. Wizyta u ginekologa potwierdza moją diagnozę, choć zapowiada się trudna ciąża. Zdarzają mi się dwa cuda równocześnie: wymarzona praca w prestiżowym domu mody i nieoczekiwane dziecko. Co za dylemat!

Reakcję agencji łatwo było przewidzieć:

— Rebecco, dostałaś drugą szansę. Wszystkie modelki marzą o takim kontrakcie u Geoffreya Beene'a. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie masz szczęście. Co do twojej ciąży, to pomożemy ci to załatwić. W Nowym Jorku mają bardzo kompetentnych lekarzy...

Cyril szaleje z radości, ale pozostawia mi wolną rękę:

— Cokolwiek zdecydujesz, będę przy tobie, bo cię kocham.

A jeżeli to dziecko jest cudem? Jeżeli spełni się moje marzenie o radosnym macierzyństwie? Aborcja? Wykluczone! Wybieram życie dziecka kosztem mojej kariery. Rezygnuję z kontraktu u Geoffreya Beene'a, choć dobrze wiem, że taka okazja już się nie powtórzy.

Mam założony szew okrężny i właściwie wciąż muszę leżeć, mimo to przeżywam ciążę w poczuciu spełnienia. Oprawiam w ramki zdjęcie z USG i wieszam na honorowym miejscu na ścianie w salonie. Jeszcze nigdy żadna muzyka nie wzruszyła mnie tak jak wtedy, gdy w gabinecie położniczym usłyszałam bicie serca mojego dziecka. Łamię pierwsze z dziesięciu przykazań top modelki i pod koniec ciąży ważę trzydzieści kilo więcej!

Cyril dzwoni do swoich rodziców i oświadcza im, że niedługo zostanie tatą i że będzie się żenił. Zwracam mu uwagę, że chyba trochę się pospieszył:

— No wiesz! Mówisz ojcu, że się ze mną ożenisz, ale mnie o to nie zapytałeś!

— Byłem pewien, że się zgodzisz...

— A jeżeli nie kocham cię dość mocno?...

— Nie szkodzi, moja miłość starczy za nas dwoje!

Postanawiamy spędzić koniec ciąży w Paryżu.

Zostałam tam sobie mieszkanie w VIII dzielnicy i francuskie ubezpieczenie zdrowotne, które pozwoli mi rodzić w lepszych warunkach niż w Nowym Jorku. Ślub bierzemy w Ferney-Voltaire, miejscowości położonej na granicy ze Szwajcarią, w pięknej, pagórkowatej okolicy. To tutaj mieszkają rodzice Cyrila. Teściowie bardzo o mnie dbają, zwłaszcza Françoise, matka Cyrila, która nie przestaje udzielać mi dobrych rad i podsuwać przeróżnych smakołyków. W przeddzień ślubu bierze nas na stronę, do kuchni, i pyta, patrząc nam prosto w oczy:

— Bierzecie ślub dlatego, że naprawdę się kochacie, czy dlatego, że Rebecca jest w

cięży?

— Bierzemy ślub i kropka! — odpowiada oschle Cyril.

Nie mówię nic, bojąc się stawić czoło prawdzie, której moja teściowa zdążyła się już domyślić. Nasze małżeństwo to błąd.

Ślub odbywa się w piękny, pogodny dzień. Mam długą białą suknię haute couture od Balmaina, sto razy ładniejszą od tej, której nie dane mi było nosić w początkach kariery, gdy bezceremonialnie odesłano mnie z salonu mody ślubnej z powodu koloru skóry. Moja siostra Hélène jest świadkiem. Przyjechała Affie, przyjechały też z Paryża moje przyjaciółki modelki. Spędzamy noc poślubną u podnóża Jury.

Clyde przychodzi na świat przez cesarskie cięcie, dwa tygodnie przed terminem. To najpiękniejszy dzień w moim życiu. Każdy z jego czterech tysięcy czterystu gramów napawa mnie ogromną dumą. Pierwsze tygodnie spędza, śpiąc na mojej piersi, a ja świata poza nim nie widzę. Żyjemy w pełnej symbiozie. Cyril od samego początku okazuje się bardzo troskliwym tatą. Jesteśmy w siódmym niebie i nie martwimy się o jutro.

Dzięki wytrwałości i determinacji udaje mi się wreszcie odzyskać dawną figurę i powoli zaczynam wracać do pracy. Najwyższy czas! Moje konto w banku zeszczuplało równie szybko jak ja. Mój wielki powrót do świata mody odbywa się w ramach pokazu Jeana Douceta w Plaza Athénée w Paryżu. Mam na sobie długą suknię z trenem, pod nią dopasowaną halkę, a na rękach dziecko. Niesamowicie się cieszę, że mogę wystąpić z Clyde'em na wybiegu. Czuję, jak rozpiera go duma z gromkich braw, jakimi nagradza nas publiczność.

Jean Doucet uczył się sztuki krawiectwa od najznamienitszych kreatorów mody haute couture i zawsze w pełni angażował się w to, co robił. Swój sukces zawdzięcza przede wszystkim ciężkiej pracy i wrodzonemu zamiłowaniu do posągowego piękna. Lubię jego kobiece stroje, ich lejący krój i ekskluzywne tkaniny. Jestem szczęśliwa, że mogę dla niego występować. Po etapie fascynacji Clyde'em z przyjemnością wracam do nocnego życia. Nasze nierozłączne trio — Ebyene, Katoucha i ja — odradza się, przypominają mi się dawne, dobre czasy. Zawsze chętnie na każdą imprezę, regularnie na zakończenie nocnej balangi lądujemy w przestronnym mieszkaniu Jeana Douceta, niedaleko Dworca Lyońskiego. Jego przemiły tato osobiście rano przynosi nam rogaliki. Po czym Jean spieszy do swojego atelier, a ja do domu, do pieluch.

Wtedy to pewien producent telewizyjny z Wybrzeża Kości Słoniowej składa mi propozycję zorganizowania w Abidżanie pokazu mody paryskiego projektanta. Od razu przychodzi mi na myśl Jean Doucet, bo jestem pewna, że jego ubrania spodobają się w Afryce Zachodniej. Skąd mogę wiedzieć, że jego wizja Afryki opiera się w głównie na *Tintinie w Kongo* i że kontynent ten napawa go totalnym przerażeniem?! Do ostatniej chwili myślimy, że zrezygnuje. W końcu, choć niechętnie, wyraża zgodę i leci do Afryki. Na miejscu spędza większość czasu w pokoju hotelowym, ograniczając swój jadłospis do chipsów kupionych na lotnisku i wody mineralnej. Dopiero w przeddzień wyjazdu, i to też niechętnie, wystawia nos na zewnątrz. Idzie na targ. I tam, zdumiony odkrywa, że mieszkańcy są bardzo przyjaźni, a atmosfera wspaniała. Jest tak zachwycony, że postanawia przedłużyć swój pobyt. Niedługo potem wróci. I ani się obejrzy, a afrykańskie pierwsze damy i wielkie gwiazdy będą nosiły jego stroje na balach i przyjęciach... Czarny Łąd stanie się jego drugim domem.

Kontrakt u Soni Rykiel przez trzy lata zapewnia mi regularne dochody. Projektantka zatrudnia tylko dwie lub trzy modelki studyjne. Docenia moją pracę i nie ma dla niej wielkiego znaczenia to, że nie jestem już gwiazdą u Saint Laurenta. Kreatorka mody o bujnej, rudej czuprynie, zwana przez modelki „Soso”, doskonale wie, czego chce. Jest punktualna i pracowita, a swoim stylem pracy zaraża wszystkich wokół, no i nie miewa humorów — rzecz w tym środowisku rzadko spotykana. Sonia pije od rana do wieczora hektolitry ciepłej wody — nie

herbaty ani nie ziółek — samej wody! Jak jakaś Chinka. Podobno to doskonale oczyszcza organizm...

Powrót do życia zawodowego otworzy przede mną nowe możliwości. Zostanę wybrana do udziału w konkursie „The Best Model of the World”, który ma odbyć się w Istambule. Organizatorzy pukają do drzwi wszystkich najszynniejszych agencji, chcąc zachęcić top modelki do uczestnictwa. Po mojej długiej nieobecności i utracie statusu u Saint Laurenta mogłabym się wszystkiego spodziewać, ale nie zwycięstwa. Wygrana w konkursie pozwala mi poznać najślawniejszego tureckiego projektanta, Yildirima Mayruka, zwanego „Saint Laurentem z Istambułu”, który poważnie przyczyni się do zaistnienia Turcji na arenie światowej mody. Odtąd co sezon zabiega on o to, abym prezentowała wyłącznie jego kolekcje. Odkrywam, jak bardzo turecka publiczność — żywiłowa i entuzjastyczna — różni się od kompletnie zblazowanego paryskiego światka mody. Gdy tylko ląduję w ojczyźnie Yildirima Mayruka, on serdecznie mnie do siebie zaprasza. Nazywa mnie swoją dziewczynką, swoją królową!...

Dla Lloyd Kleina pracowałam już w czasach u Saint Laurenta, ale dopiero teraz, na zakręcie mojego życia, zaczyna on odgrywać w nim istotną rolę. Lloyd jest wybitnie uzdolniony. Najpierw pracował jako projektant w szacownym domu mody Grès, po czym stworzył własną markę odzieżową. W Paryżu występuję na pokazach jego kolekcji. Współgramy ze sobą, co szybko przeradza się w przyjaźń, zwłaszcza że pracująca wraz z nim Gabrielle, jego matka, traktuje mnie dosłownie jak własną córkę. Zafascynowana moją historią, ona pierwsza podsuwa mi pomysł napisania o tym książki i wyjaśnia, co znaczy „murzyn” w przypadku pisarza!

Pewnego popołudnia Gabrielle zaprasza mnie na herbatę. Gawędzimy sobie miło, gdy nieoczekiwanie składa mi dziwną propozycję:

— Rebecco, myślę, że powinnaś się rozwieść i wyjść za Lloyd. Byłabyś dla niego świetną żoną, a dla mnie idealną synową. I jestem pewna, że dalibyście mi uroczę wnuki!

Wytrzeszczam na nią oczy:

— Proszę cię, Gabrielle! Przecież ja mam męża i dzieci...

— No to co? Wiem, że brak ci poczucia bezpieczeństwa.

— Nawet o tym nie myśl, Gabrielle.

Bierze mnie za rękę i patrzy głęboko w oczy.

— Twoje małżeństwo się wali. Związek z Cyrilem i tak nie przetrwa. A rozwód to jeszcze nie koniec świata...

Odrzucam jej propozycję, chociaż w głębi serca wiem, że nie myli się co do mojego małżeństwa.

Cyril faktycznie bardzo się zmienił. Chyba cierpi na syndrom Piotrusia Pana, bo przestał wychodzić z domu i zamyka się w sobie jak nastolatek, który boi się dorosnąć. Pod pretekstem, że dla niego pracuje, ojciec podarował mu komputer; Cyril spędza teraz przed nim całe dnie. Przeprowadziliśmy się do wygodniejszego mieszkania na ulicę Maubeuge. Ale nasze finanse osiągają prawie stan alarmowy! Wieczorem po pracy nie wracam już do domu z taką ochotą jak kiedyś. Wiem, że to nie może trwać wiecznie.

Rozwód

Często myślę o tym, co przepowiedziała mi Gabrielle. Moje małżeństwo się rozpada. Cyril całymi nocami przesiaduje przed komputerem, budzi się dopiero w południe. Snuje się po mieszkaniu jak zombie — w piżamie, zaniedbany, nieogolony. To ja muszę zarabiać na życie i zajmować się domem. Cyril uwielbia swojego syna — to trzeba przyznać. Kiedy wracam wieczorem, zastaję ich turlających się po dywanie i bawiących razem jak dwaj najlepsi kumple. Urocze. Ale nie jestem głupia i zdaję sobie sprawę, że mam teraz dwoje dzieci na głowie. Nasze rozmowy to dialogi głuchych:

— Cyril, proszę cię, zrób coś! Wyjdź, spotkaj się z kolegami!...

— Nie potrzebuję ich, wy mi wystarczacie.

— To przynajmniej się ogol i ubierz...

Wpada w złość, gdy proponuję, żeby poszedł do pracy. Sama dobrze zarabiam, ale Cyril zawsze znajdzie okazję, żeby oczernić środowisko, w którym się obracam i które on uważa za „zgniłe”. Sam nie zamierza zastanawiać się nad zmianą swojego stylu życia. Clyde właśnie zaczął chodzić do przedszkola i nasza codzienność toczy się teraz nowym rytmem. Przytłoczona posępną rutyną, w jakiej pograża się ojciec mojego dziecka, uciekam z domu, kiedy tylko mogę.

Dopóki zdjęcia top modelki ukazują się regularnie w prasie specjalistycznej i dopóki występuje ona na pokazach znanych projektantów, nawet pozbawiona korony, nadal króluje na salonach. Gdy tylko Clyde idzie spać, ja bawię na koktajlach i kolacjach, gdzie w rytm brzęku kieliszków odnajduję beztroskie życie, jakie prowadziłam przed narodzinami dziecka. Wracam nad ranem, budzę syna i przygotowuję go do przedszkola. Potem go odprowadzam, trzymając w dłoni jego małą rączkę i z przyjemnością słuchając radosnego szczebiotu. Ale brzemię robi się coraz cięższe do udźwignięcia.

Efekt jest łatwy do przewidzenia. Kiedy Pamela, moja znajoma z Mauritiusa, ówczesna narzeczona Jeana-Hugues’a Anglade’a, przedstawia mi Serge’a Khalifę — przystojnego, trochę ponurego młodzieńca — zakochujemy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Serge współpracuje z Francisem Lalanne’em jako inżynier dźwięku i muzyk. Początkowo — nękana poczuciem winy — staram się dochować wierności Cyrilowi. Ale ogień mojej namiętności wygasł ostatecznie wobec obrazu nędzy i rozpacz, jaki Cyril sobą przedstawia. Chciałabym, żeby coś zrobił! Niech mnie zaskoczy, niech nawet będę o niego zazdrosna. Ale niestety Cyril doszedł do punktu, z którego nie ma już powrotu. Tymczasem Serge, ze swoim ognistym spojrzeniem i słodkimi słówkami, gorliwie się do mnie zaleca. Próbuje się opierać — na próżno. Daję się uwieść.

Sytuacja w domu stale się pogarsza. Cyril marzy, żebyśmy została kurą domową i się nim zajmowała. W końcu w trakcie którejś kłótni przegina: uderza mnie i wyzywa. Przekracza czerwoną linię. Miłość może wszystko wybaczyć z wyjątkiem przemocy. Natychmiast wraca wspomnienie mojego udręczonego dzieciństwa i rana znów się otwiera. Składam na niego skargę, którą wycofam dopiero, gdy mnie przeprosi.

Cyril wybiera się na dwa tygodnie do Nowego Jorku. Ogromnie się cieszę, bo dzieje się to w odpowiednim momencie. Podczas jego nieobecności, po tygodniach bezskutecznego oporu, padam w ramiona Serge’a. Tak bardzo potrzebowałam zwrócić znów na siebie uwagę mężczyzny i wzbudzić jego pożądanie. Przygoda ta, choć potajemna, podnosi mnie na duchu. Stopniowo przywraca mi nadzieję i zaczynam patrzeć na życie z jaśniejszej strony. Gdy Cyril wraca z Nowego Jorku, nie mogę znieść jego dotyku. Brzydzę się go. Nigdy nie potrafiłam być z dwoma mężczyznami jednocześnie.

Cyril, wciśnięty w fotel, odmawia jedzenia i nawet przestał się myć. Nie wytrzymuję.

— Cyril, musimy porozmawiać — oświadczam.

— O czym?

— Wynajmę kawalerkę. Nie mogę tak dłużej żyć.

— Rebecca, my się nie rozstajemy. To tylko chwilowe, to minie...

— Żyjemy w piekle, i ty, i ja, a nawet Clyde. Myślisz, że on nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje?...

— Czego ty właściwie chcesz? Garsoniery, żeby przyjmować w niej kochanków?

— Na pewno nie. Nie chcę już dłużej żyć w kłamstwie.

Rzucam Cyrila. Na tej samej ulicy — żeby nie zmieniać przedszkola — wynajmuję mieszkanie, tańsze, ale wystarczająco duże dla mnie i dla Clyde'a. Cyril przeprowadza się do kawalerki niedaleko od nas. Codziennie o wpół do piątej odbiera Clyde'a z przedszkola. Choć jako mąż nie stanął na wysokości zadania, tatą jest troskliwym i całkowicie oddanym swojemu synowi. Clyde boleśnie przeżywa nasze rozstanie. Nie potrafi jeszcze wyrazić tego słowami, ale w jego oczach i na twarzy maluje się cierpienie. Łzy, płynące po jego policzkach, gdy zostawiam go u ojca, łamią mi serce. Domyślam się, że Cyril ma nadzieję, iż cierpienie Clyde'a przekona mnie do powrotu. Ale ja wiem, że to niemożliwe. Clyde znika za drzwiami, a Cyril, stojąc w progu, patrzy na mnie zakochanym wzrokiem i szepcze:

— Wiem, że kiedyś wrócisz...

Jak to zawsze bywa po rozstaniu, zmienia się nasze życie. Clyde spędza co drugi weekend z ojcem. Gdy mnie absorbuje kolekcja, zajmuje się nim opiekunka. A weekendy spędzamy u Serge'a.

Świadoma tego, że sprawy mogą przybrać obrót szybszy, niż sędzę, coraz częściej zastanawiam się nad swoją przyszłością po zakończeniu kariery w modelingu. Mam koleżanki, które zajęły się pracą w świecie mody albo w branży kosmetycznej, inne kupiły mieszkanie. Ja zadawałam się życiem z dnia na dzień — jak w Afryce. Tylko jeden krok naraz, potem się zobaczy, „Bóg jest wielki!”, jak to się u nas mawia. Nie potrafię przewidywać, planować. Ludzie, którzy przychodzą na świat w biednej rodzinie, nie są nauczeni takiego myślenia.

Tym boleśniesz jest ich upadek...

Kidnaping

Pokazy w Afryce i obecność czarnoskórych projektantów na paryskiej scenie mody uświadomiły mi wartość mojej kultury. W młodości byłam przekonana, że ludzie o czarnej skórze są dziećmi Chama, syna Noego, o którym powiedziane jest w Biblii, że został przeklęty przez ojca, a jego potomstwo skazane, by zawsze komuś służyć. Zresztą złowrogiemu diabłu z kościoła mojego dzieciństwa też nadano murzyńskie rysy twarzy. Mimo że nie zostałam aktywną działaczką na rzecz czarnych, afrykańska mentalność ukształtowała moje postrzeganie świata. Dlatego też decydując się na otworzenie własnej firmy, skłoniłam się ku biżuterii etnicznej.

Już jako dziecko miałam przebite uszy, a wokół pasa nosiłam z pół tuzina rzemyków z nawleczonymi paciorkami. W 1994 roku, w czasach, gdy nikt tego jeszcze nie robił, wpadłam na pomysł przystosowania afrykańskich ozdób do potrzeb paryskiej mody. Zwróciłam się więc do artystów z Togo, znanych z wybitnych umiejętności. W moim rodzinnym kraju znaleźć można przepiękne paciorki, niekiedy bardzo stare. Nadeszła chwila, abym stworzyła własny projekt, łącząc dwa światy: północ i południe.

Afrykańska biżuteria nadal stanowi rzadkość w Paryżu. Tylko u kilku handlarzy starzyzną można jeszcze dostać stare paciorki, millefiori z grubego szkła, wykonane w Wenecji, które służyły za środek wymiany w niesławnym handlu niewolnikami. Od dziesięcioleci nasi rzemieślnicy imitują je i wymyślają nowe, tworząc genialną mieszankę stylów. Przede mną dużo pracy: chcę przywieźć z Togo koraliki oraz surowce i połączyć je z materiałami kupionymi w Paryżu. Przyjaciele z entuzjazmem odnoszą się do mojego pomysłu, przekonani, że na pewno wzbudzę zainteresowanie. Liczę, że moje rozległe znajomości otworzą mi drzwi do sukcesu. Podekscytowana jak dziecko przygotowuję się do powrotu do źródeł.

Wyprawa zakończyła się powodzeniem. Mogłam przyjrzeć się z bliska pracy togijskich artystów i przywozłam mnóstwo ślicznych koralików. Po całonocnej podróży samolotem wracam do domu wczesnym rankiem z walizkami pełnymi skarbów. Uzgodniłam z Cyrilem, że w przeddzień mojego powrotu Clyde będzie spał u mnie pod opieką ojca. Wyobrażam sobie, jak się ucieszy, gdy mama obudzi go rano do przedszkola. Clyde ma już cztery lata.

Otwieram cicho drzwi. Rozsunięte zasłony w salonie. Kierowana złym przecuciem ze ściśniętym gardłem idę do pokoju. Puste łóżko, nawet nierozścielone. Parę dziecięcych ubranek ponieważ się po podłodze, jak gdyby wypadły z szuflady. Ściany wokół mnie zaczynają wirować. Biegam z jednego pomieszczenia do drugiego, ale nikogo nie ma. W widocznym miejscu na stoliku w salonie leży list. Litery skaczą mi przed oczami jak szalone. Biorę głęboki oddech i czytam:

Rebecca, mam dosyć tej separacji, której nie chciałem, w przeciwieństwie do Ciebie. Zniszczyłaś naszą miłość, bo uparłaś się wrócić do Francji. Postanowiłem wyjechać do Stanów, gdzie od dzieciństwa byłem szczęśliwy. W Nowym Jorku nasz syn został poczęty i tam też będzie dorastał. Będzie miał lepsze życie niż to, które każesz nam wieść w Paryżu. Czekamy na Ciebie, zaczniemy wszystko od nowa. Odbudujemy szczęście, które zburzyłaś, bo wolałaś swojego kochanka i swoją żalostną karierę w skorumpowanym świecie mody.

Mój krzyk musiało chyba słyszeć pół miasta. Jestem zdruzgotana. Mój syn zniknął!

Idę do Évelyne — modelki i Miss Reunionu — z którą bardzo się przyjaźnię. Podczas mojej nieobecności miała codziennie dowiadywać się o Clyde'a. Évelyne próbuje mnie uspokajać. Twierdzi, że Cyril był u niej przed wyjazdem i podobno pojechali tylko na wakacje. Kiedy jednak wręczam jej list, Évelyne pojmuję, że jego treść nie ma nic wspólnego z deklaracjami Cyrila. Dzwonię pod numer podany w liście. W słuchawce odzywa się obcy

mężczyzna i potwierdza, że Cyril i Clyde spędzili u niego trochę czasu, ale wyjechali. Błagam, żeby zrobił co w jego mocy, aby ich odnaleźć.

Początkowo Cyril nie daje znaku życia. Pewnie myśli, że zadając mi ból, zmusi mnie do przyjęcia jego warunków. Gdy wreszcie dzwoni, daje mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru wracać do Francji. Krzyczę do słuchawki, a Cyril próbuje zrzucić na mnie winę za całą sytuację:

— To wszystko przez ciebie!

Daje Clyde'a do telefonu. Nie mogę powstrzymać łez, słysząc jego głosik:

— Mamo, tęsknię za tobą i jest mi zimno!

Najpierw zwracam się o pomoc do rodziców Cyrila; daremnie, więc decyduję się iść na policję. Z lokalnego posterunku zostaję skierowana do Wydziału do spraw Nieletnich na bulwarze Gesvres, dwa kroki od placu Châtelet. Tam każą mi czekać, ale czekanie wydaje mi się bez sensu.

— Moje dziecko zostało porwane! — wrzeszczę.

Jakaś policjantka lituje się w końcu nade mną.

Siadam przed inspektorem, głos mi się łamie, szlocham. Ktoś podaje mi szklanekę wody.

Powtarzam jak mantrę, która odbija się echem po wszystkich biurach:

— Moje dziecko zostało porwane!

— Jak to się stało? Skąd to pani wie?

Opowiadam o ciszy w mieszkaniu, pustym łóżku, pootwieranych szufladach...

— Dzwoniła pani do jego ojca?

— Oczywiście! Proszę, tu jest list.

W pośpiechu opróżniam torebkę przed niewzruszonym policjantem: koraliki, szminka, zdjęcia, dokumenty, chusteczki... Podaję mu list; czyta go uważnie.

— Kim jest ten mężczyzna?

— Jego ojcem!

— No tak, to rozumiem. Pytam: w stosunku do pani?

— Moim mężem, ale się rozstaliśmy.

— Czy rozwiedliście się zgodnie z prawem?

— Jeszcze nie, sprawa jest w toku, jednak nie mieszkamy już razem.

— Czy syn nosi jego nazwisko? Czy oboje mają francuskie obywatelstwo?

— Tak, tak, oczywiście.

— Wobec tego w świetle prawa jego ojciec działa całkowicie legalnie...

— Przecież on porwał moje dziecko!

— Na razie pan Cyril A... działa zgodnie z prawem: jest nadal pani mężem, Francuzem i ojcem dziecka urodzonego na terytorium Francji.

— Ale on zabrał mojego syna!

— Tak, proszę pani, nie przeczę. Tyle że z prawnego punktu widzenia Clyde jest także jego dzieckiem. Nie mamy więc do czynienia z porwaniem. Przykro mi, ale nie możemy nic zrobić.

Policjant w mundurze odprowadza mnie do samych drzwi. Na zewnątrz moim oczom ukazuje się krajobraz po apokalipsie: Paryż, który jeszcze wczoraj uważałam za najpiękniejsze miasto na świecie, teraz zmienił się w przerażającego potwora. Zdaje mi się, że mury wyją, a Sekwana splywa czerwienią. A gdybym się do niej rzuciła? Lepiej umrzeć, niż żyć bez Clyde'a. Robi mi się ciemno przed oczami. Słabo mi.

„Weź się w garść, Rebecca! Nie chcesz chyba tak umrzeć? Twojemu synowi jest zimno, musisz go najpierw odnaleźć i upewnić się, że nic mu się nie stało!”

Muszę się trzymać. Teraz liczy się tylko jedno: odnaleźć Clyde'a.

Za każdym razem, gdy rozmawiamy przez telefon, Clyde pyta:

— Mamo, kiedy przyjedziesz?

Zainwestowałam wszystkie swoje oszczędności w butik, jednocześnie ograniczając w znacznym stopniu pracę w modelingu. Nie muszę chyba dodawać, że na Cyrila nie mam co liczyć; mimo zapewnień o swojej miłości nie wysłał mi przecież pieniędzy na bilet. Od kiedy przestałam go utrzymywać, znowu żyje na koszt rodziców. Tymczasem życie w Nowym Jorku jest droższe niż w Paryżu, tym bardziej dla obcokrajowca z małym dzieckiem.

Staram się zebrać odpowiednią sumę na podróż, zwłaszcza że zapowiada się długi wyjazd, i jednocześnie zapewnić sobie możliwość opłacania czynszu za paryskie mieszkanie, w którym zamieszkałam z Clyde'em po powrocie. Ani przez chwilę nie wątpię, że uda mi się sprowadzić go do Francji. Niepokój doprowadza mnie do szaleństwa i jedynie perspektywa naszego spotkania dodaje mi sił. Staram się być zawsze uśmiechnięta i pokazywać się z jak najlepszej strony, podczas gdy moje życie osobiste ulega całkowitemu rozpadowi. Kto by się domyślił, widząc mnie na wybiegu, jak straszny ból przenika mnie z każdym krokiem? Butik i pokazy dają mi zarobić. Stałam się jedną wielką skarbonką, która chce się wypełnić pieniędzmi. Nareszcie! Mogę lecieć do Nowego Jorku.

Cyril przychodzi po mnie na lotnisko. Towarzyszy mu Clyde; trzyma w dłoniach wielki bukiet kwiatów, za którym chowa twarz. Jak on urósł! Przytulam go, ściskam, całuję... Do jego ojca prawie się nie odzywam, czuję do niego już tylko pogardę. Na kwiaty ledwo zwracam uwagę. Chcę wykorzystać każdą chwilę z Clyde'em, aby nadrobić stracony czas. Ani myślę pracować — teraz liczymy się tylko my dwoje. Od chwili swojego przymusowego wyjazdu Clyde stał się małym Amerykaninem, zmężniał, Cyril przygląda się nam wniebowzięty. Chyba nic nie rozumie.

— Teraz już wrócisz, Rebecco. Wszystko będzie dobrze...

Już nawet nie jestem w stanie mu odpowiadać.

— Wszystko zaplanowałam. Mam na oku robotę i ty też na pewno szybko znajdziesz pracę w Nowym Jorku.

— Chyba śnisz! Moje życie jest w Paryżu.

Cyril się nie poddaje. Po co obmyśla taki kiepski plan i magluje go w kółko co wieczór? Mam go serdecznie dosyć.

— Rebecco, sama mówisz, że spędzasz cały czas w pracy, pokazy albo butik, i że wracasz do domu tylko po to, żeby się wyspać.

— Tak, ale z tym już koniec. Musiałam przecież jakoś zarobić pieniądze, żeby tu przyjechać, skoro porwałś Clyde'a...

— Powiedzmy... Ale będziesz musiała regularnie jeździć do Afryki po koraliki. A zanim twój biznes się rozkręci, dniami i nocami występować na pokazach, jak zwykle zresztą, prawda? Uważasz, że to są odpowiednie warunki życia dla małego chłopca? Tutaj będzie mógł dorastać w spokoju.

W gruncie rzeczy Cyril ma rację. Clyde chodzi do szkoły, poznał tu przyjaciół. Nie mogę odrywać go od jego nowego życia. Jeżeli zostanę w Nowym Jorku, zjadliwe kłótnie z jego ojcem zmienią się wkrótce w regularną bitwę, z której nikt nie wyjdzie cało, a najbardziej ucierpi Clyde. Nasze ciągle awantury pogłębią jego udrękę, na co ja, jako matka, nie mogę pozwolić. Zgadzam się wrócić sama do Francji, zająć się rozkręceniem interesu, a dopiero potem wrócić po Clyde'a. Cyril uśmiecha się uradowany:

— Dobrze. Będę na ciebie czekał...

Chcąc nie chcąc, wycofuję się z ciężkim sercem. Wyruszam w drogę powrotną ze łzami w oczach.

Moje życie bez Clyde'a

Moje życie toczy się dalej swoim niezmiennym rytmem. W dzień praca, nocą — impreza. Gdy dopada mnie chandra, Katoucha i Ebyene podnoszą mnie na duchu. Mam też Serge'a, który mnie wspiera. Praca pochłania mnie całkowicie i pozwala mi nie myśleć za dużo o Clyde'zie.

Karina, była modelka, znalazła mi lokal do wynajęcia na placu Palais-Royal, w samym sercu Paryża. Staromodny, duży — naprawdę magiczne miejsce. Właściciel, który smali do mnie cholewki, zapewnia, że mogę nie płacić czynszu dopóty, dopóki interes nie zacznie przynosić odpowiednich dochodów. Na szyldzie mojego butiku widnieje napis „Świat Rebecki”. Nawlekam koraliki, łącząc je z innymi tworzywami. Rezultat chyba się podoba, bo zlecenia zaczynają napływać. Pozostały czas poświęcam pracy u różnych projektantów, zgodnie z kalendarzem kolekcji. To pozwala mi zarobić pieniądze, które jednak od razu inwestuję w butik. Czy uda mi się zaoszczędzić tyle, żeby zapewnić Clyde'owi życie w Paryżu?

Urodziny Katouchy przypadają na początku zimy. Dzwonię do niej i nucę do słuchawki: *Happy birthday to you!*

— To co? Gdzie w tym roku świętujemy? W Le Palace? W Les Bains Douches? A może u ciebie? U ciebie jest tak ładnie...

— W tym roku nie robię imprezy — odpowiada Katoucha. — Nie mam ochoty.

— Szkoda! Przygotowałam już sobie śliczną sukienkę i piękny prezent dla ciebie...

— Dasz mi go innym razem.

Jej reakcja mnie zaskakuje. Katoucha — niepoprawna imprezowiczka — obchodzi wszelkie możliwe urodziny, a zwłaszcza własne. Wciągnięta w wir codzienności, nie przywiązuję jednak do tego większej wagi. Tego samego wieczoru Serge prowokuje kłótnię i wściekły wychodzi z domu, trzaskając drzwiami. Cóż, takie rzeczy zdarzają się w związkach, szybko więc zapominam o naszej sprzeczce. Jestem wtedy za bardzo pochłonięta przygotowaniami do kolejnej podróży do Togo.

Po zakończonej wyprawie idziemy do Les Bains Douches świętować mój powrót do Paryża razem z Serge'em, Katouchą i Coentinem, znajomym stylistą biżuterii u Cartier. Ostatniego drinka postanawiamy wypić w mieszkaniu Katouchy, bajecznym apartamencie na bulwarze Pereire. Serge prowadzi samochód, ja siedzę obok. Z tyłu pokrzykuje Coentin:

— No, no! Ty to masz szczęście, Serge, draniu jeden! Udało ci się zaparkować w tym samym miejscu, co na urodzinach Katouchy!

Wymieniamy spojrzenia. Wołę nie wiedzieć, o co chodzi. Zmrozeni lodowatą ciszą, jaka zapadła w samochodzie, wchodzimy do budynku. Coentin, który dopiero po czasie zdał sobie sprawę, jak ogromną gafę popełnił, wchodzi po schodach z równie zakłopotanym Serge'em. Katoucha i ja jedziemy windą, przyglądając się sobie nawzajem:

— Więc jednak obchodziłaś urodziny? I Serge poszedł beze mnie!

— Rebecca, posłuchaj. Przyjaźnimy się od czternastu lat. Zanim coś postanowisz, dobrze się zastanów...

Jestem zdruzgotana. W mieszkaniu padam na pierwszy lepszy fotel, a oni opowiadają mi pobieżnie całą historię: Katoucha zorganizowała wielką imprezę urodzinową, na którą zaprosiła wszystkie zaprzyjaźnione modelki i wielu naszych wspólnych znajomych. Dlaczego więc mnie nie? Wychodzimy szybko od Katouchy i Serge — wypił jeszcze jednego kielicha dla kurażu — w końcu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wyznaje mi prawdę:

— Gdy zapytałem Katouchy, co chciałaby dostać na urodziny, odpowiedziała: „Najlepszym prezentem, jaki możesz mi zrobić, to przyjsć bez Rebecki”. Jak miałem się

zachować?

— Odmówić, rzecz jasna! Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

Stało się najgorsze. Serge spał z moją najlepszą przyjaciółką. Ich romans zaczął się jeszcze przed moim wyjazdem do Togo i trwał przed cały czas mojej nieobecności. Koleżanki opowiedzą mi później, że podczas imprezy urodzinowej próbowały się dowiedzieć, dlaczego mnie nie ma. A Katoucha odpowiadała: „Idź, zapytaj się jej faceta, jest tutaj”.

I znowu Katoucha zajmuje moje miejsce u boku mężczyzny, na którym mi zależy. Najpierw Yves Saint Laurent. Teraz Serge. Jak mogłam nie dostrzec wcześniej tej ciemnej strony jej osobowości? Musiała przecież zdawać sobie sprawę, że jej przelotny związek z Serge’em okrutnie mnie zrani. Katoucha, moja przyjaciółka i powiernica, ta, która powtarza mi bez przerwy, że jestem jej drugą połową, że mnie potrzebuje... Dobrze wie, że od czasu rozłąki z Clyde’em przechodzę trudny okres. I że Serge był wówczas moją jedyną deską ratunku. Zadała mi śmiertelny cios w momencie, gdy próbowałam się ratować, utrzymać na powierzchni. Celny strzał, trafiony zatopiony.

Katoucha zabierze swoje tajemnice ze sobą do grobu. Przez te wszystkie nasze wspólne lata nigdy tak naprawdę mi się nie zwierzyła. Po zakończonej karierze w świecie mody założyła fundację na rzecz walki z klitoridektomią, obrzezaniem żeńskich narządów płciowych, któremu sama została poddana w dzieciństwie. Wówczas zdałam sobie sprawę, że złożona osobowość Katouchy, jej autodestrukcyjne zachowania — niekiedy wywierające również szkodliwy wpływ na otoczenie — wynikały z urazu, jakiego doznała w pierwszych latach życia. Odarto ją z części jej samej. Dopiero gdy zdałam sobie sprawę z jej podwójnej osobowości, mogłam jej wybaczyć. Była charyzmatyczną młodą kobietą, ambitną i jednocześnie wielkoduszną. Jej bezgraniczna dobroć wynikała ze strachu przed samotnością. Gdy tylko ktoś wprasał się do niej, od razu dostawał klucz do mieszkania. Wszelcy dzicy lokatorzy mieli u niej zapewnione zakwaterowanie, wikt i opierunek. Gdy była zmuszona z pomocą osiłków pozbyć się tych pasożytów, zaraz pojawiali się następni. Często przemiała, potrafiła też być naprawdę wredna, bo zawsze chciała być pępkiem świata. Czyżbym mimowolnie przyćmiewała jej blask? Nie ulega wątpliwości, że zawsze starała się iść w moje ślady: gdy ja pracowałam dla Gianfranca Ferrégo, ona również chciała występować na jego pokazach; gdy moje zdjęcia ukazały się w „Elle”, jej też zależało na sesji dla czasopisma; i musiała dostać się do domu mody Yves Saint Laurent właśnie wtedy, gdy ja przeżywałam tam chwile sławy... Za każdym razem pomagałam jej i ją wspierałam, nie zważając na cenę, jaką przyjdzie mi za to zapłacić.

Po tym jak zadała śmiertelny cios mojemu związkowi z Serge’em, nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Wiele lat później, zimą 2008 roku, zadzwoni do mnie Ebyene — jedna z naszej nierozłącznej trójcy, jaką tworzyłyśmy z Katouchą — i da mi kogoś do telefonu:

— Wiesz, kto mówi?

— No pewnie, od razu cię poznałam!

— Rebecca, musimy się spotkać, musimy porozmawiać... Muszę koniecznie z tobą pomówić!

Właśnie wybierałam się do Genewy, więc obiecuję Katouchy, że skontaktuję się z nią, gdy wrócę. Ale po powrocie do Paryża, dziesięć dni później, znajduję wiadomość od Moutougne, jednej z jej przyjaciółek: Katoucha nie żyje. Utopiła się w Sekwanie. Niech jej ziemia lekka będzie...

Coraz rzadziej docierają do mnie wieści ze Stanów Zjednoczonych. Cyril nieustannie się przeprowadza i nie uważa za stosowne informować mnie, gdzie się zatrzymuje. Coraz trudniej jest mi go namierzyć, żeby móc porozmawiać przez telefon z Clyde’em. Między jedną rozmową a drugą staram się jakoś przetrwać. Próbuję zarobić trochę pieniędzy, ale nie mam już do tego

serca. W ciągu kilku miesięcy straciłam syna, kochanka i najlepszą przyjaciółkę. Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna. Budzę się rano sparaliżowana straszliwym lękiem. Mijają dwa lata od czasu, gdy widziałam Clyde'a po raz ostatni. Cyril nie odpowiada na moje listy, nie reaguje na telefony, jego rodzice milczą. Utrudnia mi się kontakt z dzieckiem. Znowu muszę polecieć do Nowego Jorku — z nadzieją na odnalezienie syna.

W pośpiechu wypowiedziałam umowę najmu butiku i mieszkania. Ledwo wystarcza mi na to, by wiązać koniec z końcem. Otrzymuję wizę na pięć lat, co pozwoli mi zostać w Nowym Jorku tak długo, jak będzie to konieczne. Jeszcze przed wyjazdem uruchamiam wszystkie moje znajomości w USA, prosząc o pomoc w zlokalizowaniu Cyrila i Clyde'a. Po przybyciu na miejsce przemierzam Manhattan wzdłuż i wszerz z nadzieją na spotkanie ich w miejscach, do których kiedyś razem chodziliśmy. Ale nie mam pojęcia, czy nadal są w Nowym Jorku. A że nie mogę przeczesać całych Stanów Zjednoczonych, za radą Régisa Pagneza i Julii, francuskiej modelki mieszkającej w Nowym Jorku, decyduję się zatrudnić prywatnego detektywa, Steve'a; jest byłym policjantem i zna się na tego typu sprawach. Ma w sobie coś z gliny i coś z bandziora, i idealnie nadaje się do tego zadania. Namawia mnie do złożenia na policji doniesienia o porwaniu. Z satysfakcją stwierdzam, że przynajmniej amerykańska policja traktuje tę historię jako kidnaping. Wygląda na to, że Cyrilowi udaje się skutecznie zacierać za sobą ślady. Gdy dowiaduje się, że korzystam z usług detektywa, natychmiast gorączkowo się przeprowadza.

Powoli kończą mi się oszczędności, nie mogę pozwolić sobie na bezczynność. W Downtown znajduję agencję modelek, ale zupełnie nie mam głowy do występowania na wybiegu. Nie potrafię uśmiechać się na dany znak, udawać, że wszystko w porządku. Bezsenne noce poczyniły spustoszenia na mojej twarzy: cienie wokół oczu i zmęczona, szara cera, bo w dodatku prawie nic nie jem. Mieszkam u Julii, na trzydziestym drugim piętrze wieżowca, gdzie spędzam noce na czatach, bacznie obserwując ulice i okna okolicznych drapaczy chmur — a nuż dojrzę mojego syna? W ciągu dnia robię obchód po skwerach. Siadam na ławce przy placu zabaw i obserwuję dzieci, bo może akurat... Za każdym razem, gdy dostrzegam sylwetkę małego Mulata w jego wieku, biegnę z nadzieją, że to Clyde. W takich chwilach, na samym dnie rozpacz, zrozumie kobiety, które posuwają się do kradzieży cudzych dzieci, aby zapewnić sobie substytut macierzyństwa. Rozczarowanie jest bardzo bolesne. Mijając kobiety w ciąży, czuję skurcze w dole brzucha. Przyłapuję się na tym, że rzucam pożądliwe spojrzenia w kierunku dziecięcych wózków. Czasem mam wrażenie, że zostałam przeklęta: moje macierzyństwo zawsze kończy się cierpieniem.

Steve radzi mi zapisać się do grupy wsparcia dla rodziców uprowadzonych dzieci. Na spotkaniach Kidnapping of Children poznaję towarzyszy niedoli. W USA dziecko porywa przeważnie współmałżonek, znacznie rzadziej ktoś obcy. Podczas terapii grupowej płaczem i krzykiem dajemy upust rozpacz, uwalniamy nasze lęki. Detektyw Steve wpada w końcu na trop Cyrila, który zdążył objechać całe Zachodnie Wybrzeże, wciąż przeprowadzając się z jednego miasta do drugiego. Steve powiadamia FBI i informuje o tym adwokata Cyrila. Ale Cyril ucieka. Biegnie z Clyde'em na lotnisko, bez bagażu, ma tylko bilet wysłany mu wcześniej przez rodziców. Cyril i Clyde opuszczają Stany Zjednoczone.

Jestem zdruzgotana. Czuję, jakbym przez tych parę miesięcy straciła kilka lat życia, zdrowie i równowagę psychiczną. Po czterech latach jego tułaczki odnajdę wreszcie syna w Ferney-Voltaire, u teściów. Długo będziemy płakać, spleceni w uścisku. Cyril naopowiadał o mnie rodzicom różnych okropności i oni mnie znienawidzili. Uważają, że jestem złą, nieodpowiedzialną matką, nimfomanką, kobietą lekkich obyczajów... Wtedy jeszcze nie wiem, że mogę domagać się swoich praw jako matka, mimo że nie jestem Francuzką. Wydaje mi się, że Cyril i jego rodzice mają święte prawo zatrzymać Clyde'a u siebie. Kursuję więc między

Paryżem a Ferney-Voltaire. Gdy się spotykamy, Clyde chce spać razem ze mną, jakby pragnął nadrobić stracony czas. Leżymy przytuleni do siebie jak dwaj rozbitkowie.

Dopiero jakiś czas później pomyślę o skorzystaniu z usług adwokata. Po długiej procedurze i niekończących się dyskusjach ustalamy podział opieki nad Clyde'em między mnie a Cyrila. Sytuacja wreszcie się stabilizuje. Mój syn ma wtedy osiem lat, ale rozstrojony latami tułaczki i cierpień, wciąż jeszcze robi siusiu do łóżka.

Słońce Buddha Baru

Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych odkrywam brutalną prawdę: moja kariera w modzie jest już ewidentnie za mną. Postanawiam odnowić nieliczne znajomości, jakie mi jeszcze pozostały, zanim los ostatecznie się ode mnie odwróci. W czasach, gdy byłam gwiazdą u Saint Laurenta, spotykałam się często z niejednym księciem paryskich nocy. Choćby z Raymondem Visanem, człowiekiem o niezwykłym zmyśle przedsiębiorczości. To on w klubie Barfly pierwszy zatrudnił didżeja w restauracji. Każdy lokal, w który zainwestuje, momentalnie zaczyna prosperować. Dawno go już nie widziałam, ale postanawiam spróbować szczęścia. Dzwonię do niego z Nicei, gdzie spędzam lato u Hélène. Umawiamy się, że po wakacjach spotkamy się w Barrio Latino, klubie, który kupił niedawno. Nie wiem, co właściwie mogłabym mu zaoferować, ale czuję, że muszę postawić wszystko na jedną kartę.

Siedząc na stołku barowym, Raymond Visan z szerokim uśmiechem mi się przygląda.

— Myślę, że byś do nas pasowała...

— I ja tak myślę.

— Raczej nie w Barrio, ale w Buddha Barze, czemu nie? Znasz języki obce, wszyscy cię kojarzą, masz wygląd, a i tupetu ci nie brakuje!

Buddha Bar to obowiązkowe miejsce spotkań paryskiej socjety i światka mody, bar i restauracja w jednym. Ma idealną lokalizację, dwa kroki od placu Concorde. Wnętrze urządzono w stylu azjatyckim, a nad wszystkim góruje wielki brzuchaty Budda, przypominający wyglądem samego gospodarza.

Umowa stoi. W zastępstwie Jeana-Yves'a Lacombe'a, wspólnika Visana, zajmę się public relations. Lacombe reprezentował takie lokale, jak paryski Club Sept — gdzie bywał sam Yves Saint Laurent — i nowojorski La Vie en Rose, we współpracy z Grace Jones. Otwiera właśnie nową restaurację i nie może dłużej piastować swojej funkcji, ale przeszkoli mnie do nowych zadań. Nie mogę się doczekać, żeby skorzystać z tej nieoczekiwanej okazji do zrobienia nowej kariery. Szybko się uczę i nie potrzeba mi żadnych notatek. Co wieczór przyjmuję gości ubrana w suknię haute couture, zupełnie jak na wybiegu!

Dostaję przydomek Słońce Buddha Baru. Nawiązuję kontakty, organizuję koncerty, urządzam imprezy, wyprawiam bankiety... Ku mojej wielkiej radości płacą mi też za bywanie w towarzystwie. Chodzę na ważne wernisaże, koktajle, do modnych klubów nocnych. Wszędzie, gdzie się pojawiaam, zachwalam Buddha Bar i rozdaję wizytówki na prawo i lewo. Poczta pantoflowa działa cuda. Moja przyjaciółka Maria Schneider — aktorka, która wystąpiła w filmie *Ostatnie tango w Paryżu* — udostępnia mi swoją imponującą listę kontaktów z branży kinowej. Co wieczór w Buddha Barze licznie gromadzą się elity towarzyskie: ministrowie, biznesmeni, dawne głowy państwa przeplatają się z gwiazdami show-biznesu, mody i sportu. W ciągu jednego tygodnia pojawiają się: Tina Turner, Jean Dujardin, Samuel Le Bihan, Fabien Barthez, Naomi Campbell, Claudia Schiffer, Tonton David, siostry Williams, Jacques Villeret, François Léotard, Will Smith, Morgan Freeman, Thierry Henri, Beyoncé i wielu, wielu innych.

W Buddha Barze każdy dzień jest nowym wyzwaniem. Im większy sukces odnosi nasz lokal, tym więcej przybywa mi obowiązków. W pracy korzystam ze swoich wcześniejszych doświadczeń: w USA przyswoiłam sobie amerykańskie metody działania — skutecznie i szybko; w Japonii nauczyłam się dyscypliny i szacunku dla pracy innych; we Włoszech — wykorzystywania swoich umiejętności nawet wtedy, gdy wokół panuje rozgardiasz... U Saint Laurenta nauczyłam się podnosić sobie nieustannie poprzeczkę: nic nie jest nigdy tak dobre, żeby nie mogło być jeszcze lepsze. Jutro trzeba zrobić krok dalej.

Znowu otacza mnie wianuszek mężczyzn, stałych bywalców paryskich salonów i przypadkowych nieznanymi. Widocznie musiałam opuścić świat mody haute couture, żeby odkryć życie seksualne w całym jego bogactwie i kreatywności. Ale nigdy nie oddzielałam miłości fizycznej od uczuć; akt seksualny, w którym brak dreszczu emocji i podniecenia, jest dla mnie zawsze jakąś formą przemocy. W swoim życiu poznałam różnych pasjonatów, seksualnych sportowców i wirtuozów erotyzmu, ale też obsesjonatów, fetyszystów i osobników na wskroś zepsutych i zdeprawowanych... Iluż to polityków — z pozoru szacownych i kulturalnych panów — okazuje się prawdziwymi satyrami! Zniewoleni seksem, gotowi są uprawiać go w dowolnych momentach dnia i nocy, w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. To może niekiedy ekscytować, ale z czasem robi się naprawdę męczące. Życie jako nieustająca orgia — nawet w tak urokliwym miejscu, jak jacht czy luksusowy hotel — to nie dla mnie. Akt seksualny polega przede wszystkim na dzieleniu się, na wspólnym tworzeniu. Egoizm zaś sprowadza się do bezsensownej masturbacji we dwoje. Dlatego też preferuję dżentelmenów, którzy dokładają na tym polu wszelkich starań, tak jak Manu, mój ówczesny partner.

Mężczyznom potrzeba potwierdzenia własnej męskości. Mają na to wpływ zarówno ich pozycja społeczna, jak i sukces finansowy — im większe, tym lepiej także dla kobiet. Wybieram mężczyzn z pełną świadomością tego faktu, chociaż oczywiście pozwalam im wierzyć, że to oni podejmują decyzje. Jestem jak lwica, która zanim rzuci się na swoją ofiarę, wdzięczy się i umizguje niczym spłoszona łania. Mimo to jakaś część mnie pragnie być zdominowana: nie myśleć, nie podejmować decyzji, ustąpić — chociaż na chwilę. Politycy mają nieodpartą moc przyciągania. Spotykałam się z kilkoma z nich. Medialna nagonka, jaką rozpętano wokół ekscesów DSK, przywodzi mi na myśl pełen hipokryzji rytuał egzorcyzmu. Były szef MFW nie jest jedynym przywódcą politycznym zniewolonym przez własne libido, ale widocznie pozostali lepiej potrafią ukrywać swoje przywary. Utrzymywaliśmy platoniczną znajomość i wobec mnie był zawsze uprzedzająco grzeczny i niezwykle taktowny. Tak samo zresztą, jak były amerykański prezydent, którego również poznałam w Buddha Barze. Pamiętam, jak przysłał po mnie limuzynę z dwoma ochroniarzami w ciemnych okularach i z walkie-talkie u pasa, zupełnie jak w *Men in Black*. Po przybyciu do hotelu prezydenta zostałam najpierw poddana wnikliwej rewizji. To było takie ekscytujące, a nasza noc — niezapomniana...

Dziedzic

Człowiek ten jest zbyt sławny, bym mogła bezkarnie podać jego nazwisko. Nazwijmy go więc Dziedzicem. To francuski przemysłowiec, który kolekcjonuje wille rozsiane po całym świecie, tak jak inni znaczki pocztowe. Najpierw poznałam jednego z jego przyjaciół: ów przyjaciel afiszuje się z jedną z moich koleżanek, hiszpańską piękną, z którą przez pewien czas dzieliłam mieszkanie w Japonii. Ma jacht zacumowany w porcie Saint-Tropez i często mnie tam zaprasza. Któregoś dnia, gdy z kieliszkiem w dłoni rozmawiamy na pokładzie, dostrzegam postać pięknego nieznanego z lwią grzywą. Uśmiechamy się do siebie. Dzięki takim mężczyznom dostaję się w krąg wyższych sfer, do śmietanki towarzyskiej, do superelitarnego klubu największych fortun świata. Dotychczas ograniczałam się do kręgów świata mody i show-biznesu, i w zupełności mi to wystarczało. Od teraz zaś nauczę się odróżniać bogaczy od miliarderów.

Kilka tygodni później spotykam Dziedzica w Buddha Barze. Urzeka mnie jego styl playboya zawiadacza. Choć zameldowany w Szwajcarii, regularnie przebywa w swoim wystawnym apartamencie przy alei Focha w Paryżu. Ma żonę, sporą gromadkę dzieci, czterdziestkę na karku i świat u stóp. Nasz romans rozwija się błyskawicznie. Gdy tylko Dziedzic zjawia się w Paryżu, natychmiast biegnę się z nim spotkać. Po raz kolejny z trudem udaje mi się łączyć pracę, która pochłania mnie wciąż coraz bardziej, opiekę nad synem i tę przyprawiającą o zawrót głowy historię miłosną. Muszę grać na dwa fronty.

Po pięciu intensywnych latach opuszczam Buddha Bar. Uwielbiam tę pracę, ale życie nocne zaczyna mnie wykańczać. Brakuje mi snu, czasu dla syna, czuję się otumaniona dymem, muzyką i blichtrzem. Przez kilka tygodni oddaję się słodkiemu lenistwu, po czym Dziedzic składa mi propozycję:

- Wiesz co, mam piękną posiadłość we Wschodniej Afryce...
- Ale ja w ogóle nie znam tamtej części Afryki.
- Rebecca, widziałem cię, jak pracowałaś w Buddha Barze. Masz wyjątkową zdolność nawiązywania kontaktów...
- Dziękuję, to miło, że tak uważasz.
- Wpadłem na pewien pomysł. Chciałbym przekształcić tę posiadłość w ośrodek hotelowy i jestem pewien, że nikt nie zająłby się tym lepiej niż ty...

Daję się skusić. Odkąd Clyde na stałe przeprowadził się z ojcem do Stanów Zjednoczonych, nic już nie trzyma mnie w Paryżu. W ciągu ostatnich miesięcy nie miałam dla niego zbyt wiele czasu. A Cyril nigdy nie mógł znaleźć sobie miejsca w Paryżu. Doszliśmy więc wspólnie do porozumienia, że stabilne życie w USA bardziej będzie odpowiadać takiemu nastolatkowi, jakim stał się Clyde. Oczywiście pozwoliłam mu podjąć ostateczną decyzję.

— Mamo, myślę, że więcej nauczę się w Stanach, tamta szkoła bardziej mi się podoba. Ale będę za tobą tęsknić, mamusiu!

Tym razem zostaniemy w kontakcie.

Posesja Dziedzica leży w przepięknej okolicy nad brzegiem Oceanu Indyjskiego. Słowo „raj” nie wystarczy, by oddać piękno tego miejsca: woda ma kolor turkusowego, drobny biały piasek ciągnie się kilometrami i żyją tu wszystkie stworzenia boże. Rano i wieczorem, podziwiając krajobraz, wnoszę modły do Najświętszej Pani. Siadam pod górującym na podwórzu wielkim baobabem i dziękuję niebiosom za ten dar.

Czeka mnie duże wyzwanie zawodowe. Posiadłość jest piękna, ale na razie nie nadaje się do realizacji naszych dalekosiężnych planów. Odkrywam u siebie zamiłowanie do projektowania

wnętrz. Chcąc zaadaptować pomieszczenia na apartamenty, zamierzam najpierw wszystko zburzyć. Dziedzic ma do mnie zaufanie. Pozwala mi urządzić wszystko po swojemu pod jednym warunkiem: skończyć do Bożego Narodzenia. Zostało mi niecałe pół roku, żeby się wykazać. Wstaję o świcie i najmuje do pracy wszystkich miejscowych rzemieślników. Co dzień rano wieśniacy ustawiają się w kolejce przed drzwiami i czekają cierpliwie na zatrudnienie. Rządzą siedemdziesięcioma robotnikami. Każę robić meble nawiązujące do tutejszej roślinności, mozaiki zdobione motywami delfinów, zasłony z muszli i lokalnych paciorków... Nocą posiadłości strzegą masajscy wojownicy uzbrojeni w dzidy. Znajomi rezerwują miejsca na święta jeszcze przed ukończeniem prac. Wszystko musi się udać.

Mój kochanek dużo podróżuje, lecz jest tylko mój, gdy przylatuje do mnie z wizytą. Jego obecność komplikuje jednak funkcjonowanie hotelu, gdyż on życzy sobie mieć całą rezydencję do wyłącznej dyspozycji. Witam go na lotnisku jak pasażera, w eskorcie wymachujących dzidami masajskich wojowników w pełnym rynsztunku bojowym. Miejskowa policja oddaje do dyspozycji funkcjonariuszy, którzy towarzyszą mi w drodze do samego hotelu. Przed wejściem czekają skąpo ubrane dziewczęta; rzucają mi pod nogi płatki kwiatów. Specjalnie dla niego wymyślam choreografię, jakiej nie powstydziliby się nawet kabaret Crazy Horse! Następnie każę przygotować mu kąpiel i osobiście sprawdzam temperaturę wody. Podczas gdy ja bawię go rozmową, dziewczyna w stroju subretki namydla go i robi masaż wodny. Co wieczór organizuję inne przedstawienie, temat zmienia się w zależności od aktualnych fantazji Dziedzica: dżungla, przezroczystość, uczennice... Kilkanaście młodych — a nawet bardzo młodych — dziewcząt werbowanych jest na te bachanalia z okolicznych wiosek. Sprowadzamy tancerzy, czarowników, miejscowych akrobatów, gdyż Dziedzic — na swój sposób — kocha Afrykę. Gdy wyjeżdża, wszyscy padają ze zmęczenia.

Mogłabym spędzić resztę życia w tym czarownym miejscu. Ale mój raj nieubłaganie zamienia się w piekło. Erotyczna wyobraźnia Dziedzica szybko obraca się w zwykłą deprawację. Niektóre ekscesy mogą być zabawne, gdy się je odpowiednio dozuje, ale nie gdy stają się codziennością. Perwersja budzi moje szczere obawy. Gdy protestuję, Dziedzic obwinia mnie:

— Bo ty mnie nie kochasz...

A ja, ofiara własnej namiętności, czym prędzej posłusznie robię, co mi każe.

Za pieniądze można kupić wszystko, ale nie sumienie tych, którzy jeszcze je mają.

Postanawiam uciec z tego siedliska rozpusty, by ratować własną duszę. Wskakuję do samolotu, nie biorąc nic ze sobą. Dziedzic zarzuca mi, że ośmielam się podważać jego autorytet.

— Wrócisz! Takie dziewczyny jak ty zawsze w końcu wracają...

— Nie ja.

Zeście do piekieł

Nie odłożyłam żadnych pieniędzy. Łąduję z powrotem w Paryżu w środku zimy i bez grosza przy duszy. Zostało mi tylko trochę oszczędności zgromadzonych za czasów Buddha Baru. W ciągu tych pięciu lat spędzonych z Dziedzicem — w tym dwóch we Wschodniej Afryce — straciłam swoje kontakty w świecie mody i odcięłam się od nocnych kręgów towarzyskich. W tym czasie świat haute couture ewoluował. Przepych, który poznałam, wyszedł z mody, a na wybiegi wtargnął grunge. Zaszły poważne zmiany: piercing, włosy w nieładzie, niedbały wygląd, spodnie baggy... Wytworność i elegancja straciły na wartości. Jak wybić się od nowa w zupełnie obcym Paryżu?

Nie mam pieniędzy na czynsz. Jedna z moich koleżanek, amerykańska modelka Belinda, proponuje, żebym zamieszkała u niej. Ale życie ze współlokatorką zamienia się w koszmar, bo Belinda — której nosk wciąga kokainę niczym trąba powietrzna — jest chorobliwie zazdrosna. Wydaje jej się, że próbuję poderwać jej chłopaka. Budzi mnie w środku nocy, żeby się dowiedzieć, gdzie byłam przez cały wieczór. A potem zabiera klucz do mieszkania, każąc mi czekać na korytarzu do swojego powrotu.

Muszę kombinować, żeby zdobyć środki do życia. Swoje rzeczy przechowuję u różnych ludzi. Koczuję, korzystając z cudzej gościnności: pół roku u Belindy, jedno lato u przygodnego kochanka, kilka tygodni tutaj, parę dni tam... Dzięki wytrwałości udaje mi się wywalczyć kilka ciekawych kontraktów; regularnie występuję na pokazach u Yildirima Mayruka, jak za czasów, gdy byłam top modelką. Ale kontrakty te nie wystarczają na utrzymanie się przy moim paryskim trybie życia.

Ja, która kiedyś zarabiałam krocie, spadłam teraz na sam dół drabiny społecznej. W okresie swojej popularności zarządzałam pieniędzmi w sposób, w jaki robiłam to w Abidżanie: żyłam z dnia na dzień, nie widząc końca własnego nosa. Byłam jak konik polny z bajki La Fontaine'a — sądziłam, że lato będzie trwało wiecznie. Dzieciństwo kształtuje człowieka na zawsze i temu, kto dorastał w skrajnej biedzie, trudno jest pozbyć się specyficznego wyobrażenia o tym, jak żyć, żeby przeżyć. W kontaktach z wysoko postawionymi osobami zajmowały mnie wyłącznie błyskotki i bąbelki szampana; nigdy nie skorzystałam z okazji, żeby nauczyć się od nich tajników biznesu. Bez rodziców, bez zasad, bez troski — żyłam, nie martwiąc się o przyszłość. I rozmyłam się w wieczornej mgłę.

Jeszcze bardziej dotkliwie niż brak pieniędzy odczuwam utratę statusu społecznego. Powrót do całkowitej anonimowości jest dla byłej gwiazdy trudnym doświadczeniem. Wszystko zaczęło się od chwili, gdy popadłam w niełaskę u Saint Laurenta. Ale w owym czasie wciąż jeszcze świetnie zarabiałam i otrzymywałam różne propozycje współpracy. Sytuacja pogorszyła się po moim powrocie z Afryki Wschodniej. To wtedy przestały błyskać flesze wokół mojej osoby. Nikt już nie przedziera się przez tłum, żeby móc mnie ucałować. Dawni przyjaciele witają mnie z daleka ledwo dostrzegalnym gestem dłoni, mężczyźni nie zabiegają już o mnie, jak kiedyś. Znajomi pamiętają jak przez mgłę, że kiedyś widzieli mnie na wybiegu czy w Buddha Barze. „Ach tak! Dzień dobry, co słychać?” Socjeta ma krótką pamięć.

Mój czas minął. Świat mody chce czegoś innego, nowych twarzy, świeżej krwi... Po przekroczeniu pewnego wieku modelka warta jest tyle, co przeterminowany pasztet. Wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś złamała przysięgę wiecznej młodości. Tutaj wcześniej przechodzi się na emeryturę. W kinie jest trochę inaczej, starzejąca się gwiazda wciąż może grać ciekawe role. Ale moda nie ma litości: usuwa cię bez skrępułów i oddaje na złom.

Staram się zachować godność. Wykluczone, żebym wyplakiwała się dawnym znajomym

ze świata mody, licząc na to, że wzruszą się moim losem. Wolę, żeby pamiętali mnie jako „tę” Rebecę od Yves Saint Laurenta. Ów świat jest okrutny; ileż to dawnych modelek ucieszyłoby się z mojego zejścia do piekieł! Nie chcę dać im tej satysfakcji. W Glamour i w Elite nauczyłam się cierpieć w milczeniu.

Jestem wkrótce zmuszona sprzedać wszystko, co mam. Oddaję biżuterię do lombardu lub spieniężam u jubilerów. Ci ludzie to pozbawieni skrupułów prawdziwi eksperci do spraw ludzkiej nędzy. Wyczuwają ją na odległość i potrafią bezbłędnie skorzystać na nieszczęściu tej, która stoi przed nimi we łzach, trzymając w dłoniach skarby swojego minionego życia. Moje łańcuszki, pierścionki, kolczyki, mój piękny pasek ze złotych oczek, który zawsze okalał moją talię... wszystko idzie na sprzedaż! Za każdym razem czuję się tak, jakbym sprzedawała tę część swojego ciała, która nosiła na sobie ozdoby. Potem sprzedaję resztę. Mam płaszcz ze srebrnych lisów od Révillon, wart fortunę. Takie płaszcze noszą gwiazdy Hollywoodu na ceremonii rozdania Oscarów. Moja koleżanka Radia zabiera mnie do znajomego kuśnierza. Upływa wiele miesięcy, wciąż bez wieści od niego. Kiedyś będąc w jego okolicy, dowiaduję się, że znalazł nabywcę na mój płaszcz.

— Sprzedałem go taniej — mówi — bo wiedziałem, że potrzebujesz pieniędzy. Proszę, oto twoje pięćset euro.

— Co?! Przecież jest wart dużo więcej, dobrze o tym wiesz!

— Chciałem ci wyświadczyć przysługę. Mogłabyś okazać trochę wdzięczności!

Po interwencji Radii nieuczciwy kuśnierz zgodzi się dać mi tysiąc pięćset euro — ułamek tego, co powinien był mi zapłacić. Jestem w potrzebie i przehandluję wszystko, co mam, za kawałek chleba.

Kobiecie, która nie ma już nic do sprzedania, zostaje tylko własne ciało. Nic bardziej bolesnego i upokarzającego. Nie sposób pozbyć się uczucia splugawienia, które ciągnie się potem za tobą. Nigdy nie mogłam do tego przywyknąć. Nie jestem stworzona do grania kokoty, choćby i w luksusie.

Odkrywam egzystencję, której nie zaznałam od czasów Abidżanu: trzeba liczyć się z każdym groszem. Zostaję mistrzynią makaronu na maśle; gdy gotuje się go odpowiednio długo, daje większe poczucie sytości. Bywają lepsze dni, gdy dodaję do niego mielone mięso i papryczkę chili. Opanowuję umiejętność patroszenia tubek po kosmetykach; gdy rozciąć je wzdłuż, w środku zawsze można znaleźć trochę balsamu czy pasty do zębów. Lekarz przepisuje mi środki nasenne i uspokajające. Żyję w gęstej mgłę głębokiej depresji.

Zdarza mi się czasami myśleć o samobójstwie. Osierocona przez Saint Laurenta, rozdzielona oceanem z synem, zwaśniona od zawsze z córką — jestem sama na świecie i nie chce mi się już żyć. Z pięciogwiazdkowych hoteli przeniosłam się prosto do jadłodajni dla ubogich. Ci, co mi się kiedyś przypochebiali i nazywali „kochanie”, teraz zwracają się protekcyjnym tonem, jakbym była nikomu nieznaną i niegodną uwagi. Mój telefon milczy. Bieda jest jak trąd — ludzie trzymają się od niej z daleka w obawie przed zarażeniem. Unikają cię. Przerywają ci w pół zdania, gdy tylko niefortunnie zdarzy ci się wspomnieć o swojej sytuacji. Jestem lustrem, w którym nikt nie ma ochoty się przeglądać. Wszyscy mnie się boją. Wszyscy się ode mnie oddalają.

Za cały zbytek zostało mi parę ubrań z czasów mojej świetności. Gdy stoję przed półką z makaronem w promocji, odliczając grosiki w supermarkecie, to stoję w bluzce od Yves Saint Laurenta. Tylko tak udaje mi się zachować resztki godności. Może i biedna, ale dobrze ubrana! Nawet w kolejce po zupę dla ubogich przywdziewam skrawki dawnego życia.

Wiara

Długo trzymałam się z dala od kościołów. Nawet nie ochrzciłam Clyde'a. Religia kojarzyła mi się ze złymi wspomnieniami z czasów mojej afrykańskiej młodości. Wciągnięta w wir mody, porzuciłam ją całkowicie. Owszem, odmawiałam codzienną modlitwę, dziękując Panu za dobro, które mnie spotkało. Gdy popadłam w biedę, wydawało mi się, że Bóg mnie opuścił. Po tułaczce od jednego mieszkania do drugiego wprowadziłam się w końcu do kuzynki Hélène, niedaleko Porte de Pantin. Znajduję tam chwilę wytchnienia i zaczynam leczyć rany. Hélène chodzi do kościoła i któreś niedzieli proponuje, żebyśmy wybrały się tam razem.

Kłęczę obok niej i rozglądam się. Szare kolumny, witraże, ołtarz — niczego mi to nie przypomina. Lecz gdy zamykam oczy, ku swojemu zdumieniu zaczynam gorąco się modlić. Niezwykle ciepło wypełnia moje serce. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję obecność Chrystusa, który kocha mnie taką, jaka jestem, i mi wybacza. Otwieram oczy i mam wrażenie, jakbym wróciła z daleka.

— Żarliwie się modliłaś — mówi z uśmiechem Hélène, po czym zaprasza mnie na wspólną pielgrzymkę po Paryżu.

— Codziennie pójdziemy na mszę do innego kościoła!

Wstajemy wcześniej rano i uczestniczymy w trzech mszach dziennie. Ja, która znałam dotychczas tylko paryski złoty trójkąt mody, odkrywam stolicę w całej jej różnorodności. Na każdej mszy odnajduję wewnętrzny spokój, z całego serca zawierzam się Panu i czuję, jak oswobadzam się z ciężkiego brzemienia minionych lat. Pod zamkniętymi powiekami przesuwają się całe moje życie. Bardzo cięży mi poczucie winy wobec córki. W modlitwie żałuję za grzechy i obiecuję odkupić swoje winy, byle tylko Affie chciała któregoś dnia mi wybaczyć. Wyznaję, że zgrzeszyłam pychą w latach, gdy robiłam furorę, gdy wybujałe ego rozpierało mnie dumą. Gorąco proszę o wybaczenie za to, że zachowywałam się jak rozpieszczone, rozkapryszone dziecko, za chwile rozpusty, w których czasem się pograżałam... Proszę Boga o siłę do oparcia się pokusom, jakie rozpacz stawia na mojej drodze.

Projektant Lloyd Klein przedstawił mi kiedyś w Buddha Barze modela Stéphane'a Aliégo, laureata konkursu Best Model of The World w 2003 roku. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Emanowało od niego coś trudnego do uchwycenia, coś, co wyróżniało go spośród masy nocnych balowiczów świata mody i show-biznesu. Wysoki brunet o niebieskich oczach przypominał mi Chrystusa z kościoła mojego dzieciństwa. Od kiedy wróciłam z Afryki, Stéphane należy do garstki nielicznym przyjaciół, na których naprawdę mogę polegać. Odmiana mojego losu nie ma dla niego żadnego znaczenia. Podczas gdy wszyscy się ode mnie odwracają, on staje się dla mnie jak brat.

Opowiadam mu o moim odkryciu wiary, co zdaje się współgrać z jego osobistymi, duchowymi poszukiwaniami. Podobnie jak ja, Stéphane odczuwa duchową pustkę świata, w jakim się obracamy. Gdy proponuję, żebyśmy wyruszyli razem w pielgrzymkę po Paryżu, taką, jaką wcześniej odbyłam z Hélène, Stéphane reaguje z niezwykłym entuzjazmem. Wkrótce wiara wypełnia jego życie bardziej, niż się tego spodziewał, i informuje mnie o swoim zamiarze wstąpienia do zakonu. Odtąd sam odbywa swoją duchową podróż. Często odwiedza w klasztorze wspólnotę zakonnicy żyjących w odosobnieniu. Któregoś dnia zabiera mnie na spotkanie z matką przełożoną:

— Chciałbym móc coś dla ciebie zrobić — mówi.

Wie, że przeżywam trudny okres. Moja kuzynka przeprowadziła się z powrotem na przedmieścia, musiałam więc wynająć mieszkanie w Boulogne-Billancourt, ale nie starcza mi na

czynsz. Żyję w ciągłym strachu przed komornikiem. Całymi dniami ukrywam się w domu; siedzę cicho, starając się nie włączać telewizora ani kuchenki, i udaję, że mnie nie ma. Chodzę po zakupy tylko wtedy, gdy mam pracę. Żyję jak zaszczute zwierzę.

Rachel, matka przełożona, czyta w moich myślach jak w otwartej księdze, przesywa mnie spojrzeniem na wylot. Emanuje łagodnością, która przynosi mi wielkie ukojenie, nie przypuszczałam, że czegoś takiego zaznam kiedykolwiek. W klasztorze odnajduję oazę spokoju i codziennie przychodzę się tam modlić. W tym miejscu skupienia udaje mi się pogodzić sama ze sobą. Nie, nie przegrałam swojego życia, bo nie pojawiam się już na wybiegach haute couture! Nie, nie jestem nędzarką, bo nie umiałam odłożyć sobie pieniędzy! Odnajduję godność i wewnętrzną harmonię. Dzięki religii ucę się oddzielać ziarno od plew, jak mówi Ewangelia; odróżniać tych, którzy chcą mojego dobra, od fałszywych przyjaciół. Odnajduję też głęboką prawdę: Bóg jest drogą życia, a nie Świętym Mikołajem; rzecz nie w tym, żeby zwracać się do Niego z listą życzeń, tylko wtedy gdy wszystko idzie źle.

Odtąd moje życie naznaczone jest nabożeństwami i lekturą Biblii. Co tydzień uczestniczę w spotkaniach grupy biblijnej. Uczę się poznawać siostry zakonne i nie dawać się zmylić pozorom. Dostrzegam, że mniszki nie ustępują atrakcyjnością top modelkom, z którymi się niegdyś kolegowałam, z tym, że one mają coś jeszcze, co dodaje im blasku: piękno duchowe. W ich jasnym spojrzeniu wyczytać można spokój ducha i poczucie pełni. Promienna matka Rachel zawsze jest przy mnie i trzyma mnie z dala od przepaści. Pewnego dnia, wskazując tylną furtkę klasztoru, mówi:

— Gdyby było bardzo źle, zawsze możesz do nas dołączyć. Jesteś tutaj u siebie, masz teraz swoją rodzinę zakonną. Przychodź, kiedy tylko zechcesz...

Nie wiem, jak dziękować Stéphane'owi za to, że zaprowadził mnie do tego klasztoru, który stał się w moim burzliwym życiu kotwicą, ratunkiem, niczym oaza na środku pustyni. Myśl o siostrach przynosi mi ogromną ulgę. Zakonnice nie ograniczają się do podnoszenia mnie na duchu; nigdy nie wychodzę od nich z pustymi rękami. Zawsze wypełniają dla mnie zakupami całą torbę. Ich pomoc oszczędza mi wstydu chodzenia do darmowych jadłodajni. Gdy z zażenowaniem przyznaję się matce Rachel, że grozi mi eksmisja, w następną niedzielę kolekta przeznaczona jest na moje potrzeby. Tak, Bóg jest Miłością! Wzruszenie ścisła mi gardło. Właściciel mieszkania osłupiał, gdy zapłaciłam mu za czynsz banknotami o wartości pięć euro i drobnymi monetami. To świadectwo miłości dodaje mi sił do podjęcia pracy.

Tymczasem Stéphane wyjechał do klasztoru w Jerozolimie. Od dawna nie mam od niego żadnych wieści. Matka Rachel uspokaja mnie, mówiąc:

— Nie martw się, jest tam, gdzie być powinien: w Ziemi Świętej — mówi.

Po powrocie do Paryża Stéphane został mnichem. Przykuwamy spojrzenia, gdy idziemy razem przez Paryż: ja na wysokich obcasach, on w habicie zakonnym. Tworzymy nietuzinkową parę. Stéphane'a — w jego szacie, z krzyżem na szyi i urodą modela — ludzie uważają za oszusta:

— Przebierać się za mnicha, wstydziliby się!

Religia to nie zabawa!

Lecz dzielni ludzie nie chcecie, by

Ktoś chadzał drogami innymi niż wy... [8]

Dzięki Stéphane'owi i ku wielkiej radości matki Rachel przystępuję do Pierwszej Komunii. Jako dzieci byliśmy zbyt biedni, żeby mamę stać było na zakup białej sukienki i urządzenie przyjęcia.

— Co umiesz zaśpiewać? — pyta mnie matka Rachel.

Śpiewam jej pieśń kościelną zapamiętaną z dzieciństwa.

— Na początek jak znalazł!

Uroczystość odprawia ojciec Samer, mój duchowy przewodnik.

Moje bierzmowanie odbywa się w katedrze Notre Dame w Paryżu. To dla mnie ważna chwila. Co roku na Wielkanoc tłumaczę fragment Ewangelii na język *mina*, ciesząc się, że mogę mówić o zmartwychwstaniu Chrystusa zgromadzonym na mszy Togijczykom. Ubrana w piękną, tradycyjną szatę afrykańską, siadam obok księży i czytam Biblię z największą radością.

Czasami mam ochotę dołączyć do sióstr w klasztorze. Kto wie, może pewnego dnia spełnię marzenie mojego ojca, który chciał, żebym była zakonnica? Może zostanę siostrą Rebeccą? Choćbym wszystko straciła, moja wiara nie zgaśnie. Matka Boska i Jezus Chrystus żyją we mnie wszędzie i mi towarzyszą.

Dziś pojęłam, że moje powolne i nieubłagane zejście do piekieł pozwoliło mi odrodzić się duchowo. Silniejszą. Bardziej prawdziwą. Wewnętrzny piękna nie uczy się na wybiegach.

On nie żyje

Jestem w Turcji i przygotowuję się do pokazu Yildirima Mayruka, gdy dociera do mnie ta wiadomość. Jeden z młodych współpracowników rzuca mi na korytarzu:

— Słyszałaś? Saint Laurent nie żyje!

— Co proszę?

Powtarza raz jeszcze. Szok. Wydaję skowyt jak ranne zwierzę, które czuje, że za chwilę umrze. Rzucam się z krzykiem na ścianę.

— Nie, nie, nie...! To nieprawda! Yves Saint Laurent nie może umrzeć!

Próbuję skontaktować się z paryskim domem mody. Zostawiam mnóstwo wiadomości na automatycznej sekretarce, ale nikt do mnie nie oddzwania. Wieczorem dzwonię uporczywie i tak długo nie odkładam słuchawki, aż ktoś w końcu odbiera. Informacja się potwierdza. Jestem w żałobie. Nie, ja jestem martwa, ja także.

Mimo że dawno go nie widziałam, Yves Saint Laurent wciąż we mnie żyje. Jego obecność działa na mnie kojąco nawet na odległość, tak jak w czasach naszej niezwyklej bliskości. Jest jak powietrze, którym oddycham: nawet, jeżeli o nim nie myślę, jego istnienie daje mi niezbędne siły do życia. Ogarnia mnie poczucie pustki, które trudno wyrazić słowami inaczej niż przejmującymi strofami wiersza W.H. Audena:

*Niech staną zegary, zamilkną telefony,
Dajcie psu kość, niech nie szczeka, niech śpi najedzony,
Niech milczą fortepiany i w miękkiej werbli ciszy
Wynieście trumnę. Niech przyjdą żałobnicy.
Niech głośno łkając samolot pod chmury się wzbije
I kreśli na niebie napis: „On nie żyje!”
Włóżcie żałobne wstążki na białe szyje gołębi ulicznych,
Policjanci na skrzyżowaniach niech noszą czarne rękawiczki.
W nim miałem moją Północ, Południe, mój Zachód i Wschód,
Niedzielny odpoczynek i codzienny trud,
Jasność dnia i mrok nocy, moje słowa i śpiew.
Miłość, myślałem, będzie trwałą wiecznie: myliłem się.
Nie potrzeba już gwiazd, zgaście wszystkie, do końca;
Zdejmijcie z nieba księżyc i rozmontujcie słońce;
Wylejcie wodę z morza, odbierzcie drzewom cień.
Teraz już nigdy na nic nie przydadzą się[9].*

Mam twarz spuchniętą od płaczu. Z oczu tryska nieprzerwanie fontanna łez. Po odejściu z domu mody nigdy już nie ośmieliłam się do niego zbliżyć. Niewątpliwie chciałam, aby zachował nienaruszony obraz mnie — jego byłej muzy. Tylko raz podeszłam przywitać się z nim podczas pokazu w hotelu Continental na ulicy Castiglione. Przedstawiłam mu Clyde'a. Nazwał mnie tak jak kiedyś: „A! Moja Rebec!” Całując go w policzek, wyczułam znajomy zapach. Przez krótką chwilę, zanurzonej w spojrzeniu „mojego Saint Lolo”, zdawało mi się, że znów jestem u siebie. Wielokrotnie miałam sobie za złe, że nigdy nie odbyłam z nim szczerzej rozmowy. Kiedy o tym myślałam, słowa nie chciały układać się w mojej głowie. Żałuję, że nie zdobyłam się na to, żeby wyznać mu swoją miłość, póki jeszcze żył.

Czas na pokaz. Poprawiono mi makijaż i fryzurę. *The show must go on!* Kroczę po wybiegu z dumą i godnością, w hołdzie dla mojego mistrza.

Muszę przerwać mój pobyt w Istambule, aby móc uczestniczyć w pogrzebie. Należę do

nielicznych wybrańców, którzy otrzymali zaproszenie, aby siedzieć w kościele u boku najbliższych osób zmarłego. Jadę taksówką do kościoła Świętego Rocha, za ogrodami Tuileries. Przejeżdżając przez tunel, zrównujemy się z karawanem pogrzebowym.

— A niech to! — odzywa się kierowca. — To ten zmarły projektant, Yves Saint Laurent!

— Nie, to nie on, to niemożliwe...

— Ależ tak. Nie wiedziała pani, że on zmarł?

Spogląda w lusterko wsteczne i widzi łzy w moich oczach.

— Znała go pani?

Nie mogę w to uwierzyć. Oto ja, jego wieloletnia muza, zupełnie przez przypadek towarzyszę mu w drodze do kościoła. Przebędziemy w ten sposób krótki odcinek, ramię w ramię, on w trumnie, ja — przyklepiona do szyby. Czuję, że Yves Saint Laurent przez ten zbieg okoliczności po raz ostatni chciał puścić do mnie oko na znak, że wciąż o mnie pamięta i że zawsze będę w jego sercu. Cała paryska socjeta stawiała się, by oddać ostatni hołd „Małemu Księżu mody”. Tak się złożyło, że Carla Bruni, pierwsza dama przybyła w towarzystwie prezydenta Sarkozy’ego, też była kiedyś top modelką i występowała na pokazach Yves Saint Laurenta. Jest tu Pierre Bergé i matka zmarłego, otoczeni gronem wiernych przyjaciół, z Catherine Deneuve na czele. Przybyli też inni projektanci, aby pochylić się przed kolegą po fachu. Ołtarz w kościele tonie pod bukietami jaśminu i białych lilii.

W chwili, gdy obok mnie przenoszą trumnę, osuwam się na ziemię. Wstaję chwiejnie, ktoś mi pomaga. Przez cały czas trwania ceremonii słyszę mój niepowstrzymany szloch. Serce mi pęka, gdy Pierre Bergé zaczyna przemawiać łamiącym się głosem: „Oto musimy się rozstać. Nie wiem, jak temu podołam, bo nigdy cię nie opuszczę. Czyż rozstaliśmy się kiedykolwiek? A przecież już nigdy nie obejrzymy zachodu słońca nad ogrodami Agdal, nie będziemy więcej podziwiać obrazów ani dzieł sztuki, tak, wiem to dobrze [...]. Chcę wyznać ci mój podziw, głęboki szacunek i miłość”.

Powracam myślami do lat spędzonych przy nim. Jego imię mieni się barwami tęczy. Widzę jego oczy w kolorze czystego błękitu, dłonie tańczące po kartce papieru, słyszę słodki głos i dostojne kroki...

Kościół pełen jest znajomych twarzy, których tak dawno już nie widziałam. Zamieniam parę słów z modelkami i pracownikami domu mody. Wspominamy z uniesieniem tego wielkiego, legendarnego projektanta, który zyskał sławę na wszystkich kontynentach świata, gdzie z południa na północ ukazywał piękno i elegancję. Saint Laurent zasługuje, by jego nazwisko nosiła ulica, plac, główna aleja.

Jeszcze nigdy utrata ukochanej osoby nie wywołała we mnie takiego poczucia wewnętrznej pustki.

Powstać z popiołów

Co nas nie zabije, to nas wzmocni... Upadałam dziesiątki, setki razy, zanim wreszcie udało mi się podnieść. Często myślałam o pięknej Anao, która była kiedyś nowojorską top modelką, a skończyła jako ćpunka w slumsach Manhattanu, albo o pewnym młodym projektancie z Wybrzeża Kości Słoniowej, co tak dobrze się zapowiadało, a teraz musi się sprzedawać w Lasku Bulońskim. Obraz ich upadku stoi mi przed oczami i strzeże przed tym, żebym i ja się nie stoczyła. To, że nie skończyłam jak oni, zawdzięczam przede wszystkim francuskiemu systemowi opieki społecznej — dzięki niemu w porę otrzymałam niezbędną zapomogę i mogłam korzystać z opieki medycznej wówczas, gdy ledwo miałam co włożyć do garnka. Poszłam na lekcje języka francuskiego, a przecież dotychczas nawet nie umiałam pisać. Sprawilo mi ogromną radość móc usiąść w szkolnej ławce razem z innymi chętnymi nadrobić swoje braki. Potem skończyłam kurs zarządzania, jak się później okaże — bezcenny.

To, że się nie poddałam, zawdzięczam również moim bliskim. Oni nigdy mnie nie opuścili. Była wśród nich moja kochana Maria Schneider, którą z grona nielicznych wiernych przyjaciół zabrał mi niedawno złośliwy nowotwór. Nikt tak dobrze, jak ona — sama porzucona przez kino — nie rozumiał niedoli upadłego anioła. Maria i Pia, jej przyjaciółka, zawsze były przy mnie, gdy traciłam grunt pod nogami. Dzięki nim mogłam skorzystać ze wsparcia stowarzyszenia La Roue Tourne, świadczącego pomoc aktorom w potrzebie. Chętnie założyłabym podobną organizację dla modelek zesłanych na banicję. Nasza profesja jest niedoceniana, nie mamy rzeczywistego statusu społecznego, większość z nas u schyłku kariery zupełnie się gubi. Drogę ze szczytu na dno pokonujemy w ekspresowym tempie, jak pociąg TGV. Dziewczyny rozpoczynające pracę w tym zawodzie nie mają pojęcia, jak wygląda druga strona medalu, a gdy ją odkrywają — jest już za późno. Kiedy Carla Bruni, moja dawna znajoma, podążyła za mężem do Pałacu Elizejskiego, wielokrotnie pisałam do niej i przedstawiałam swój projekt. W czasach, gdy byłam gwiazdą, spotykałam ją w studio „Elle” i na pokazach w Mediolanie. Zawsze bardzo ufna i wesoła, lubiła rozbawiać innych. Kto lepiej niż ona zrealizowałby to przedsięwzięcie? Ale Carla nigdy mi nie odpowiedziała. Czy chociaż czytała moje listy?

Oczywiście moda wciąż odgrywa ważną rolę w moim życiu. Nadal występuję na pokazach projektantów, z którymi zdążyłam się już zaprzyjaźnić, między innymi u Jeana Douceta, Oliviera Swana, Hindiego Mahdiego, Imane’a Ayissiego. Pracuję jako konsultantka, gdy wydarza się coś ważnego w sferze mody — wtedy czuję się w swoim żywiole. Od dwóch lat patronuję imprezie Fashion Night Couture w Saint-Martin-de-Ré. Jednocześnie ku własnemu zaskoczeniu odkryłam u siebie chęć zrobienia interesu na kuchni afrykańskiej. Może tego nie widać — bo od lat nie przybyło mi dodatkowych centymetrów w pasie — ale zawsze byłam miłośniczką dobrego jedzenia! Wiem, że potrawy z Afryki są mało znane. Nadeszła pora przyrządzić je w inny, nowatorski sposób, tak, by polubili je francuscy smakosze! Mam mnóstwo pomysłów i całe życie przed sobą.

Spośród przyjaciół, którym najwięcej zawdzięczam, chcę wymienić — oprócz Stéphane’a podążającego ze mną drogą wiary — także Tilmanna Grawego. Ten niemiecki projektant, dawniej asystent Paco Rabanne’a, został na Zakaukaziu prawdziwą gwiazdą mody. Poznaliśmy się w moich najburzliwszych latach u Saint Laurenta. Zawsze mnie wspierał i nigdy nie osądzał. To dzięki niemu mogłam zrealizować projekt, na którym tak bardzo mi zależało — napisać wspomnienia. Myśl o tym chodziła mi po głowie od chwili, gdy matka projektanta Lloyda Kleina podsunęła mi pomysł wydania historii mojego życia. Do pierwszej próby podeszłam z

dziennikarką Katy Barillot. Ale ja nie zawsze jestem łatwa we współżyciu, a pisanie książki w dwójkę wymaga wzajemnego zrozumienia, którego nam zabrakło. Mimo to doceniam czas, jaki dla mnie poświęciła.

Potem Tilmann przedstawił mi swoją znajomą, Carol Mann. Carol przybyła do Paryża wtedy, kiedy ja, w 1980 roku, i zanim zajęła się pisarstwem i socjologią, otarła się o świat mody. Niedługo po naszym pierwszym spotkaniu w kawiarni na Montparnassie pojechała do Afryki, która ogromnie ją fascynuje. Gdy przyszedłam do niej po raz pierwszy, od razu poczułam, że nasza współpraca dobrze się ułoży. Ośmieliłam się otworzyć przed nią tak, jak jeszcze nigdy dotąd przed nikim. Często się zdarzało, że kiedy zaczynałam zdanie, Carol kończyła je za mnie, jak gdyby wszystko już o mnie wiedziała.

Razem z nią nawlekałam cierpliwie paciorki mojego życia. Historię małej Ayoko, od chwili jej narodzin pewnej nocy w małej wiosce w Ghanie przy pełni księżyca, skąd jako gwiazdny pył wyruszyła ku Drodze Mlecznej. Prześledziłyśmy trajektorię spadającej gwiazdy, świetlistą i chaotyczną drogę przez galaktykę haute couture aż po nieboskłon. Dziś żyję pod innym niebem, gwiazdy wybiegów już mnie nie olśniewają. Teraz chcę lśnić blaskiem oczu Affie i Clyde'a. Nigdy nie miałam okazji opowiedzieć im, przez co przeszła ich — nieczuła, nieznajoma, nieobecna — matka. Dedykuję im tę książkę w zamian za wszystkie historie, których nie miałam czasu opowiedzieć im, gdy byli dziećmi.

Pewnego razu była sobie... wasza mama, która nigdy nie przestała was kochać.

Paryż, 30 sierpnia 2012 roku

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, których nazwiska pojawiają się w tej książce, których spotkałam na mojej drodze życia i dzięki którym wzrastałam.

Dziękuję wszystkim, którzy nosili i nosić będą kreacje Yves Saint Laurenta, i proszę, aby oddawali tym samym cześć temu wielkiemu, jakże ważnemu człowiekowi.

A także wszystkim projektantom, dla których występowałam i dzięki którym spełniły się moje marzenia.

Dziękuję Cathy, Tilmannowi Grawemu, Carol Mann, Mehdiemu Ba i oczywiście Jeanowi-Claude'owi Gawssewitchowi, bez którego ta książka by nie powstała.

Dziękuję Stéphane'owi, siostrze zakonnej, ojcu Samerowi i ojcu Étienne'owi za ogromne i nieocenione wsparcie na co dzień.

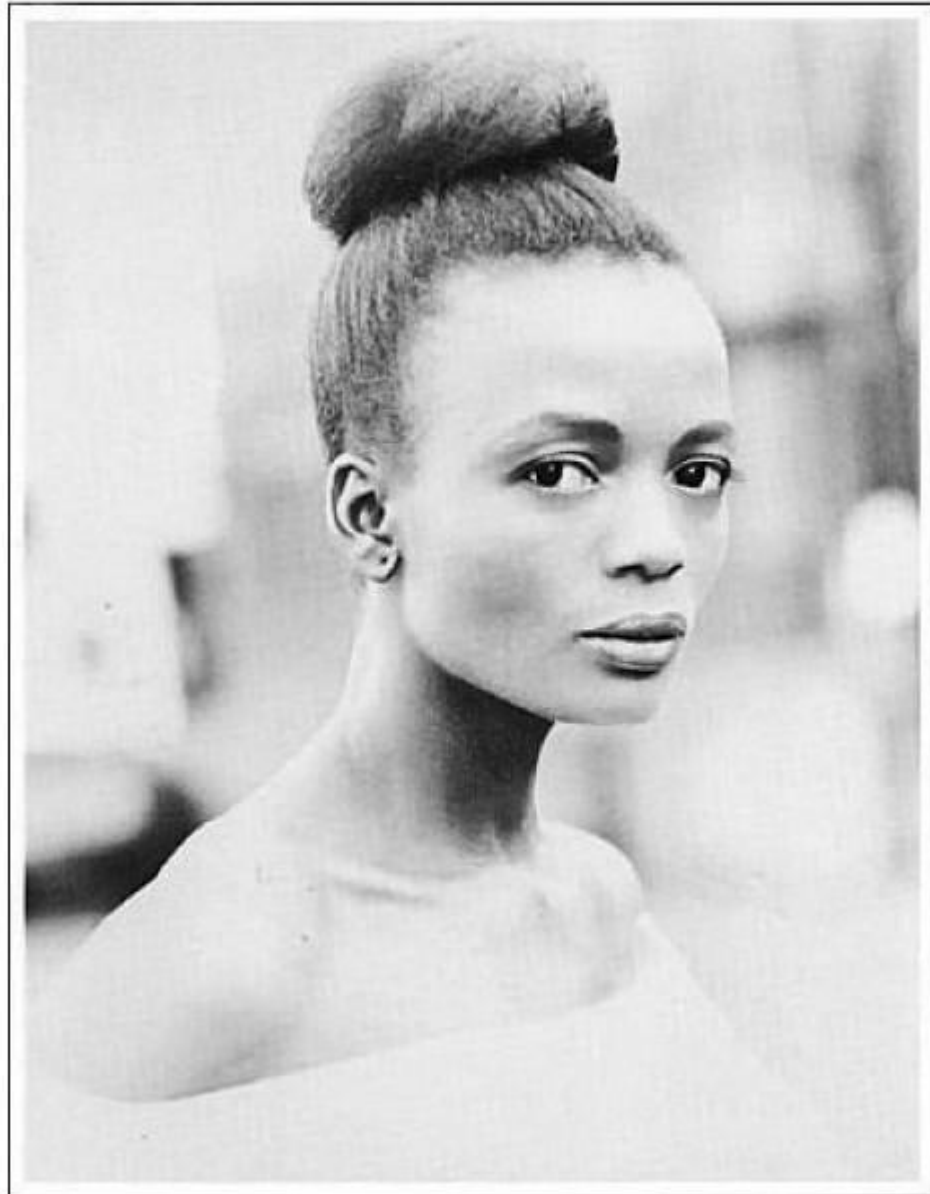
Podziękowania dla Siki Freitas, Catherine Colonna de Montegiani i Martine T., dzięki którym mogłam powrócić do wielkich chwil mojej kariery.

Dziękuję opiekunkom środowiskowym i psychologom z Boulogne, Romainowi L. i jadłodajniom Restos du coeur.

Dziękuję moim siostrze Hélène i Suzanne, dziękuję Rosicie, Françoise z Gabonu, Garo, Yacine i Pierrotowi, Moussowi Dioufowi, Stéphane'owi Ferrarze, Bénédicte z Yves Saint Laurent, Françoise z Givenchy, Michèle Grès, Margot, Steve'owi, Raymondowi Visanowi, Jeanowi-Yves'owi Lacombe'owi, Grace Jones, Brendzie, Rarii, Yildirimowi Mayrukowi, Jeanowi Doucetowi, Olivierowi Swanowi, Hindiemu Mahdiemu, Imane'owi Ayissiemu, Alphadiemu, Paulowi Hansowi, Moustafie, Nadine, Philippe'owi Noëlowi, Charles'owi, Jeanowi Calo, Philippe'owi Guillaume'owi, Étienne'owi Des Rois, doktorowi N. Grandjeanowi, Christophe'owi Genève'owi, Philippe'owi Voisenowi, Samuelowi Ekohowi...

Rebecca Ayoko

Hauteur 1,76 Poitrine 84 Taille 62 Hanches 90 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Bruns
Height 5'9½ Bust 33 Waist 24½ Hips 35½ Shoes 9 Am, Hair Black Eyes Brown

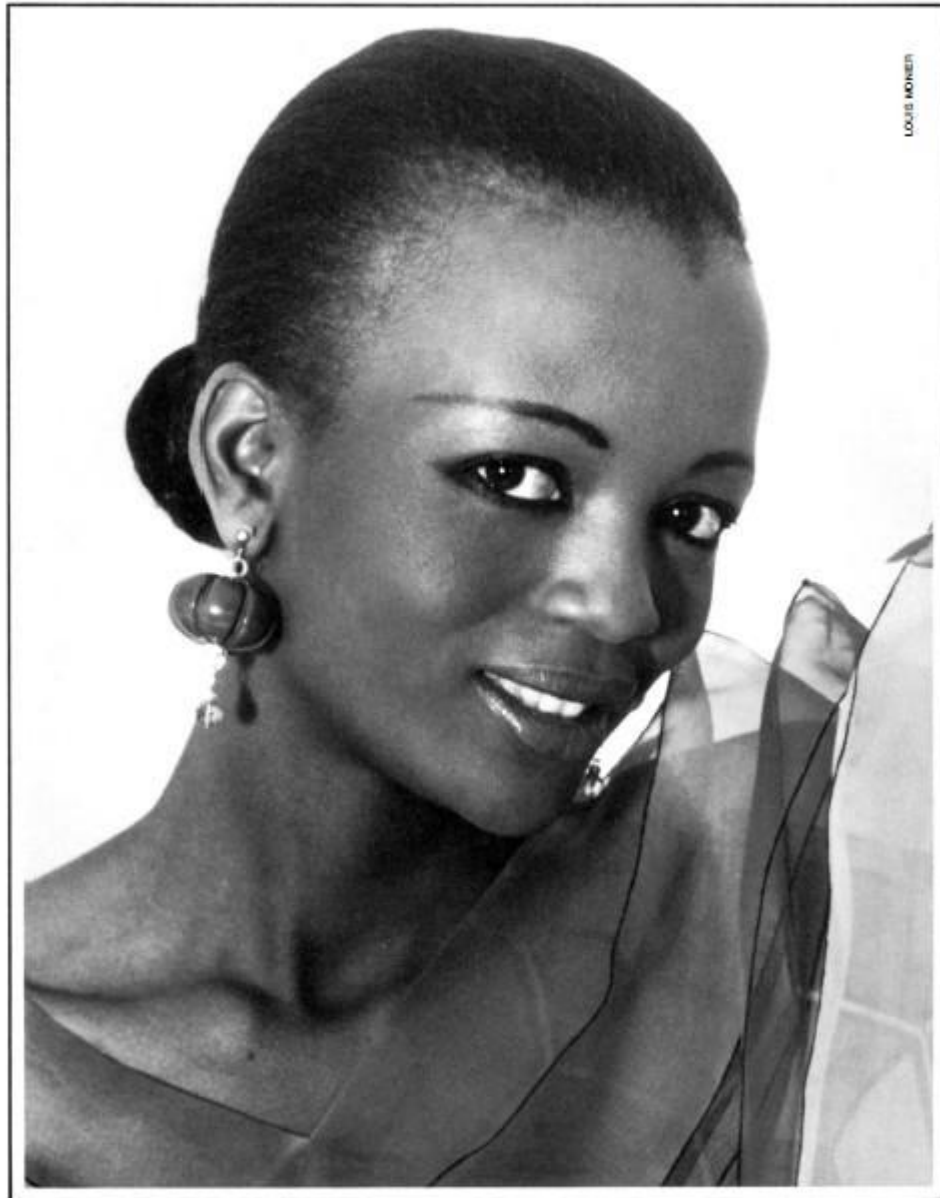


YOKO

GLAMOUR
TEL. 723-5303
40, Rue François 1^{er}, 75008 Paris
Telex 641841

Rebecca Ayoko

Hauteur 1.76 Poitrine 83 Taille 62 Hanches 89 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Bruns
Height 5'9½ Bust 32½ Waist 24½ Hips 35 Shoes 9 Am. Hair Black Eyes Brown



LOUIS MONET

GLAMOUR

TEL. 723-5303

40, Rue François 1^{er}, 75008 Paris
Telex 641841





JACQUES FATH/ANASTASIA 3 GARDEN

LOUIS MCNIER



DETAIL OF/ON/CHY





A PETER MARLONE COLLEZIONE © PRINTED IN LONDON TEL 011 203 40348



ARMANDO TESTA

GUY LAROCHE



MIKE VALE FOR ELLE MAGAZINE



A PETER MARLOVE COMPOSITE IS PRINTED IN LONDON



DUNN



MELBAUT NEWTON



DOMINIQUE FALCUBO

SNOW VIVES SAINT LAURENT



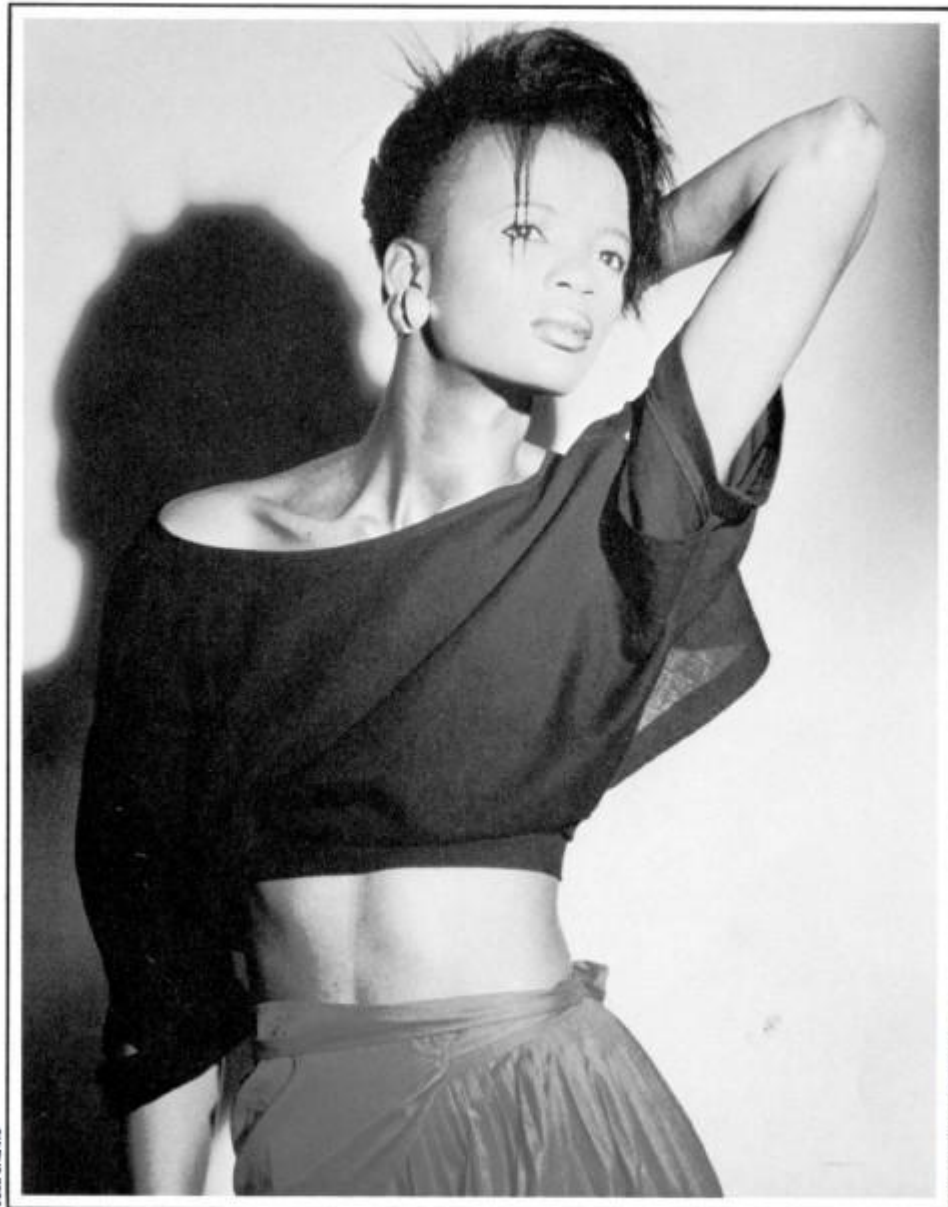
DOMINIQUE FALCUBO



A PETER MARPOLONE COMPOSITE & PRINTED IN LONDON TEL 0171 338 4345

Rebecca Ayoko

Hauteur 1.76 Poitrine 83 Taille 62 Hanches 89 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Bruns
Height 5'9½ Bust 32½ Waist 24½ Hips 35 Shoes 9 Am. Hair Black Eyes Brown



JOEL CASANO

A PIETRI MARLOWE COMPOSITE ©

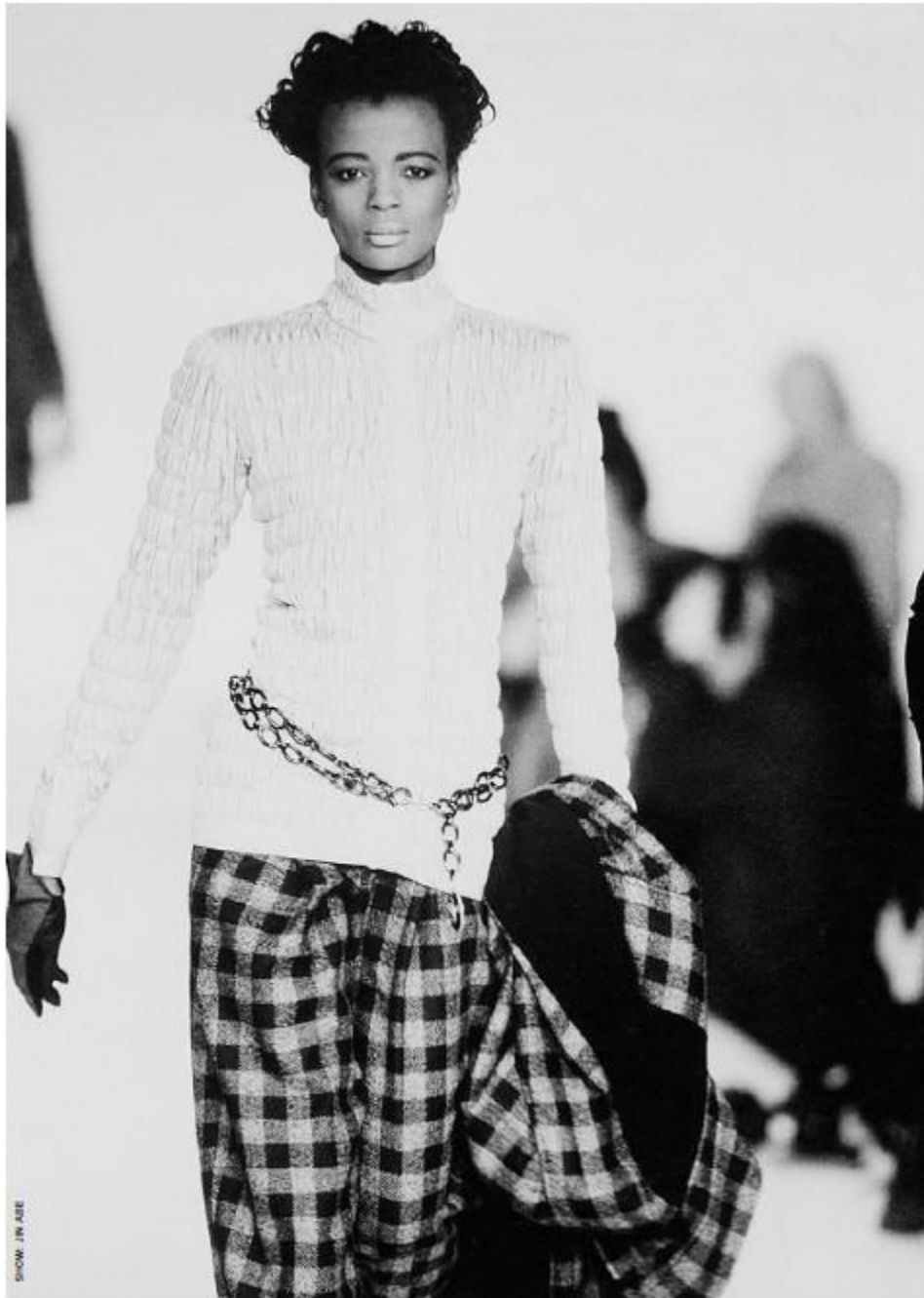
GLAMOUR

COLLECTIONS

723.89.26

40, Rue François 1^{er}, 75008 Paris

Telex 641841



SHOW IN A&E

Rebecca Ayoko



Height 5'9 1/2 Dress Size 6-8 Bust 33 1/2 Waist 25 1/2 Hips 35 1/2 Shoes 9 Hair Black Eyes Brown
Hauteur 1.77 Confection 36-38 Poitrine 85 Taille 65 Hanches 90 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Brun

ELITE RUNWAY ELITE RUNWAY (212) 686 5600 ELITE RUNWAY ELITE RUNWAY

ELITE RUNWAY ELITE RUNWAY (212) 686 5600 ELITE RUNWAY ELITE RUNWAY

REBECCA AYOKO



SHOW GIVENCHY



RENEE VALAIRE COX

HAUTER 1,70 POITRINE 84 TAILLE 02 HANCHES 90 CHAUSSURES 40 CHEVEUX NOIRES YEUX BRUNS
HEIGHT 5'9" BUST 33 WAIST 24" HIPS 35" SHOES 9 AM HAIR BLACK EYES BROWN

Rebecca Ayoko

Hauteur 1.77 Poitrine 84 Taille 62 Hanches 90 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Bruns
Height 5'9½ Bust 33 Waist 24½ Hips 35½ Shoes 9 Am. Hair Black Eyes Brown



LISA POLONHO

GLAMOUR

COLLECTIONS

47.23.89.26

40, Rue François 1^{er}, 75008 Paris

Telex 641841



A PETER MARLOWE COMPOSITE • PIRELLA GÖTTSCHE LOWE TEL. (01) 260 4015

J.P. GATTIN



BIGON SAINT LAURENT



CHARLES LAMB

A PETER MARSDEN COMPOSITE © PRINTED IN LONDON TEL (01) 352 4616

Rebecca Ayoko

Hauteur 1,76 Poitrine 84 Taille 62 Hanches 90 Chaussures 40 Cheveux Noirs Yeux Bruns
Height 5'9½ Bust 33 Waist 24½ Hips 35½ Shoes 9 Am. Hair Black Eyes Brown



XAVIER PAOLIC

GLAMOUR

COLLECTIONS

47.23.89.26

40, Rue François 1^{er}, 75008 Paris

Telex 641841

Przypisy

- [1] Patrz: pierwsze zdjęcie w pierwszej wkładce zdjęciowej (przyp. wyd.).
- [2] Jamusukro zostanie stolicą polityczną i administracyjną kraju dopiero w 1983 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [3] Lud afrykański z grupy Mande, zamieszkujący głównie obszar Mali.
- [4] Co jest, do ciężkiej cholery!
- [5] Jestem głodna!
- [6] Hej, długonoga!
- [7] Proszę na przyszłość wyrażać się jaśniej!
- [8] Jacek Kaczmarski *Zła reputacja wg Mauvaise réputation* Georges'a Brassensa.
- [9] Przeł. Paweł Lesisz.

